

Marcin Wroński

Komisarz Maciejewski

Morderstwo pod cenzurą

2007

trident

Rozdział 1

9 listopada 1930 r., niedziela

Listopad był całkiem ciepły, ale rano w sali gimnastycznej Wojskowego Klubu Sportowego panował ziąb jak za cara Mikołaja. Trener Szymański trząśnięty z zimna, choć założył narciarski golf, grabiały też palce studentom. Liczyli, że w niedzielny poranek będą mieli całą salę dla siebie. Tymczasem połowę zajmował ring zwykle wciśnięty w róg i oparty o ścianę. Na nim od kilku minut boksowali dwaj faceci, a otwarte okno najwyraźniej wcale im nie przeszkadzało. Gdy na chwilę odskoczyli od siebie, ciężko dysząc, przypominali dwa parowozy buchające obłokami pary.

Z wyglądu obaj mieli około trzydziestu pięciu lat. Jeden, wysoki i postawny, z dokładnie ogoloną twarzą, był w samym podkoszulku, sportowych pumpach i miękkich trzewikach. Drugi, nieco niższy i tęższy, boksował w zwykłych spodniach od garnituru i znoszonych półbutach. Nie zdjął nawet krawata, tylko go rozluźnił i wcisnął końce pod koszulę w cienkie granatowe paski. Kiedy się wyprostował, studenci zobaczyli kanciastą gębę z wczorajszym zarostem i z krzywym nosem – pewnie wiele lat temu złamanym na ringu.

– No i znowu jestem mistrzem okręgu – wysapał, szczerząc się w uśmiechu, który nadawał jego twarzy sympatyczny wygląd. – Jeszcze rundka? Coś niewyspany jesteś, Stachu.

– W dzień się wyśpię. Pan nie zamyka, panie Szymański! – zawołał wyższy bokser, widząc, że skulony trener zmierza w stronę okna. – Gorąco. Niech pan lepiej powie, ile punktów wyszło.

– 36:20 dla pana Zygi, panie mecenasie.

– No to powtórka.

Studenci podeszli bliżej. Tak, teraz poznali twarze mężczyzn – te same, tylko młodsze widzieli nieraz na zdjęciach w korytarzu. Stali tam obok siebie, pozując z uniesionymi pięściami w rękawicach: ZYGMUNT MACIEJEWSKI – STUDENT, 1 MIEJSCE, 1924 i STANISŁAW LENNERT – PRAWNIK, 2 MIEJSCE, 1924. Ale na tych fotografiach nie wyglądali na rówieśników. Najwyraźniej kolejne lata nie oszczędzały Maciejewskiego, gdy na jego dawnym rywalu nie odcisnęły wyraźnego piętna i tym sposobem zrównały ich wiekiem.

Właśnie obaj znów zaczęli zbliżać się do siebie. Pierwszy zaatakował Lennert. Po serii krótkich ciosów kontrolnych wyprowadził mocniejsze uderzenie w korpus, ale Maciejewski przyjął cios na gardę i odciął się prawym prostym na odsłoniętą twarz. Tylko lekko zapunktował przeciwnika, jednak dawny wicemistrz okręgu cofnął się odruchowo.

– Co to było, Stachu? – spytał ze śmiechem Zyga, machając dla rozgrzewki rękami. – Chyba *forehand*, bo nie sierpowy!

Zyga doskoczył i spróbował ponownego trafienia. Jednak przeciwnik był już czujniejszy. Nie dał Maciejewskiemu okazji do zdobycia punktu, choć sam kontrataku nie próbował.

– Gong, panowie – powiedział w końcu trener Szymański. – Zamykam to cholerne okno.

Zeskoczywszy z ringu, Zyga chwilę szukał wzrokiem kapelusza, który z fantazją powiesił na słupku w narożniku. Znalazł go jednak pod deskami. Potem zabrał marynarkę i płaszcz z kozła w rogu sali. Co zdziwiło obserwujących pojedynek studentów, Maciejewski nie wyjął z ust osłony na zęby – po prostu jej nie używał.

Tymczasem Lennert sięgnął po portfel do kieszeni spodni i wyciągnął z niego dziesięć złotych.

– Dziękuję, panie Szymański. – Przechylając się przez linę, podał banknot trenerowi.

– Eee, za dużo, panie mecenasie.

– Będzie dobrze. A my pokażemy się jeszcze na tygodniu, co, Zyga? – zapytał. – Rzucisz mi pulower?

– No, koło środy. – Maciejewski cisnął przyjacielowi zwinięty sweter. Zdjął też jego płaszcz z kozła. – A prysznic działa, panie Szymański?

Nie radzę. – Trener aż się wzdrygnął. – Tam to dopiero zimno jak w psiarni.

Prawnik przejechał dłonią po policzku. Zyga znał ten ruch z własnego doświadczenia. Tyle że on w ten sposób sprawdzał, czy warto się golić, i zwykle dochodził do wniosku, że jeszcze nie. Za to u Lennerta ów gest oznaczał zmęczenie albo niepewność. Gdy wszystko było w porządku, Staszek bez dotykania czuł, kiedy drobne włoski zaczynają przebijać skórę. I zaraz musiał się ogolić – robił to nawet trzy razy dziennie.

– Podwieź cię do domu, Zyga? – zapytał Lennert.

– Nie, mam służbę – skrzywił się Maciejewski. – Złapię autobus.

– Jak chcesz, ale auto czeka.

Kiedy wyszli, Szymański wsadził ręce do kieszeni spodni i skierował się ku drzwiom na zaplecze.

– Panie trenerze, a co z tym? – Jeden ze studentów wskazał zagrający salę ring.

– Chcecie ćwiczyć, to se złóżcie. O tam, pod ścianę.

* * *

Bordowy peugeot Lennerta ruszył w dół Lipowej. Zaczęło lekko kropić, więc Zyga postawił kołnierz płaszcza. Poszedł w przeciwną stronę, ku Ogrodowi Saskiemu. Wcale nie

zamierzał łąpać autobusu. Nie był szastającym forszą przedstawicielem prawnym Towarzystwa Przemysłowców jak przyjaciel, tylko skromnym podkomisarzem policji. I żałował czterdziestu groszy na bilet, zwłaszcza że do komisariatu miał piętnaście minut na piechotę.

Wmawiał sobie, że chodzenie do pracy na własnych nogach dobrze robi policjantowi na zmysł operacyjny. I chociaż na Rurach Jezuickich tuż koło jego domu miały pętlę „siódemka” i „ósemka”, codziennie oszczędzał osiemdziesiąt groszy, które potem z nawiązką wydawał na wódkę. A właśnie zbliżała się dobra okazja, żeby wypić w samotności na cześć odrodzonej ojczyzny. Umyślnie wziął służbę w niedzielę, żeby cały 11 listopada przespać zdrowym, pijackim snem.

Wychodząc zza rogu, omal nie zderzył się z dwiema wystrojonymi niedzielnie paniusiami. Choć same śmierdziały naftaliną, cofnęły się przed podkomisarzem jak przed brudnym pijakiem. Poprawił kapelusz. Istotnie nie wyglądał świeżo. Poprzedniego wieczoru nie chciało mu się grzać wody na kąpiel. Ale głowę miał czerwoną od sportu, nie od gorzały.

Widok paniusów zmierzających zapewne do kościoła przypomniawszy mu, że niecałe święto narodowe spędzi w domu. Będzie musiał pokazać się na mszy dla policjantów u misjonarzy, tuż koło komisariatu. Dotąd nie znalazł dobrego pretekstu, żeby jakoś ominąć ten niby nieobowiązkowy obowiązek. No ale zaprawi się później, do obiadu. Szkoda tylko, że kac przyjdzie rano, a nie przed nocą, gdy łatwo go zaleczyć klinem i porcją zdrowego snu.

Ale liczył na spokojną niedzielę, jeśli nawet nie dla całego Komisariatu Głównego, to przynajmniej dla Wydziału Śledczego, którym kierował. Zamierzał napić się kawy i nadgonić zaległości w papierach. Zrobić wszystko naraz, oczywiście rozrzucając akta po całym biurku, aby w poniedziałek jego zastępca, podkomisarz Eugeniusz Kraft, miał co z powrotem układać jak należy.

Maciejewski był w na tyle dobrym nastroju, że wrzucił nawet pięć groszy do puszki kwateranta przebranego za monstualną butelkę ze smoczką i z napisem: NA MLEKO DLA UBOGICH DZIECI. Jednak już na wysokości kościoła ewangelickiego mina mu zrzędnęła. W stronę Placu Litewskiego środkiem ulicy maszerował chyba cały hufiec harcerzy, wyśpiewując dziarsko „Szarą piechotę”. Prowadził ich puciołowaty instruktor z małym wąsikiem i masą odznak na mundurze, a wśród nich wyróżniał się krzyż jerozolimski z zeszłorocznego II Narodowego Zlotu Harcerzy w Poznaniu.

Zyga przypominał to sobie, bo czytał o zlocie w tym samym numerze „Expressu”, który donosił, że krakowski sąd uwolnił Aleksandra Swierżawina. „Oskarżony o morderstwo – ukarany za niezawiadomienie policji” – głosił tytuł. Zaś autor artykułu rozpisywał się o podobieństwach procesu ze słynną sprawą Janiny Borowskiej, która w 1909 roku zabiła swojego adwokata, a zarazem kochanka, jednak biegli lekarze nie zdołali wykazać, czy to nie on sam się zastrzelił.

Gdy harcerze doszli do skrzyżowania, instruktor dał komendę „na lewo marsz” i wkrótce

chłopcy znaleźli się na środku placu. Zyga wiedział, że do popołudnia będą tam ćwiczyć patriotyczne pieśni. A że komisariat mieścił się na sąsiedniej ulicy Staszica, nie wątpił, że przyjdzie mu ich słuchać, choćby nawet szczelnie zamknął okno.

Ledwie minął róg Zielonej i Staszica, jeszcze przed bramką prowadzącą na zewnętrzny dziedziniec wpadł na niego goniec w służbowej czapce.

– Jest wreszcie pan komisarz! Wszystkich oficerów szukam. – Odetchnął i pobiegł dalej.

Maciejewski pożałował, że po drodze nie wypalił papierosa. Najwyraźniej mimo niedzieli coś się stało i zamiast odpocząć nad papierami, przyjdzie narobić wydziałowi kolejnych zaległości.

„Czyżby sam marszałek postanowił odwiedzić stolicę naszego województwa?! – pomyślał z przekąsem. – Choć święto idzie, wszystko możliwe”.

– Czołem – przywitał dyżurnego przodownika przy wejściu. – Co się dzieje?

– Nie powiedział panu komisarzowi? – zdziwił się mundurowy, pokazując przez okno chodnik, na którym Maciejewski przed chwilą rozmawiał z gońcem. – No tak... – westchnął.
– Zabili Bindera.

– Tego Bindera? – Zyga aż zdjął kapelusz.

– Tak jest, redaktora Bindera. Pan komendant bardzo zdenerwowany.

* * *

Naczelny „Głosu Lubelskiego” leżał nagi na dywanie w salonie swojego trzypokojowego mieszkania na Krakowskim Przedmieściu. A właściwie gdyby mieszkanie nie należało do niego, z początku trudno byłoby zgadnąć, czyj to trup. Twarz wyszczerzona w nieludzkim grymasie przypominała raczej fotografie z policyjnej kartoteki przestępców niż redaktora dziennika dla prawych Polaków. W dodatku była zalana krwią, która ściekla z odciętych i wepchniętych mu w usta genitaliów. A na jego brzuchu – również krwią – morderca wypisał:

Roman Binder

6-6-6

Maciejewski podszedł do otwartego okna. Odetchnął głęboko. Widział już ofiary poharatane w złodziejskich porachunkach, rozjechane przez parowóz, wypchnięte z okna – widział dziesiątki zwłok wcale niepodobnych do ludzi, ale celowo okaleczone budziły w nim zbyt wiele złych wspomnień...

Z pobliskiego Placu Litewskiego doleciały głosy harcerzy ćwiczący pieśń „Maszerują strzelcy” pod kierunkiem jakiegoś instruktora, pewnie nauczyciela muzyki.

Zyga udał, że szuka ewentualnych śladów na parapecie, potem znów odwrócił się do dwóch wywiadowców, którzy czekali na niego od kwadransa.

– To okno było otwarte? – zapytał.

– Nie, okno nie – powiedział przodownik Tadeusz Zielny, młody tajniak o tandetnej twarzy filmowego amanta i włosach szczerze posmarowanych brylantyną.

Drugi wywiadowca, starszy przodownik Witold Fańiewicz, rozglądał się cały czas i stojąc w miejscu, robił notatki ogryzkiem ołówka, który ledwie wystawał z jego grubych paluchów. Zwykle czerwona gęba Fańiewicza teraz nieco pobladła, ale podkomisarz był pewien, że nie będzie kłopotu z odczytaniem notatek. Wywiadowca wyglądał wprawdzie topornie jak typowy masarz, ale nawet na kacu potrafił pisać wyraźniej niż ktokolwiek inny w wydziale.

– Nie dało się wytrzymać zaduchu, to otworzyłem okno – tłumaczył Zielny. – Za to drzwi były uchylone chyba całą noc. Dlatego sąsiadka zajrzała.

– No i gdzie ta sąsiadka? – mruknął Maciejewski.

– W szpitalu św. Wojciecha. – Fańiewicz odwrócił kartkę w notesie. – Marianna Ludwińska z domu Korpaczewska, wdowa. Starsza kobita, pan kierownik rozumie, serce.

– Dozorca?

– Stefan Grycz, lat czterdzieści pięć. Przybiegł, jak zaczęła krzyczeć, i to on nas wezwał. I pogotowie też, się rozumie. Nic nie widział, nic nie słyszał, nadal skacowany. Bramę zamknął wieczorem, rano otworzył.

– Nie ma pewności, czy ktoś wczoraj nie odwiedził denata, bo... jak to było... aha: „do redaktora to ciągle biegali jak do jakiej panienki” – przypomniał sobie Zielny.

– Że niby co? – Maciejewski jeszcze raz spojrzął na zwłoki dziennikarza. Kilka miesięcy wcześniej, zanim owdowiał, był ponoć przykładnym mężem. Choć dzieci nie mieli, fakt. – Że niby do takiej „panienki”?

– A nie, co to, to nie! – Tajniak przygładził włosy, choć przy tej ilości brylantyny, jakiej używał, nawet jeden nie miał prawa odstawać. – W żadnym razie, panie kierowniku.

Przerwali, bo z przedpokoju dobiegła ich rozmowa. Za chwilę wszedł wysoki mężczyzna przed czterdziestką, z wiecznie przyklejonym do twarzy uśmiechem, podkomisarz Stanisław Borowik, zastępca naczelnika z wojewódzkiego Urzędu Śledczego, a za nim wtaszczył sprzęt fotograf.

– Serwus, Zyga! – przywitał się przybyły, rozejrzał po pokoju i zaraz zaczął instruować swojego technika. – Adam, brzuch denata wyraźnie.

– Co się tak województwo rządzi? – mruknął Maciejewski.

– A bo miasto nie ma aparatu. Zaraz będzie Niżyk, zdejmie odciski i ślady butów. Wasi stójkowi za wiele nie zdeptali?

– Nie zdeptali, panie komisarzu – odezwał się do Borowika swoim grubym głosem Fańiewicz – bo szybciej wyszli, jak weszli.

– Włoska mafia? – Śledczy uśmiechnął się tym razem do denata.

– Albo międzynarodówka komunistyczna – burknął Zyga – bo napisy są krwią. Nie robotniczą co prawda, burżuazyjną jak cholera, zawsze jednak czerwoną.

– Źle się czujesz? – zapytał Maciejewskiego Borowik z tym samym uśmiechem, ale szeptem. – Myślisz sobie, że jest trup, to zlatują się sępy, żeby ci odebrać sprawę? Nie, Zyga, to śmierdzi, do tego politycznie. Dziennikarz, prawica, opozycja. Dziękuję, postoję! Nie zazdroścę ci, Zyga. Módl się, żeby poszło tylko o zdradzoną kochankę czy inne obyczajowe historie.

Chciał już odejść i dalej pouczać fotografa szykującego lampę błyskową, gdy Maciejewski nagle przytrzymał go za ramię.

– Zapomniałeś o wątku satanistycznym, Staszek.

– Źe niby co? – Borowik zaśmiał się, tym razem niewątpliwie szczerze.

– Źe „kto ma rozum, niechaj zrachuje imię onej bestyi. A ta jest liczbą jej: sześćset sześćdziesiąt i sześć” – zacytował Zyga.

– Jezus Maria! – Już nawet sztuczny uśmiech nie utrzymał się dłużej na twarzy Borowika.

– To naprawdę mamy pasztet.

Obaj równocześnie spojrzeli w stronę trupa, nad którym pochylał się właśnie wywiadowca Zielny. Fałniewicz przerwał swoje zapiski i też podszedł z poważną miną.

– A to co? – spytał, wyciągając z kieszeni pęsetę. Wprawnym ruchem zdjął Zielnemu z rękawa długi kobiecy włos. – Blondyna – stwierdził. – Wczoraj byłeś z rudą.

Fotograf parsknął śmiechem, zaraz jednak spowaźniał, widząc w drzwiach sędziego śledczego. Zyga westchnął pełen najgorszych obaw. Borowik nie miał racji – sępy się zlatywały, na miejscu zbrodni było aż nazbyt tłoczno. Maciejewski nie pamiętał, kiedy ostatnio Urząd Śledczy przysłał mu technika razem z oficerem. A żeby sam pan sędzia śledczy pofatygował się osobiście, tego w Lublinie najstarsze gliny nie pamiętają. Sprawa związana z morderstwem Bindera zaczynała się więc z dużym rozmachem. Nic dziwnego, że Borowik nie miał na nią chęci. Zyga też by wolał, aby naczelnego „Głosu Lubelskiego” zabili na przykład w Chełmie. Skoro jednak padło na niego...

– Dzień dobry, panie sędzio. – Dotknął palcem runda kapelusza. – Podkomisarz Maciejewski, kierownik Wydziału Śledczego.

– Miło mi poznać, Rudniewski.

Jednak Zygmuntowi wcale nie było miło. Sędzia śledczy, choć całkiem młody facet – przed trzydziestką, miał na głowie melonik. A to zapowiadało nadętego służbistę.

* * *

Postawny mężczyzna z sumiastym wąsem wychodził już ze swojego numeru w Hotelu Europejskim, kiedy zawrócił go dzwonek telefonu. Ze zniecierpliwieniem uderzył się po dłoni „Ilustrowanym przewodnikiem po Lublinie” Ronikierowej i wsadził go do kieszeni jasnego wełnianego płaszcza.

– Halo? – zapytał niecierpliwie, ale poznawszy głos rozmówcy, zmienił nieco ton. – Moje uszanowanie... Tak, Aleksander Swierżawin przy aparacie. Stało się coś?

Kiwając potakująco głową, zdjął wolno kapelusz i rozpiął płaszcz. Usiadł na brzegu łóżka.

– Nie, w żadnym razie – powiedział. Przełożył słuchawkę do drugiej ręki. – Przecież dziś niedziela... Tak, wczoraj zrobiłem, co do mnie należy, dzisiaj nie pracuję... Oczywiście, od jutra jestem do dyspozycji. Tak, dokładnie tak, jak było umówione.

Znów kiwnął kilka razy głową, choć rozmówca nie mógł tego widzieć.

– Coś się stało? – zapytał raz jeszcze. – Jaka zmiana?

W odpowiedzi musiał usłyszeć coś nie po jego myśli, bo skrzywił się i gwałtownie wstał, spoglądając odruchowo na drzwi.

– Tak, to nie jest rozmowa na telefon – burknął – ale w tej sprawie osobiście też miałbym niewiele do powiedzenia. Nie interesują mnie pańscy podwykonawcy, ja nie na to godziłem się... – urwał, przyłapawszy sam siebie, że zaczyna przechodzić na rosyjski. – Nie tak się umawialiśmy i nie za to biorę pieniądze... Oczywiście każdego interesują większe pieniądze! Jednak w interesach ważniejsza jest kalkulacja ryzyka... Tak, ja swoje skalkulowałem... Dobrze – skrzywił usta jak do przekleństwa – zastanowię się. Do widzenia.

Swierżawin spojrzął na zegarek i pospiesznie opuścił pokój. Na korytarzu minął brodacza z numeru 121. Szybko odwrócił wzrok i zbiegł po schodach.

Na trotuarze rozejrzał się nieco zaskoczony – jak ktoś, kto będąc w obcym mieście, pomylił ulice. Zrobił kilka kroków w stronę reprezentacyjnego Krakowskiego Przedmieścia, znów zerknął na boki, wreszcie zaczął przechodzić – pulchnego mężczyznę pod sześćdziesiątkę, który, posapując, zmierzał w przeciwnym kierunku.

– Przepraszam, czy to jest Plac Litewski?

– Tak, Litewski – odparł z lekką zadyszka grubas. – A zgubił się pan?

– No to powinna tu być cerkiew. – Teraz Swierżawin przypomniał sobie, że już poprzedniej nocy, jadąc do hotelu, nie dostrzegł górujących ponad dachami kopuł świątyni. Ale wtedy miał ważniejsze sprawy na głowie. – Sobór Przemienienia Pańskiego.

– Sobór? – przechodzień łypnął podejrzliwie na przyjeźdnego. – Tak, stała tu gubernatorska cerkiew, ale będzie z pięć lat, jak ją magistrat nakazał rozebrać.

– Rozebrali... – mruknął Swierżawin, zaglądając do przewodnika. – A jest cerkiew na Zielonej? Tu niedaleko?

– Na Zielonej jest teraz kościół misjonarski. Jak potrzebna panu cerkiew, to na Ruskiej, za targiem żydowskim.

– A to daleko?

– Kawalek. Tam, po drugiej stronie placu ma pan postój dorożek.

Swierżawin podziękował i szybkim krokiem przeciął plac z niewielkim pomnikiem Unii Lubelskiej, kilkoma szaroburymi jesiennymi skwerami i wielką pustą przestrzenią pośrodku. Teraz to miejsce po może niezbyt wyszukanej, jednak – sądząc z ilustracji – majestatycznej bryle soboru, zajmowali harcerze ćwiczący polskie pieśni patriotyczne przed zbliżającym się

świętem. Swierzawin pamiętał, że jeszcze niedawno szło się za śpiewanie takich pieśni do kozy, ale skoro nie było już cara i nie było soboru...

Mijając kosz na śmieci, cisnął do niego przewodnik Ronikierowej.

* * *

Fałniewicz był lepszy niż dziennikarz – jak już wyjął notes i ołówek, spisywał, co tylko widział i słyszał. Oczywiście dobrze rozumiał, że nie wszystko nadaje się potem do raportu. Jednak podkomisarz Eugeniusz Kraft, swoją drogą doskonały biuralista, nie miał tego policyjnego nosa. Od razu przyczepił się „wątku satanistycznego” i za nic nie chciał puścić.

– Zmiłuj się, Gienek – prosił Maciejewski, opierając łokcie na biurku. Wśród papierów parowała gorąca herbata, tłumiąc nieco trupi odór zwłok, który Zyga wciąż czuł w nozdrzach.

– Skup się, za godzinę odprawa.

– Przepraszam, nie mogłem wcześniej. Byłem na nabożeństwie – powiedział spokojnie Kraft.

Maciejewski nie usłyszał w tym ani krztyny usprawiedliwienia, a tylko typowe dla tego poukładanego ewangelika stwierdzenie faktu: „Bardzo proszę, jestem gotów służyć ojczyźnie i społeczeństwu, jak skończę śpiewać psalm. Owszem, podjąłbym pościg, jednak zaległy raport sam się nie napisze”. Kto inny uznałby to może za tchórzostwo lub oportunizm, ale Zyga widział w tym przejaw owej odrobiny niemieckiej krwi, która płynęła w żyłach jego zastępcy. I której jemu samemu nieraz bardzo brakowało.

– No ale sam popatrz. – Kraft podetknął Maciejewskiemu pod nos zakurzone akta wyciągnięte gdzieś z dna szafy.

Zyga ze złością rozwiązał teczkę. Już wiedział, że diabli wzięli nie tylko niedzielę, ale i odsypianie zarwanych nocy w Święto Niepodległości. Szlag trafił wódkę, która czekała w chłodnej piwnicy, a w dodatku Kraft postanowił się wykazać.

Maciejewski lubił i cenił swojego zastępcę. Gdy Zyga zajmował się policyjną robotą, Gienek dbał o papiery. Byli jak Lelum Polelum albo chińskie jing i jang, o których podkomisarz niedawno czytał bodajże w niedzielnym dodatku do „Expressu”. Tworzyli razem idealnego oficera policji, nic tylko brać i awansować. Oczywiście dopóki któryś z nich bez potrzeby nie próbował wyręczyć drugiego.

– No i? – zapytał zniecierpliwiony Kraft.

Zyga przetarł oczy. Żeby się skoncentrować, próbował sobie przypomnieć tamten numer „Expressu”. Jing i jang, kobieta-herszt piratów z Polinezji, program kinoteatrów i gumy Olla – królowe prezerwatyw. Tak, to była taka właśnie niedzielna mieszanka pod kotlet i dwa piwka. W sam raz dla kogoś, kto zaczął dzień od kawy z rogalikiem, a nie od boksu i trupa.

– No i co? – zapytał Maciejewski. – Co to jest? Rok 1923? Historyczna sprawa!

– Jerzy Trąbicz, młody poeta i jego czasopismo „Belzebub”. O tu! – Kraft stanął przy biurku przełożonego. Przerzucał donosy i raporty, pokazując palcem co ważniejsze zdania. –

Czarne msze w cukierni Semadeniego. Właściciel oczyszczony z podejrzeń, Trąbicz i inni wybronieni przez rektora. Ale ten sam Trąbicz jest teraz naczelnym „Kuriera”, a „Kurier” to konkurencja „Głosu”. Jest motyw, warto sprawdzić.

– Po wątku satanistycznym? – spytał kpiąco Maciejewski, podnosząc oczy na zastępcę.

– Dziś jest 9 listopada 1930 – powiedział poważnie Kraft. – Dwie dziewiątki, zauważ, kiedy je odwrócisz, będą szóstkami. Zsumuj pozostałe cyfry i masz trzecią szóstkę. Tu nie ma przypadku, kabała i numerologia. Sześćset sześćdziesiąt sześć.

Podkomisarz sięgnął do kieszeni po papierośnicę, postukał nią w biurko.

– Okultyści lubują się w takich grach liczbowych – dodał zastępca. – Ja bym tego nie lekceważył.

– Cicho, daj pomyśleć. – Maciejewski znów zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć, jak były zapisane cyfry na ciele trupa. Podniósł rękę, zawahał się przez chwilę, po czym już zdecydowanym ruchem sięgnął po telefon. Małą słuchawkę podał Kraftowi.

Ten śledził palec Zygi wykręcającego numer: 6-6-6.

– Mieszkanie redaktora... Bindera – usłyszeli zapłakany kobiecy głos. – Halo?

– Dzień dobry, podkomisarz Maciejewski, Wydział Śledczy. Kto mówi?

– Gospodyni redak...tora.

– Przepraszam, musiałem sprawdzić. Proszę przyjąć wyrazy żalu, droga pani – powiedział i odłożył słuchawkę. – Baba – rzucił do Krafta.

– No tak, gospodyni – mruknął niepewnie zastępca.

– A nie, ja nie o tym! – uśmiechnął się Zyga. – Ja ci tylko kabalistycznie rozkładam bezpośredni numer telefonu do pana starosty: 21-21. Druga litera alfabetu, pierwsza, druga, pierwsza. Baba. Z tego też chcesz wyciągnąć jakieś śmiałe wnioski?

* * *

Po południu wyszło słońce, a harcerskie śpiewy na Placu Litewskim wreszcie się skończyły. Jednak koło drugiej, siedząc w gabinecie komendanta powiatowego, nadkomisarza Sobocińskiego, Maciejewski czuł, że ciemne chmury tak naprawdę dopiero się zbierają. Sobociński oderwany od niedzielnego obiadu nie był w dobrym nastroju, ale najciemniejszą chmurę – podkomisarza Tomaszczyka – zesłała komenda wojewódzka.

Zydze głęboko zapadła w myśli rada podkomisarza Hejwowskiego z Zamościa, której ten udzielił kiedyś po pijaku młodemu aspirantowi Maciejewskiemu:

– I zapamiętaj pan, dobry policjant wygląda, jakby nie wyglądał, albo wygląda jak bandyta. Tudzież jak alfons. Jak policjant wygląda na kogoś, uważasz pan, innego, to albo polegnie na służbie, albo jest zwykła świnią. Na takiego trzeba uważać.

Adolf Tomaszczyk, polityczny z Urzędu Śledczego, wyglądał Zydze na wrednego nauczyciela łaciny. Niski, z przylizanymi włosami i okrągłymi okularami w drucianych oprawkach mógłby zdręczyć każdego ucznia deklinacjami i Tacytem, ale bardziej ciągnęło

go do przepytывania komunistów z nazwisk, kontaktów i adresów.

Gdyby pokazać życiorys tego śledczego niespecjalnie rozeznanemu w polityce cywilowi, kariera Tomaszczyka jawiłaby mu się niczym wędrówka ludów. Od 1920 roku zdążył kilkakrotnie zmienić przydział służbowy. Prawda była jednak taka, że większość czasu przesiedział za tym samym biurkiem, tylko policja polityczna była doczepiana do coraz to innych komend albo wydzielana jako osobna służba. Tomaszczyk zwykle mówił, że jest ze starej „Czwórki”, tyle że w Wydziale IV-D pracował w Referacie O. Zajmował się wnioskami pokontrolnymi z jednostek terenowych i postępowaniami dyscyplinarnymi oraz pisaniem oderwanych od rzeczywistości instrukcji.

– Dogłębna analiza zebranego materiału – referował teraz z namaszczeniem Tomaszczyk – pozwoliła śledczym urzędu ustalić najbardziej prawdopodobny motyw zabójstwa. Na bazie naszej kartoteki stwierdziliśmy, że osobą typowaną przez nas jest niejaki Józef Zakrzewski, redaktor komunistycznego pisma „nasz sztandar”, od lat skonfliktowany z ofiarą. Od kilku miesięcy prowadzimy intensywne czynności operacyjne w związku z Zakrzewskim, którego podejrzewamy o inicjowanie szeregu działań przeciw bezpieczeństwu publicznemu. Po pierwsze, miał motyw natury polityczno-dziennikarskiej. Po drugie, ustaliliśmy, że ostatniej nocy nie było go w domu, tak więc mógł dokonać zabójstwa lub je inspirować. Po trzecie, zauważcie panowie, zasianie politycznego niepokoju w mieście niemal w przeddzień święta państwowego to typowe bolszewickie działanie.

„Po czwarte, nie lubię skurwysyna” – dopowiedział w myślach Maciejewski. Tomaszczyk zaś kontynuował:

– Tak więc decyzją naczelnika Urzędu Śledczego zostałem delegowany do dyspozycji pana komendanta powiatowego – poprawiając okulary, skłonił się lekko nadkomisarzowi – celem pomocy Wydziałowi Śledczemu przy Komisariacie Głównym oraz...

„...ostentacyjnej obserwacji działań służących w nim śledczym” – dokończył złośliwie Zyga i postukał skuwką wiecznego pióra w swój notes.

– ...jako oficer pomocniczy z komendy wojewódzkiej. Bo nie ulega wątpliwości, że ten mord odbije się szerokim echem w prasie nie tylko lubelskiej. Drugi rozważany przez nas wątek śledczy to przestępstwo na tle narodowościowym, które mogły sprowokować antysemityczne artykuły Bindera. Uważamy to jednak za mniej prawdopodobne. Sugerowałbym natychmiastowe zatrzymanie Zakrzewskiego i kontynuowanie rozpoznania we wszystkich kierunkach.

– A co pan sądzi, podkomisarzu? – Sobociński zwrócił się do Maciejewskiego.

– Cóż, na razie nasz wydział odrzucił udział jakiegóś nieznanego sekty satanistów, ale poza tym daleko nam do sprawności kolegów z wojewódzkiej. Obawiam się, że nawet sędzia śledczy nie będzie w stanie docenić tak śmiałych wniosków. Sugerowałbym więc podkomisarzowi Tomaszczykowi szklanke zimnej wody i kontynuowanie rozpoznania we wszystkich kierunkach.

– Panie podkomisarzu! – warknął komendant.

– Przepraszam – westchnął Zyga – ale skoro Urząd Śledczy nie zdecydował się dotąd na zatrzymanie Zakrzewskiego, to robić to pod takim pretekstem? Dopiero podniesie się raban, jak przyjdzie go zwolnić.

– A pańskie wnioski? – spytał niecierpliwie Sobociński.

– Panie nadkomisarzu, jest dopiero druga po południu. Nie jestem wróżką jak niektórzy. Proponuję zbadać wszystkie wątki, nawet i ten, ale bez żadnych pochopnych kroków. Jeśli już muszę zgadywać, stawiałbym na czyjaś osobistą zemstę. Na kogoś, kto zrobił wszystko, żeby odwrócić od siebie podejrzenia. O, czy odciski palców coś powiedziały?

– Sprawca działał w rękawiczkach – burknął niechętnie Tomaszczyk.

– Tym bardziej nie chciałbym formułować żadnych tez, zanim nie zapoznamy się z papierami Bindera. To przecież był dziennikarz, mógł wielu zaleźć za skórę. Komuniści? To nazbyt oczywiste.

– Panie nadkomisarzu, nalegam! – niemal wykrzyknął Tomaszczyk. – Samochód z kierowcą czeka. Znam miejsce pobytu podejrzanego. Może w każdej chwili wsiąść w pociąg i zniknąć.

– No to można mu dać ogon, zatrzymać na dworcu... Jest milion sposobów, Adolf. I lepszych, bo gdzieś cię zaprowadzą. Zresztą nie rozumiem, mamy przecież własnych wywiadowców politycznych, jeśli nawet! Panie nadkomisarzu, kto w końcu ma prowadzić to śledztwo?

– Pan, podkomisarzu Maciejewski – pokiwał głową komendant. – Oczywiście pan. Ale po Zakrzewskiego pojedzie pan z podkomisarzem Tomaszczykiem, który chwilowo będzie pańską prawą ręką od polityki. Ludzie muszą wiedzieć, że policja robi, co tylko może.

– Skoro chodzi o publikę... – Zyga wzruszył ramionami.

– Panie podkomisarzu! – znów upomniał go Sobociński.

– Tak jest, panie komendancie. Natychmiast jadę.

– No to do roboty, panowie.

Stuknąwszy obcasami, Tomaszczyk opuścił gabinet ze zwycięską miną. Zyga wysunął się za nim, obmacując kieszenie w poszukiwaniu papierośnicy.

* * *

Czarny mercedes zwolnił koło magistratu, przepuszczając kilka przebiegających przez ulicę uczennic w beretach gimnazjum Unii Lubelskiej. Szofer zatrąbił, potem zgrzytnął zwalniany ręczny hamulec i auto potoczyło się w dół Nowej za sapiącym autobusem.

– Późno. – Maciejewski spojrział na zegarek.

– Tak, „trójka” spóźniona pięć minut – zaśmiał się siedzący obok kierowcy Tomaszczyk, pokazując tył autobusu.

– Późno – powtórzył Zyga. – Czy zastaniemy ich tam o tej porze? Jest po drugiej.

– Ja mam swoich informatorów. I twój tajniak też niech się uczy.

Zielny nie zareagował, zerknął jednak na szofera – wywiadowcę od Tomaszczyka, czy kąśliwa uwaga jego szefa nie sprawiła mu czasem satysfakcji. Ale na twarzy kolegi z Urzędu Śledczego widać było tylko obojętność. Siedział za kierownicą niczym urzędnik za biurkiem – skoro jest biurko, ktoś musi na nim przerzucać papiery, skoro jest kierownica, ktoś musi nią kręcić. Maciejewski mawiał o takich „uzasadnieni służbą publiczną”. Zielny przypomniał sobie film o sztucznych ludziach, na którym był z... Nie pamiętał ani tytułu, ani z którą dziewczyną oglądał te bzdury o świecie za sto lat, aczkolwiek niewątpliwie i bez krewy było to w „Corso”. To akurat pamiętał dobrze, bo wyciągnęła go potem do Semadeniego, że niby „dwa kroczki, zajrzyjmy, co, Tadziu?”. I koniec końców wybulił ponad dwadzieścia złotych, a ona finalnie i tak poszła prosto do domu, dziwka jedna!

Mercedes rozpedził się na Lubartowskiej – szerokiej i jak wiele lubelskich ulic opadającej od centrum w dół. Potem przy moście nad Czechówką znów musieli zwolnić, żeby nie wpaść na leniwie poskrzypujący wóz konny. Na placu targowym po prawej stronie jak zwykle kłębił się tłum wiejskich bab, służących i gospodyń domowych, które robiły zakupy, korzystając z cen niższych niż rano. Jedna, obładowana kosztami rozłożysta jejmość omal nie wpadła na maskę policyjnego auta. Szofer nacisnął klakson, na co baba tylko splunęła i ruszyła jak objuczony wielbłąd ku Browarnej.

– No jedźże! – przynaglił Tomaszczyk. Podskakując na coraz gorszym bruku, mercedes ruszył dalej.

Zatrzymali się dopiero naprzeciw przecznicy Czwartek pnącej się w górę ku podobno najstarszemu kościołowi w mieście. Szofer zawrócił i podjechali przed komisariat po drugiej stronie ulicy.

– Idziemy, Zyga – kiwnął ręką Tomaszczyk.

W środku przy stole za barierką siedział pochylony przodownik i pracowicie coś kaligrafował.

– Słucham. – Podniósł wzrok.

– Urząd Śledczy, podkomisarz Tomaszczyk. – Wywiadowca pokazał mu swoją blachę. – Potrzebuję kilku mundurowych na Ciasną 2.

– Tak jest, panie komisarzu – policjant poderwał się na baczność – ale...

– Co?

– Sam jestem. Ludzie w terenie.

– W terenie! – wykrzyknął Tomaszczyk. – A przy targu co chwilę ktoś wbiega pod auto. Dlaczego nikt tam nie stoi i nie wlepia mandatów, co? Wasze nazwisko! Zanutuj się sobie.

Maciejewski uśmiechnął się kwaśno. Przez chwilę myślał, czyby zza pleców Tomaszczyka nie machnąć ręką do mundurowego w uspokajającym geście. Jednak zrezygnował, bo tamten nie wyglądał na zbyt rozgarniętego.

– Idziemy – powiedział, poprawiając kapelusz.

Zielny stał oparty o maskę samochodu i wlepił wzrok w młodą Żydówkę, która szła powoli wznoszącą się stromo uliczką Czwartek. Zajął dobrą pozycję, tak żeby ani na moment nie stracić z oczu jej napiętych łydek, których nie zdołał przysłonić płaszcz.

– Trudno, jedziemy sami. – Tomaszczyk uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Twój człowiek jest czujny, mam nadzieję. No, do auta!

Wybrylantynowany tajniak kiwnął głową, z zalem porzucił swój punkt obserwacyjny i usiadł z tyłu obok Maciejewskiego.

– No i co myślisz, Zygmunt? – odezwał się jakby mniej pewny siebie Tomaszczyk.

– Nic nie myślę, zbyt wielkie szczęście mnie przepełnia – burknął Zyga.

– Że co? – spytał zaskoczony podkomisarz.

– Dopiero siódmy rok służę w policji, a już drugi raz mam honor jechać służbowym autem. Ja ci tego, Adolf, póki życia, nie zapomnę.

Zielny odwrócił się do okna, żeby nie parsknąć śmiechem. Chciał oprzeć wzrok na czymś ciekawszym niż kark kierowcy, ale jak na złość Lubartowską nie przechodziła akurat żadna warta grzechu kobieta, więc zajął się oglądaniem fasad żydowskich kamienic.

Śledczy polityczny zacisnął swoje wąskie wargi i więcej się nie odzywał. Tymczasem czarny mercedes skręcił w Bonifraterską, a potem – przepuściwszy karetkę pędzącą do szpitala Jana Bożego – w Ciasną. Szofer zablokował autem bramę pod numerem 2 i zaciągnął ręczny hamulec.

Tomaszczyk wysiadł pierwszy. Nie musiał nawet pokazywać policyjnej blachy, dozorca sam podbiegł.

– Są wszyscy, panie komisarzu. Nikt nie wychodził – zameldował usłużnym tonem. – Tędy. – Wskazał miotłą klatkę schodową za swoją służbówką. – Drugie piętro, pod nazwiskiem Baumanowa.

– Idziemy, oczy z tyłu głowy. – Tomaszczyk rozpiął płaszcz i marynarkę. Wyjrzała spod niej kolba rewolweru.

– Tak jest – mruknął Zielny, poprawiając krawat. – Chodź pan! – rozkazał dozorczy.

Na schodach minęli starą Żydówkę z pustym kubłem na węgiel. Już otwierała usta, żeby zapytać, kogo szukają, gdy zobaczyła broń wyzierającą spod ubrania Tomaszczyka i cofnęła się do mieszkania. Zielny, który szedł na końcu, mijając kobietę, uchylił grzecznie kapelusza. Jeszcze bardziej przestraszona zatrzasnęła drzwi i słychać było, jak zamyka je na łańcuch.

Tymczasem cieć stał już przed mieszkaniem Baumanowej i popatrywał na Tomaszczyka, czekając jego poleceń.

– No, pukaj pan! – powiedział ten półgłosem. – Jak zapytają kto, mów pan: „dozorca”.

Nie zapytali, nikt nawet nie odchylił klapki wizjera. Drzwi wcale nie były zamknięte, bo policjanci nie usłyszeli odgłosu otwieranego zamka, tylko lekkie skrzypnięcie klamki.

– Panowie do kogo? – W progu stała wysoka ruda dziewczyna w grubych okularach opadających jej na mocno garbaty nos.

– Policja! – krzyknął Tomaszczyk, jedną ręką pokazując blachę, a drugą popychając swojego tajniaka, żeby wszedł pierwszy.

Mieszkanie było nieduże. Przedpokój służył jednocześnie za kuchnię, w następnym pomieszczeniu prócz małżeńskiego łóżka i gdańskiej szafy z trudem mieściło się lustro i odrapany damski sekretarzyk. Dopiero w ostatnim pokoju z niewielkim balkonem wychodzącym na podwórko stał stół, krzesła, fotel, oszklona biblioteczka i komoda z patefonem.

Tomaszczyk odetchnął, widząc, że szóstka młodych osób siedzi na swoich miejscach, nie próbując ani ucieczki, ani oporu. Podszedł bliżej i powiódł wzrokiem po zespole redakcyjnym „naszego sztandaru”.

– Dzień dobry... – zaczął ze złośliwym uśmiechem. – A może raczej szalom – poprawił się, zauważywszy, że wszystkie trzy dziewczyny przy stole mają wyraźnie semickie rysy. Tylko dwaj mężczyźni nie wyglądali na Żydów.

Nie odpowiedzieli, więc odwrócił się do kobiety w grubych okularach. Stała teraz obok biblioteczki, a Zielny trzymał ją mocno pod ramię.

– Pani Baumanowa? – zapytał Tomaszczyk. – Dokumenty! Inni też.

Jego tajniak położył dłoń na klamce drzwi balkonowych i wyrztał na podwórko. Było ciasne, trójkątne, z jednego boku zamknięte parkanem i przytulonymi doń trzema wygodkami, z drugiego – oficyną.

Maciejewski został przy drzwiach. Wbił wzrok w rozpartego na fotelu na oko dwudziestopięciolatka w pumpach i narciarskim swetrze. Mężczyzna, choć był raczej niski, to szeroki w barkach, przez co wydawał się ledwo mieścić na siedzeniu. Leniwie śledził wzrokiem wywiadowców.

– I sam redaktor naczelny, towarzysz Zakrzewski! – ucieszył się Tomaszczyk, porównując jego kwadratową twarz ze zdjęciem w dowodzie. – A więcej was matka nie miała?

– Miała, miała – wycodził Maciejewski. – Policzyłeś kapelusze? – wskazał wieszak w przedpokoju.

– Policzyłem, są dwa.

– No właśnie! – uśmiechnął się Zyga. – Jeden tamtego... – Wskazał młodego człowieka z wąsikami, który w zdenerwowaniu co chwilę zapinał i rozpinął górny guzik marynarki swojego popielatego garnituru. Zielny zauważył to i na wszelki wypadek obmacał mu wewnętrzne kieszenie.

– No a drugi Zakrzewskiego – wzruszył ramionami Tomaszczyk.

– Nie znasz się na modzie, Adolf. Czy towarzysz naczelny wygląda na kogoś, kto nosi kapelusz?

– To gdzie ten trzeci?

– A bo ja wiem? Może na podwórku w klozecie. Tomaszczyk uśmiechnął się – jak uznał

Zielny – zapewne na myśl o głupiej minie komunisty, który spokojnie wychodzi sobie ze sracza, a na jego rękach niespodziewanie zatrzasują się kajdanki.

– Idziemy! – skinął na swojego tajniaka.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Maciejewski złapał za ramię Zakrzewskiego.

– Ze mną! – warknął. – Wy pilnujcie – przykazał służbowym tonem Zielnemu.

Zabrał redaktora do sypialni i pchnął go na łóżko.

– No co ty, Zyga? – zaśmiał się Zakrzewski. – Tak od razu w pościel?

– Nie rób sobie nadziei, Józek. Przytulać to się z tobą mogę na ringu, w zwarcu. Tylko coś ostatnio cię nie widzę. Piszesz zamiast boksować?

– A co? O autograf chciałeś poprosić?

Maciejewski uśmiechnął się, pokiwał głową. Tak, ten facet był urodzonym bokserem, nawet rozmawiał tak, jakby bił po mordzie. Zakrzewski zwrócił jego uwagę już kilka lat wcześniej, gdy przyszły redaktor wywrotowej gazety był studentem pierwszego roku prawa na katolickiej uczelni i dopiero zaczynał trenować. Pisał wtedy nader prawomyślne wiersze o ojczyźnie i dupie Maryni, ale widać brak utarczek z cenzurą źle działał mu na temperament.

– Gdzie byłeś w nocy? – warknął Maciejewski.

– A gdzie zdrowy chłopak bywa w nocy, Zyga?

Podkomisarz wbił w niego wzrok. Nie, Zakrzewski nie był chłopaczkiem, który wszystko wyśpiewa, gdy poczuje ostre spojrzenie policjanta. I Maciejewski dobrze o tym wiedział, jednak chciał się upewnić, czy na pewno nie wierzy ani trochę Tomaszczykowi. Nie wierzył. Zakrzewski zawsze uwielbiał burdy. Jako student prześladował korporantów, bo oni prześladowali Żydów. I nieraz płaczący z upokorzenia młody endek musiał się drapać po nocy na latarnię, żeby zdjąć czapkę rzuconą tam przez Zakrzewskiego. Ale zabić? Może pięścią, nie nożem.

– Kto zarznął Bindera? – rzucił podkomisarz. Po wyrazie twarzy młodego redaktora domyślił się, że ten już wie o wydarzeniach ostatniej nocy. – Jak myślisz, Józek?

– Myślę, że należało się skurwysynowi.

– Bardzoś poetycko to ujął. A konkretniej, póki ten mój kolega nie wróci z klozetu?

– A skąd mogę wiedzieć, Zygmunt?! – Zakrzewski rozłożył ręce. Wziął w dłonie wyszywaną poduszkę, obrócił ją i lewym sierpowym posłał za wezłowie łóżka. – Tyle się z nim widywałem, co po sądach.

– Po sądach?

– Tak, pomówienie. Ciągnie się jeszcze z czasów, kiedy pracowałem w „Kurierze” u Trąbicza. – Westchnął głośno i spojrzał Maciejewskiemu w oczy. – Słuchaj, Zyga, tu nic nie znajdziecie, mówię ci jak sportsmen sportsmenowi. Możecie nas wziąć na dołek, ale po co? Nic, gówno i wstyd dla policji. Przecież wiesz, też studiuję prawo.

– To nie mój pomysł, ale niech cię głowa nie boli. Tylko nie znasz mnie, jasne?

– No co ty?! – uśmiechnął się szeroko Zakrzewski. – Pewnie, że cię nie znam.

Dziewczyny by się pogniewały, że władzy kapują!

Wszystkie cztery siedziały przy stole, nie mówiąc ani słowa, a Zielny z kwaśną miną przeglądał płyty – same beethoveny, żadnych walców ani tang. Maciejewski, gdy wyprowadził redaktora z sypialni, nakazał mu gestem, żeby został z nim przy wieszaku. Za chwilę drzwi mieszkania otworzyły się i tajniak wpełchnął do środka ospowatego faceta w jesionce narzuconej na ramiona. Tomaszczyk wszedł ostatni.

– Co jest? – spytał, widząc w przedpokoju Maciejewskiego z Zakrzewskim.

– A co ma być? Sprawdźcie lepiej sypialnię, ten tu dziwnie patrzył, kiedy grzebałem w pościeli. Ja go przypilnuję.

Przysunął się bliżej wyjścia, nacisnął klamkę. Odczekał, aż Tomaszczyk i jego wywiadowca złączą rozbebeszać łóżko. Zerknął jeszcze, co robi Zielny. Nic nie robił, znudzony płytami przyglądał się milczącym kobietom. Wyraźnie było widać, że żadna nie jest w jego typie, mimo to wystudiowanym ruchem rozsunął szalik, żeby jedwabny krawat dobrze się prezentował.

– Przepytaj znajomych o Bindera. – Maciejewski ukradkiem wsunął Zakrzewskiemu w dłoń karteluszek z numerem telefonu. – Koniecznie! – szepnął z naciskiem. – A teraz wynocha!

– Że co? – zdziwił się redaktor.

– Że gównu. Zwiąłeś mi, nie upilnowałem, komunisto pieprzony.

– Ty, Zyga, nie bądź taki szczodry. Całe gliniarstwo będzie za mną ganiać po mieście.

– Wielkie mecyje! Gliniarstwo ma dość kłopotu z trupem Bindera. A nawet jeśli, to co? Wezmą na cztery-osiem. – Maciejewski ostrożnie uchylił drzwi i wyciągnął Zakrzewskiego na klatkę schodową. Odgłosy przeszukiwania sypialni nieco ucichły. – Ja też będę musiał cię wziąć, jak tak dalej będziesz stał jak kołek. Tylko z mniejszym splendorem. Decyduj się, bo czas ucieka.

– Dobra, Zyga – po sekundzie milczenia mruknął Zakrzewski. Lecz nagle w jego oczach błysnęła iskierka rozbawienia. – A żeby tak było realistyczniej... Może dam ci choć po pysku?

– Nie przeciągaj struny, Józiu, bo ci w nos pierdyknę.

– No to serwus! – Redaktor szybko podał rękę Maciejewskiemu.

– Pamiętaj o telefonie.

– Spokojna głowa – rzucił Zakrzewski, zbiegając po schodach.

Kiedy był już na dole, Zyga usłyszał odgłosy niewprawnej szamotaniny i rumor upadającego ciała.

– O Jezus Maria! – wydarł się cieć.

– Chciałeś być ważny, to cierp – mruknął cicho Zyga i wrócił do mieszkania, niemal zderzając się z zaniepokojonym Tomaszczykiem.

– Co? Gdzie zatrzymany?

– Pozwól na korytarz – powiedział spokojnie Maciejewski. – Sam.

– Zwiął ci? – spytał domyślnie Tomaszczyk, kiedy przymknął za sobą drzwi. – Więc zwiął?! No pięknie! Ty nie wiesz, jakie sukinsyny są z tych politycznych. Przyczajone sukinsyny. Tak to jest, jak ktoś się bierze za nie swoją robotę. No nic, wyślę w miasto Nowaka i Gajownicza...

– Nikogo nie wysyłaj – zgasił go Zyga. – Zwykły raport i tyle. Niech go krawężniki szukają. I zapamiętaj sobie, mnie jeszcze żaden cwaniak nie uciekł, co dopiero polityczny frajer! – Dźgnął Tomaszczyka palcem. – Nic nie rób, bo przecież i tak nic konkretnego na niego nie masz.

– No jak to tak? Nie rozumiem. – Tomaszczyk nerwowo poprawił okulary.

– I nie musisz rozumieć. – Wzruszył ramionami Zyga. – Nie twoja robota. Zbieramy się, bo Binder stygnie.

* * *

Tomaszczyk bez słowa opuścił gabinet kierownika Wydziału Śledczego. Zyga słyszał jego wściekłe kroki na korytarzu, potem trzasnęły drzwi pokoju wywiadowców politycznych. Kraft zza swojego biurka spojrział niepewnie na Maciejewskiego.

– Nie musiałeś go obsobaczać przy mnie – powiedział. – On ci tego nie zapomni.

– Ma szczęście, że nie przy Zielnym. A korciło mnie, Gienek, korciło.

Tak naprawdę to nieco żałował, że puściły mu nerwy. Ale nie mógł już zdzierżyć, że Tomaszczyk rządził się, jakby to on kierował śledztwem. Gdy ten zagroził, że będzie interweniował u Sobocińskiego, Maciejewski poradził mu zadzwonić do ministra i na wszelki wypadek jeszcze po straż ogniową.

Poszło oczywiście o Zakrzewskiego. Potem o resztę redaktorów „naszego sztandaru”, których Zyga kazał zwolnić po przesłuchaniu. Na koniec znów wrócili do naczelnego – Tomaszczyk upierał się, że uciekając, rewolucyjny poeta przyznał się do winy. Maciejewski nawet nie próbował tłumaczyć, że zatrzymując go, tylko się ośmieszają. Tym bardziej nie chciał ujawniać, że zamierza z Zakrzewskiego zrobić psa, bo podochocony Tomaszczyk rwałby się, aby go wykorzystać do własnych celów. I niechybnie spaliłby informatora.

– Nie martw się, Gienek. – Zyga puścił oko do zastępcy. – Jak mnie wyrzucą, to awansujesz.

– Można już, panie kierowniku? – Drzwi uchyliły się i do środka zajrzał Zielny.

Maciejewski skinął głową. Zielny wszedł pierwszy, obrócił krzesło oparciem do przodu i rozsiadł się na nim, jak to podejrzwał w jakimś filmie – rozchylając poły płaszcza i eksponując krawat. Fałniewicz zajął miejsce w kącie koło odrapanej szafy z aktami, dwaj smętni tajniacy – Wilczek i Grzewicz – stanęli oparci o ścianę.

– No – zaczęła odprawę Zyga – podkomisarz Tomaszczyk pisze raport, więc mamy trochę spokoju. Starszy posterunkowy Grzewicz najmłodszy, to zaczyna.

– Tak jest. – Policjant wyjął notes. – Ja, przodownik Wilczek, Kowalski i Marczak

przepytałiśmy wszystkich sąsiadów z kamienicy zabitego. Brak nowych faktów. Często przychodzili do niego współpracownicy. To były krótkie wizyty, nie urządził proszonych przyjęć. Mamy rysopisy i trochę nazwisk, głównie redaktorzy „Głosu Lubelskiego” i dawni koledzy partyjni. Z Wilczkiem zabezpieczyliśmy papiery zabitego, są w depozycie, przed chwilą przewiezione. Dużo tego było, wzięliśmy dorożkę. Złoty dwadzieścia, panie komisarzu.

– Co to ja, bank? Trzeba było wziąć mundurowego do pomocy. Najwyżej dwa razy byście obrócili. Zresztą przeplaciliście, należało się targować. Mamy jakieś środki na fanaberie wywiadowcy Grzewicza? – Maciejewski spytał Krafta.

Zastępca tylko rozłożył ręce.

– Nie ma – zakończył temat Zyga. – A z pustego to nawet ja wam nie należę. Dalej.

– Kowalski i Marczak – zrezygnowanym tonem kontynuował policjant – udali się rozpytać znajomych zabitego. Nie wszystkich zastaliśmy pod adresami. To na razie wszystko, panie komisarzu.

– Przodownik Wilczek? – Maciejewski wymierzył wieczne pióro w kolejnego tajniaka.

– Też nic ciekawego, panie kierowniku. – Wywiadowca na chwilę odkleił się od ściany. – Szczegóły zaraz spiszemy do raportu. – Zerknął do swoich notatek. – Aha, dozorca zeznał, że brama była zamknięta, ale raz, że taki zamek da się otworzyć gwoździem, a dwa, jest przejście z sąsiedniego podwórka. Może co będzie w tych papierach, ale potrwa ruski miesiąc, żeby wszystko przejrzeć.

– Dobra – uśmiechnął się Zyga. – A Fałniewicz?

– Na polecenie komisarza Krafta byłem w redakcji. Stróż mnie wpuścił, potem dojechał redaktor... jak mu tam... redaktor Alojzy Pawlik. Chciałem opieczetować lokal, ale nie dostaliśmy zgody prokuratora.

– No pewnie, że nie dostaliście – mruknął Maciejewski. – Zaraz rozniosłaby się plotka, że to policyjna prowokacja. Liczył pan na to, komisarzu Kraft?

– Trzeba było spróbować. – Wzruszył ramionami zastępca.

– Zabezpieczyliśmy tylko biurko redaktora Bindera. Po zawartość zostali wysłani dwaj mundurowi. Powinni już być z powrotem.

– Uczcie się, właśnie tak się to robi. – Zyga spojrzał ostro na Grzewicza. – Panie Kraft?

– Lekarz stwierdził, że zgon nastąpił nad ranem. Trzecia, może czwarta. Zginął od ciosu tępym przedmiotem w głowę, pozostałe rany zadano po śmierci. Sekcja jutro. Przed wieczorem będą do dyspozycji jeszcze czterej wywiadowcy. Proponuję, żeby zmienili pozostałych i spróbowali skontaktować się ze znajomymi Bindera: redaktorami i współpracownikami z gazety, osobami z adresownika i kalendarza, poczynając od najświeższych wpisów. Motywy... no chyba jednak polityczne – zaryzykował zastępca.

– Niech Bóg broni! – Maciejewski podniósł ręce. – Wszystkie, byle nie polityczne. Fałniewicz, Wilczek, Grzewicz do domu i wypać się. Jutro z samego rana meldować się u

mnie. Jak wrócą Kowalski i Marczak, to samo. Znajomych pytać, czy coś im wiadomo o planach Bindera na wieczór przed śmiercią. Długi, osobisty wróg, rywal, zdradzona kochanka... Na razie czegoś takiego bym szukał. To nic, że denat był wzorem cnót mieszczańskich. Pytać grzecznie i współczuć. Z tajniakami politycznymi, także naszymi, nie bratać się i nie gadać. Przed Tomaszczykiem uciekać. Aha, Fańiewicz i Grzewicz, jutro z samego rana potrzebuję archiwum numerów „Głosu” z tego roku. Zobaczymy, z kim zadarł. Tyle. Komisarzu Kraft, pan przekaże instrukcje Kowalskiemu i Marczakowi?

– Oczywiście. – Zastępca zamknął notes. – Co robimy z wcześniejszymi sprawami? Na poniedziałek było wyznaczone przesłuchanie tych magazynierów od włamania do rzeźni. W południe kończy się cztery-osiem Wirsza, rozbój z użyciem.

– Rozbój? Prosta sprawa, w sam raz dla mundurowych z komisariatu. Niech ich pan pogoni do roboty. Magazynierzy zaczekają kilka dni, krzywda im się nie stanie.

– No a co ja mam robić, panie kierowniku? – spytał Zielny, przyglądając włosy.

– A ty przelecisz się i rozpytasz po burdelach – powiedział podkomisarz i zaraz przeszedł na służbowy ton: – No, nie mówcie tylko, że wam nie pasuje ten rozkaz!

Na widok rozdziawionej gęby Zielnego nawet szarpnięty po kieszeni Grzewicz nie mógł się nie roześmiać.

* * *

Wieczór był całkiem przyjemny jak na listopad. A przynajmniej byłby, gdyby nie martwy Binder rano, a żywy Tomaszczyk po południu. Maciejewski szedł wolno ulicą Zieloną, równoległą do reprezentacyjnego Krakowskiego Przedmieścia, mijając odrapane bramy tych samych kamienic, które od frontu prezentowały lśniące witryny sklepów i kuszące szyldy restauracji. Zyga trzymał ręce w kieszeniach, w ustach papierosa.

Mijając dawną cerkiew zamienioną obecnie na kościół misjonarzy, w którym już pojutrze czekała go nieobowiązkowa obowiązkowa msza dla policjantów, spojrzał na chwilę w niebo. Gwiazdy nie świeciły, ale przez chmury przedzierał się księżyc. Był trzeci dzień po pełni, toteż żadne fluidy astralne nie mogłyby tłumaczyć makabrycznego morderstwa w mieszkaniu Romana Bindera, gdyby Zyga w takie rzeczy wierzył. Jednak nie był znudzoną wdową, aby wpaść w szpony spirytyzmu czy astrologii. Fakt, był wdowcem jak Binder, ale bynajmniej nieznużonym. Nie miał dzieci do niańczenia – swoich ani cudzych – a przed dwoma miesiącami nawiązał bardzo obiecującą znajomość z panną Różą, pielęgniarką z Kasy Chorych na Hipotecznej. Całkiem zresztą nowoczesną i wyzwoloną, szkoda tylko, że nie mógł jej nigdy zaprosić do siebie. Nie wypadalo – jego rudera na Rurach Jezuickich bardziej przypominała pijacką melinę niż dom oficera policji.

Nie, nie chciał teraz myśleć o swoich prywatnych sprawach! Wyszedł na chwilę, żeby poczuć puls miasta, a może... doznać olśnienia. Ono jednak nie przychodziło. Serce Lublina pikało niespiesznym rytmem starego flegmatyka. Zapewne jutro prowincjonalna metropolia

dostanie palpacji, kiedy odkryje zwłoki w porannej gazecie, i sięgnie po uspokajające proszki. „Nic tak nie ożywia numeru jak świeży trup” – mawiał ponoć sam Binder.

– Należało ci się, skurwysynu – mruknął Maciejewski. – Ale dlaczego tak? I czemu dzisiaj?

Skręcił w Świętoduską i Krakowskim Przedmieściem skierował się do komisariatu. Kusilo, żeby wstąpić na wódkę, ale miał od metra kwitów do przejrzenia.

– Pan komisarz z powrotem? – spytał dyżurny, choć wcale nie wyglądał na zdziwionego.

– Tak. Zróbcie mi kawy.

– Ale... – zafrasował się policjant. – Nie ma kawy, panie komisarzu. Znaczący może być zbożowa. Albo herbata, tyle że jak pana komisarza znam, to nie polecam.

– No to niech ktoś skoczy do „Europy”. Mocna, czarna i cały dzbanek.

Zapalił lampkę na biurku i wyjął kolejnego papierosa. W papierońnicy został już co prawda jeden, ale po całej paczce miał jeszcze w obu bocznych kieszeniach płaszcz. Zaciągnął się, spoglądając na trzy sterty papierów pod oknem. Zapewne o której by nie zaczął, i tak spędzi pół nocy na czytaniu bzdur, zanim na coś trafi. O ile trafi.

Przysunął bliżej najdalszy stos i zaczął wertować kartka po kartce. Nie dziwił się, że literaci lubią pracować, kiedy przyzwoici ludzie śpią. Miał ciszę i spokój. Był tylko jego umysł przeciw meandrom zbrodni. „Meandry zbrodni” – bardzo dobry tytuł, gdyby oszalał i postanowił zostać powieściopisarzem.

Minął może kwadrans, gdy od lektury oderwała go głośna dyskusja dobiegająca z parteru. Otworzył drzwi.

– Nie można. Sam zaniosę – upierał się mundurowy.

– Zaniosę? Panie szanowny, jak pan tę tacę trzymasz?! – Maciejewski poznał głos pana Tośka, jednego ze starszych kelnerów. – Potłucze pan przodownik, a za porcelanę kto będzie płacił?

Zyga podszedł do barierki schodów i przechylił się.

– Wpuście pana.

– Tak jest, panie komisarzu – potwierdził służbiście dyżurny. – Proszę.

Pan Tosiek miał policzki zaczerwienione od wieczornego chłodu. Na kelnerski uniform narzucił tylko jesionkę. Lecz jak przystało na dawnego żołnierza, o ekwipunek zadbał lepiej niż o samego siebie. Taca z kawą była przykryta kilkoma warstwami serwet. Kiedy postawił ją na blacie biurka, z dzbanka wciąż parowało.

– Na mój rachunek poproszę, a to dla pana za fatywę, panie Tośku. – Zyga wyjął z kieszeni pięćdziesiąt groszy, w drugiej znalazł jeszcze dziesięć.

– W żadnym razie, panie komisarzu szanowny! – Kelner uniósł ręce jak przestępca trzymany pod rewolwerem. A potem już ciągnął konfidencjonalnym tonem: – W moim fachu człowiek wszystko wie. Wcześniej niż fryzjer, a nawet dziennikarz. Co będzie z tą Polską, panie? Uważa pan, lby podnoszą Żydzi i komuniści, tylko Polacy co? Pan komisarz do nocy

siedzi, a gdzie reszta? I jak ludzie mają wierzyć, że policja złapie tego, z przeproszeniem pana komisarza szanownego, tego skurwysyna?

– Panie starszy! – Maciejewski spojrzął spode łba.

– Tak jest, szanowny pan komisarz zechce wybaczyć. Rano chłopak przyjdzie po tacę, a cukier... Niech już zostanie, tylko cukiernicę każę zabrać.

Gdy kelner wyszedł, Zyga zajrzał do cukiernicy. Była do połowy opróżniona.

– Ale mi łaskę zrobił! – uśmiechnął się Maciejewski.

Podchodząc do okna, zawadził niechcący o stolik z maszyną do pisania – lekko, ale i tak mebel omal się nie rozpadł. Podkomisarz ścisnął dłoń w pięść i pogroził nią zdezelowanemu mechanizmowi. Nosił jakże dumną nazwę Orzeł. Orzeł – pierwsza polska maszyna do pisania. Może zaraz po odzyskaniu niepodległości działała jeszcze jak trzeba, ale Maciejewski poznał ją dopiero w 1926 po majowej awanturze marszałka.

Przypomnił sobie słowa, którymi powitał go trzy lata wcześniej podkomisarz Hejwowski w Zamościu, gdy w tamtejszym Wydziale Śledczym Maciejewski zaczął służyć:

– Papier jest państwowy, panie aspirancie, więc nie do gryzmoienia ani czyszczenia butów czy, broń Boże, do sracza. Kartek używać się będzie dwustronnie. Dostaniecie jedną ryżę na rok, a jak wam wyjdzie, to już wasza głowa, co zrobicie.

Minęło nieco czasu, zanim Zyga pojął, jakim cudem jego koledzy nie wyczerpują swojego limitu papieru po dwóch miesiącach – po prostu piszą tylko wtedy, gdy bezwzględnie muszą. Za to Binder, jak to dziennikarz, na papierze nie oszczędzał. I przez to podkomisarza czekała ciężka noc.

* * *

Kośminek spał tylko na pozór. Przed odrapanymi bramami nie przesiadywali wprawdzie zawodowi bezrobotni, ale w zaułkach Garbarskiej czy Długiej co i raz przemykał cień w zsuniętym na czoło kaszkiecie i z papierosem przyklepionym do ust. Zaraz zniknął w mroku i burej jesiennej mgle, wprawnie omijając cuchnące kałuże przy garbarni.

Postawny wąsał przystanął na rogu Garbarskiej i Wspólnej, zapalił zapalną. Przez chwilę zapachniało fosforem, potem idąc, zostawiał za sobą woń dobrego egipskiego tytoniu.

Nie zaczęli go, choć było ich trzech. Frajer, ale czuł się tu zbyt swobodnie. Zerknął spod kapelusza na grandziarzy i jakby nigdy nic ruszył dalej, nie przyspieszając nawet kroku. Maniek, najmniejszy z trójki stojących na winkle chłopaków, dostał od kumpla łokciem w bok i zniknął w bramie. Pozostali rozeszli się w przeciwne strony, jeden w kierunku Żelaznej, drugi ku torom kolejowym. Ten ostatni, przechodząc przez ulicę, miał okazję dłużej obejrzeć sobie gościa – zwrócił uwagę na jego porządny płaszcz z jasnej wełny i wąsy jak u marszałka.

„Frajer z miasta albo dziany kmiot – ocenił. – Ale po co taki szuka tu szczęścia?”

Obcy spokojnie minął kolejny róg i zgiął im z oczu za ślepym torem prowadzącym za bramę garbarni. Tymczasem Maniek przebiegł przez podwórko, przeskoczył płot i wynurzył

się z mroku na sąsiedniej uliczce. Zerknął, czy na pierwszym piętrze pali się światło. Zagwizdał przeciągle na palcach. W oknie pojawił się cień, potem zniknął. Maniek czekał oparty o mur.

Skrzypnęły wąskie drzwi w nigdy nieotwieranej na całą szerokość bramie niskiej kamieniczki. Grandziarz najpierw dostrzegł ognik papierosa, a potem Staszka Bigaja.

– Co jest?

– Coś się kroi, Kusy. Glina jakaś węższy.

– Glina nie kurwa. – Bigaj splunął. – Sama po nocy nie chodzi.

– No to czego frajer z miasta by tu szukał? Za jego kapotę żyłbyś trzy miechy.

– Trzy miechy? Może ty. – Kusy znów splunął i zerknął w stronę tartaku, gdzie pokazywał Maniek. – Ja bym w tydzień przebalował. Francja i szarmancja. Ale skoroś mnie z baby zdjął, to chodźmy na ten spacer.

Gość wcale się nie spieszył. Kiedy doszli do tartaku, tamten był zaledwie na rogu Fabrycznej. Stał oparty plecami o jedyną latarnię i ćmił papierosa. Czekał.

Kusy gwizdnął. Facet nawet się nie ruszył, tylko rzucił okiem, czy ktoś nie zachodzi go równocześnie z drugiej strony. Zaciągnął się dymem, obejrzał sobie twarz grandziarza w świetle latarni i pstryknął niedopałkiem w kałużę.

– Bigaj Stanisław – powiedział. – No nareszcie. Pójdiesz ze mną.

– Nie mogę – zarechotał Kusy. – Spóźnię się do roboty-

– Do jakiej roboty?

Staszek przesunął wargami papierosa do drugiego kącika ust i pokazał głową szyld nad zamkniętą na głucho bramą po drugiej stronie ulicy: ZAKŁADY MECHANICZNE E. PLAGE & T. LAŚKIEWICZ, FABRYKA SAMOLOTÓW.

– Do ciężkiej roboty. Do Plagego.

– A ty? – Facet zwrócił się do stojącego obok Mańka.

– A ja do Laśkiewicza! Aeroplany budować.

– Jak dam w mordę, to sam polecisz jak aeroplan.

– Eee! – Kusy wypluł niedopałek i zrobił dwa kroki w stronę nieznanego. – Pan wywiadowca sam, a my tu na swojej dzielnicy.

Gwizd Mańka rozdarł ciszę. Zatrzeszczało ostrzegawczo niewielkie zwarcie wiatami. Zamrugła, potem dalej paliła się równo, oświetlając kilka postaci, które wyłoniły się z bram i zza parkanów.

– Taki z ciebie kozak, Bigaj? – Facet przesunął kapelusz na tył głowy.

– Takie twoje życie zasrane, glino... – W dłoni Staszka błysnął nóż.

Ledwo doskoczył, szybki prawy prosty omal nie zwałił go z nóg. Obcy poprawił lewym sierpem w podbródek i znów prawym między oczy. Kusy upadł na bruk, a jego kaszkiet wylądował w kałuży.

– Jaka glino? Jaka glino? – wycedził przez zęby wąsal. – Mam dla ciebie robotę, Bigaj. I

dla koleżków też, jeśli nie lebiegi. Plage i Laškiewicz poczekają.

– Te, nie ma tak tego, frajerze! – Kusy podniósł się z wysiłkiem i otarł krew spod nosa. Spojrzał na kumpli. – Co tak, kurwa, stoicie?!

Maniek wskazał ręką na obcego. Dalej sterczał jak dziwka pod latarnią, ale z rewolwerem w garści.

– Nie ma tak tego, Bigaj – zaśmiał się. – Następnym razem nie będzie pieszczot. Chcesz zarobić czy do Bozi? A wy spierdalać! – wrzasnął do reszty ferajny. – Z szefem mam do pogadania.

Kusy czuł, że puchnie mu nie tylko nos, ale też złodziejska ambicja.

– No spierdalać, jak mówi! – wydarł się jeszcze głośniej.

Zanim zniknęli za rogiem, Maniek chwilę patrzył w stronę latarni. Obcy schował spluwę i ciasno obwiązał dłoń kraciastą chustką – widać zawadził łapą o kosę Kusego. Gładził wąsa i cały czas coś mówił, a Staszek kiwał głową.

Rozdział 2

10 listopada 1930 r., poniedziałek

Za kwadrans dziewiąta Kraft wkroczył do gabinetu z porannymi gazetami pod pachą. Maciejewski jeszcze spał z głową na biurku. Zastępca zerknął na tekturową teczkę służącą podkomisarzowi za poduszkę – była całkiem świeża, z pospiesznie nabazgranym wielkimi kulfonami napisem: JERZY TRĄBICZ. Kraft podszedł bliżej, zahaczając połą palta o stos papierów obok swojego biurka. Sterta rozsypała się i Zyga otworzył oczy.

– Gienek? Która godzina?

Zastępca zauważył, że Maciejewski ukradkiem chowa teczkę Trąbicza do szuflady. Kiedyś Krafta złościło, że kierownik traktuje Wydział Śledczy jak swój własny folwark. Z czasem przywykł i zrozumiał, że nie była to głupia taktyka. Zyga potrafił iść za śladem z finezją lisa, a gdyby od razu spuścić psy, wiele spraw zakończyłoby się rozczarowaniem. Kraft nie miał do tego głowy, więc może i dobrze, że pod firmą MACIEJEWSKI I S-KA robił jedynie za głównego księgowego.

– Dziewiąta dochodzi. Świeża prasa. – Podał kierownikowi gazety.

– Czytałeś?

– Tyle co po drodze. – Kraft starannie ułożył kapelusz na wieszaku. – Zacznij od „Expressu”.

Już pierwsza strona grzmiała niczym trąby Apokalipsy:

MAKABRYCZNE ZABÓJSTWO ZNANEGO DZIENNIKARZA

Potwór z Lublina? Ludność jest przerażona!

Wczoraj w godzinach porannych na Krakowskim Przedmieściu w mieszkaniu Romana Bindera, redaktora „Głosu Lubelskiego”, zaniepokojona sąsiadka dokonała makabrycznego odkrycia. Dziennikarz leżał martwy od kilku godzin, a jego nieludzko zbezczeszczone ciało wprawilo w wielką grozę nawet doświadczonych śledczych. Morderca, nie zostawivszy śladów, zniknął w nocnym mroku.

Wszyscy zadajemy sobie pytanie, jak na głównej ulicy miasta mogło dojść do tak przerażającej zbrodni, o jakich nie słyhać nawet w przestępczym półświatku przedmieść. Czy nieuchwytny morderca uderzy po raz drugi? Czy policja zdoła zapobiec kolejnym tragedjom?

Nasza redakcja, wobec milczenia władz policyjnych lubelskich, zapytała o to telefonicznie pana Ricarda Poronica, astrologa cenionego m.in. przez policje warszawską i niemiecką z uwagi na wiele konsultacyj. Znakomite medjum, a zarazem pionier nowoczesności, uwzględniający w swych analizach wpływ odkrytej dopiero w tym roku planety Pluton, przestrzega:

„Koniunkcja Słońca i Merkurego sprzyja jednostkom o silnej woli, pomagając im w tak dobrych, jak i zbrodniczych zamierzeniach. Wzmacniają ją dwa trygony Plutona: ze Słońcem, który budzi niepokój w ludzkiej psychce, i z Merkurem, który pomaga jednostkom o błyskotliwej, nawet diabolicznej sile intelektu. Jednak najbardziej złowrogą siłę niesie koniunkcja Plutona z Jowiszem, sprzyjająca uwolnieniu ciemnych cech mentalnych. Co znamienne, układ Jowisz – Pluton tworzy również najgroźniejszą parę w horoskopie na dzień 31 sierpnia 1888 r., kiedy w Londynie słynny Kuba Rozpruwacz dokonał pierwszego mordu”.

Łączymy się w smutku z całą redakcją „Głosu Lubelskiego”, a naszych szanownych Czytelników zapewniamy, że będziemy na bieżąco informować o postępach śledztwa.

– Rozumiem. – Maciejewski złożył gazetę. – Wszelkie wątki metafizyczne porzucamy definitywnie. I tak nie dorównamy „Expressowi” ani policji warszawskiej i niemieckiej. Tu między nami zgoda?

– Pełna – uśmiechnął się Kraft. – Ale jak można nic nie mieć, a pisać przez pół strony?

– Przeciwnie – pokręcił głową Zyga. – Bardzo dobry artykuł. Jak morderca go przeczyta, odetchnie z ulgą, że gówny wiemy. I o to chodzi. A co jest w „Kurierze”?

– Tam już całkiem nic.

Maciejewski chwilę błędził wzrokiem po rozkładówce, zanim trafił na faktycznie krótką wzmiankę:

ROMAN BINDER ZAMORDOWANY

W dniu wczorajszym zamordowany został Roman Binder, redaktor naczelny „Głosu Lubelskiego”, działacz prawicowej opozycji. Przybyli na miejsce policjanci i wywiadowcy z Urzędu Śledczego zabezpieczyli ślady zbrodni.

Zdawkowy komunikat Komendanta Powiatowego P. P. mówi o wszczeniu śledztwa angażującego większość sił policyjnych. Spekulacje na temat motywów zbrodni zelektryzowały środowisko dziennikarskie i polityczne Lublina. Mamy nadzieję, że wraz z postępami w śledztwie będziemy mogli poinformować Czytelników, czy mord miał podłoże osobiste, zawodowe czy też polityczne.

Większą uwagę zwracała inna notka kryminalna z tytułem: „Pan Teofil dostał w profil”. Mimo to Zyga obejrzał cały „Kurier Lubelski” bardzo dokładnie, po czym schował go do szuflady biurka.

– A co „Głos” nam głosi? – zapytał z przekąsem, sięgając po kolejny dziennik.

– To cię bardziej zainteresuje. – Kraft wyjął z kieszeni marynarki zadrukowaną kartkę rozmiaru ćwiartki gazety.

Biorąc do ręki tę jednostronicową ulotkę zważą się szumnie wydaniem nadzwyczajnym „naszego sztandaru” – Maciejewski pokręcił głową z podziwu, że Zakrzewski zdążył ją przygotować. Nie miał natomiast wątpliwości, że klasa robotnicza nie zechce tego czytać. Nieużywanie wielkich liter, przecinków oraz akapitów może i było sensowne dla poetów awangardy, ale nie dla zwyczajnych ludzi.

...roman binder szczególnie przeciwstawiał się postępowym ruchom lubelskiej klasy robotniczej idąc przy tym ręką w rękę z rzekomo wrogim sobie reakcyjnym obozem rządzącym, co potwierdzają pracujący dawniej z nim dziennikarze: bardziej niż za redaktora gazety binder uważał się za agitatora obozu prawicy¶ ni mniej wraz z przedstawicielami innych miejscowych redakcyj „nasz sztandar” zaprzecza jakoby morderstwo na osobie bindera mogło mieć coś wspólnego z działalnością polityczną opozycyjnej lewicy. lecz jeśli okazałoby się iż czynu przestępczego dopuścił się w akcie desperacji przedstawiciel wielokrotnie opluwanej przez „głos lubelski” klasy robotniczej i mniejszości narodowych nasza redakcja roztoczy nad nim bezpłatną opiekę prawną i zadba o rzetelne relacje z procesu¶ bo choć przestępstwa nie pochwalamy ofiara na żal ludu pracującego nie zasługuje.¶

– I co sądzisz? – spytał Zyga, odkładając ulotkę.

– Artykuł 50. rozporządzenia o prawie prasowym jak nic. Wzywanie do składek na rzecz i wyrażanie uznania dla przestępcy. Trzy miesiące i tysiąc grzywny. No ale Zakrzewski zbiegł, tak? – Spojrzał podejrzliwie na podkomisarza.

– Zbiegł czy nie, tę bibułę podpisał Józef K. Zadziwiające: aresztować Józefa K.! – zaśmiał się Maciejewski.

Kraft jednak nie zrozumiał, bo nie znał „Procesu” Kafki. Maciejewski czytał tę powieść

po niemiecku i bolał, że dotąd nikt nie zrobił polskiego przekładu. Jego zdaniem „Proces” powinien wyjść w co najmniej kilkunastotysięcznym nakładzie i prócz księgarń trafić jako książka instruktażowa do wszystkich urzędów oraz wydziałów śledczych.

– A zresztą... – machnął ręką. – W każdym razie niejednemu czerwonemu Józef, a kto udowodni, że ów K. to Zakrzewski? No i co mnie to obchodzi?!

Zyga sięgnął po najnowsze wydanie „Głosu”. Nie znalazł tam nic oprócz przypomnienia, jakim to wzorem cnót był świętej pamięci redaktor Binder, i w domyśle – jakim sukinsynem musi być jego zabójca. Jednak zapach farby drukarskiej przywiódł Maciejewskiemu odległe wspomnienie o kawie. Sięgnął na parapet, gdzie odstawił dzbanek z „Europy”. Był całkiem pusty. Nawet fusy wyschły i za nic nie dałoby się z nich wróżyć. Najwyżej karmić nimi rosówki, które po kawie zawsze nabierały nadzwyczajnego wigoru i w Bystrzycy, parę kroków od domu Zygi, łąpały się na nie taaakie okonie.

– Masz może kawę w termosie? – zapytał Krafta.

– Ale z mlekiem – uprzedził zastępcę, sięgając do teczki.

– A jakichś kanapek żona ci nie zrobiła? – indagował dalej Maciejewski, kiedy już jego wczorajsza, pełna zacieków filiżanka napełniała się aromatycznym płynem.

* * *

Wywiadowcy nie przynieśli praktycznie żadnych informacji. Znajomi Bindera nic nie wiedzieli, co rozmowniejsi potrafili tylko dzielić się ze śledczymi podejrzeniami. Wszystkie one były równie interesujące co rewelacje podkomisarza Tomaszczyka. Dopiero po dziesiątej Fałniewicz wraz z Grzewiczem i jednym mundurowym przytaszczyli kilka paczek archiwalnych numerów „Głosu”.

– Nie chcieli dać – wysapał tajniak. – Ale nawinał się Zielny. Żeby pan kierownik widział, jakie słodkie oczy robił do takiej jednej redaktorki. W końcu tak kobitę zbałamucił, że zmiękla jak wosk.

– Jak to do jednej takiej?! – oburzył się Zielny, który właśnie wniósł ostatni pakunek. – Do najważniejszej, od recenzji kinowych. Co ja bym z innymi babami począł, gdyby nie te jej gadki szmatki w gazecie?! Wystarczy przeczytać i wiadomo, co trzeba mówić... Ale teraz mierzy wyżej, no bo co, panie kierowniku? Albo plajta, albo kop w górę. – Wywiadowca postawił obwiązaną szpagatem stertę obok biurka Zygi i poprawił fryzurę. Maciejewski zauważył, że Zielny, choć był we wczorajszej koszuli, to zmienił krawat. – Ona chce pisać takie kawałki społeczne, więc powiedziałem, że załatwię jej wspomnienia z drogi od grzechu do upadku. Znaczący zaprowadzę do kurew, żeby zapytała, czemu się kurwią – dodał, widząc, że Grzewicz nie rozumiał. – No i, ma się rozumieć, zapewnię jej pełne bezpieczeństwo.

– Darowalibyście sobie te farmazony – skrzywił się Kraft.

– Jak sobie pan komisarz życzy. Jakies rozkazy, panie kierowniku?

– Właśnie, co tam w burdelach? Znają Bindera?

– Nie, i to z całą pewnością.

– Trudno. Przełecicie się po mieście, może wam coś wpadnie w ucho – machnął ręką Zyga. – Odprawa na Anioł Pański.

Kiedy wyszli, Maciejewski wyjął szczyryk i wraz z Kraftem wzięli się za rozpakowywanie „Głosu Lubelskiego” z ostatniego roku. Zyga zaczął przeglądać gazety od numeru, który poszedł do drukarni ostatni przed morderstwem naczelnego. Niewiele się dowiedział. Na pierwszej stronie nie było nic prócz winiety i zdjęcia z podpisem „prof. Edward Achajczyk” – miejsce tekstu pokryła biała plama cenzury. By nikt przed świętem narodowym nie czekał na rząd i marszałka, podobnymi plamami była upstrzona też druga strona. Na resztę – drobne ogłoszenia, recenzję teatralną, program radiowy i rozważania, dlaczego Unia Lublin znów nie weszła do ekstraklasy, podkomisarz nie zamierzał tracić czasu. Oddał gazetę Kraftowi i sięgnął po kolejną.

– O, tu jest dobre! Przegapiłeś! – roześmiał się nagle Gienek. – „Książeczkę do nabożeństwa zgubiła dziewczynka, biegnąc nieopodal gmachu KUL. Zguba do odebrania w biurze redakcji”.

– A idź w cholerę! – mruknął Maciejewski.

– Co? Nie brzmi jak szpiegowski szyfr? – Kraft też chciał odłożyć ostatni „Głos”, ale nagle Zyga zabrał mu gazetę ze zjadliwym uśmiechem.

– Ty jednak jesteś dobry śledczy, Gienek! – pochwalił. – Szpiegowski szyfr. Kontrwywiad wojskowy kazał sobie meldować o podejrzeniach, no to mu zameldujemy.

– Nie wciągaj mnie w swoje wojenki, Zyga. – Kraft cofnął się na krzesło. Wiedział, że Maciejewski miał jakieś osobiste porachunki z wojskowymi, bo niekiedy jego złośliwość wykraczała poza zwykłą rywalizację między policją a armią.

– Jakie wojenki? – burknął podkomisarz. – Pełen oficjał. Pójdzie drogą służbową w zalakowanej kopercie. I niech się biedzą.

* * *

Dochodziła dwunasta, a Maciejewski i Kraft dobrnęli zaledwie do początku czerwca. Znaleźli wszystko i nic – gazeta Bindera zadarła praktycznie z każdym: od marszałka i pana starosty po komunistów, od lubelskich przemysłowców po wyzyskiwany proletariatus. Nie było tygodnia, aby nożyce cenzora nie naznaczyły białą plamą chociaż jednego numeru.

– Chyba nic z tego nie będzie, Gienek. – Zyga rzucił na biurko zastępcy kolejny „Głos”. – Z „Expressu” to się przynajmniej człowiek czegoś nauczy.

– Na przykład?

– „Nie eksperymentuj, używaj Olla prezerwatywy” – zarechotał Maciejewski, przypominając sobie reklamę, która póki mu nie spowszedniała, bawiła go do łez. – Przepraszam, Gienek, ty jesteś ojciec dzieciom... Może idź pogadaj z Tomaszczykiem, czy czegoś przypadkiem nie znalazł. Prędeż tobie puści farbę niż mnie.

Kraft zdziwił się nieco. Ta prośba brzmiała trochę tak, jakby Zyga chciał się go pozbyć. Ale dlaczego teraz i w jakim celu – tego zastępca nie potrafił odgadnąć. Zresztą tak ugodowej miny na twarzy Maciejewskiego nie widział co najmniej od roku. Może faktycznie był w kropce i nic nie knuł?

– Słuchaj, Zyga, a co z zabezpieczeniem jutrzejszych obchodów? – zapytał Gienek.

– Daj spokój, co to ja stójkowy jestem?! Nie mieliśmy żadnego cynku o możliwych prowokacjach, wyznacz paru tajniaków i puść w tłum. Ale raczej tych głupszych, lepszych szkoda. Binder to teraz więcej niż świętowanie niepodległości.

Gdy tylko za Kraftem zamknęły się drzwi, Maciejewski szybko otworzył szufladę i wyjął teczkę Trąbicza. Na wierzchu był kilkustronicowy maszynopis Bindera z odłącznymi poprawkami. Zyga uśmiechnął się, sięgając do równego stosu przejranych numerów „Głosu”, które zastępca w porządku chronologicznym ułożył na swoim biurku. Wyciągnął te, które bielą upstrzyła cenzura. Jeszcze raz zerknął na pokreślony tekst Bindera:

~~RYBA PSUJE SIĘ OD GŁOWY~~

Poeta, pederasta i deprawator

Kto posyła syna do szkół, oczekuje, że nauczyciele prócz czytania i pisania wpoją mu tam ideały patriotyczne i moralne. Kto sięga po tom wierszy, spodziewa się w nim znaleźć wzruszenia i przeżycia, które uwznioślą duszę. Kto wreszcie czyta gazetę, ma prawo żądać, by informacyj dostarczali mu ludzie, dla których *stać na straży prawdy* ~~przekazywać prawdę~~ jest najwyższym powołaniem.

Tym straszniejszym jest, gdy odkrywamy, że jeden człowiek przez całe życie sprzeniewierzał się wszystkim tym trzem powinnościom. Jako nauczyciel – wybierał ofiary swej chuci, jako poeta – usypiał czujność rodziców, jako dziennikarz – szkalował innych, ~~nie widząc~~ ~~belki w swoim oku...~~

Maciejewski z grubsza policzył liczbę wyrazów i próbował je dopasować do którejś z białych plam cenzury. Tylko jedna w miarę odpowiadała wielkością, tyle że przy niej było zdjęcie profesora Achajczyka. Albo więc paszkwil Bindera jeszcze nie został złożony do żadnego numeru, albo redaktor go znacznie skrócił. Choć z drugiej strony dlaczego cenzura broniłaby dobrego imienia Trąbicza? Czasy, gdy bywał pupilkiem magistratu, skończyły się przed rokiem wraz z rozwiązaniem rady miejskiej i wyznaczeniem komisarza rządowego. Wcześniej Trąbicza zasiadał w różnych komisjach kulturalnych i miał wpływ na ustalanie repertuaru miejskiego teatru. Teraz cicho kwilił jak większość tych, którym marzyła się większa władza w rękach samorządów. A sądząc po programach w gazetach, repertuar

teatralny też się popsuł.

Zanim wrócił Kraft – oczywiście z niczym – Maciejewski zatarł ślady po swym ukradkowym śledztwie. Sterta papierów na biurku zastępcy leżała nienaruszona niczym dziewica orleańska, a teczka zniknęła w szufladzie. Nie zdążyli zamienić nawet kilku słów, kiedy najpierw od misjonarzy, potem od katedry i innych kościołów dobiegł dźwięk dzwonów, a z Bramy Krakowskiej hejnał miejski.

Pierwszy przyszedł najbardziej punktualny tajniak, Fałniewicz.

– Melduję się, panie kierowniku. – Zdjął kapelusz i wyciągnął z kieszeni płaszcz „Lubliner Tugblat”. – Tu też jest notka o Binderze.

Podkomisarz rzucił okiem na krótki tekścik na trzeciej stronie. Jidisz był na tyle podobny do niemieckiego, że zrozumiał ogólny sens. Ale niewiele wyczytał – kilka zdań bez żadnych komentarzy redaktora, tak jakby morderstwo Bindera miało miejsce gdzieś w Meksyku albo w innej Rodezji. Pierwszą stroną zdominowało zdjęcie grupki smutnych, długowłosych i pejsatych młodych Żydów na tle wyższej uczelni talmudycznej. Zyga pamiętał jej otwarcie w czerwcu, bo cała policja przez tydzień nie robiła nic poza zabezpieczeniem uroczystości. Zjechało się prawie pięćdziesiąt tysięcy ludzi, w tym najsłynniejsi rabini z całego świata i minister Czerwiński. Już wtedy nowoczesny budynek dziwnie kontrastował podkomisarzowi z tłumem w myckach i chałatach.

– No i co tam piszą? – zapytał Fałniewicz.

– Że nie żyje – uśmiechnął się Maciejewski. – Ja na ich miejscu raczej bym się cieszył.

Zamknął szufladę biurka na klucz i wsunął go do bocznej kieszeni marynarki.

– Panie komisarzu – zwrócił się do Krafta – proszę przekazać wywiadowcom, żeby rozpytali o Bindera wśród dziennikarzy. „Głos”, „Express” i tak dalej. „Kurier” i Zakrzewskiego biorę na siebie. Może jak się któregoś przycisnie, to powie coś więcej, niż napisał. I niech pan da coś do roboty Tomaszczykowi, żeby nie przeszkadzał. Jakby ktoś dzwonił, wróćę druga, może trzecia.

Wychodząc z komisariatu, wpadł na Zielnego. Tajniak z uśmiechem patrzył, jak w drzwiach szarpie się z mundurowymi jakiś postawny obdartus z zarośniętą gębą.

– To ja zabiłem redaktora Bindera! – wrzeszczał, zionąc wódką. – To ja zabiłem!

– Jezus Maria, panie kierowniku, mus go będzie przesłuchać – zmartwił się Zielny.

Natręt najwyraźniej to usłyszał, bo wykręcił się w stronę wywiadowcy i zaryczał pieśń bojową proletariatu:

*Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!*

– Wezwę karetkę od Jana Bożego – zaproponował dyżurny przodownik.

– Jeszcze by co! – prychnął Maciejewski. – Jaki z niego wariat? Noce zimne, to sobie łachmyta umyślił zrobić hotel u nas na dołku. Zabierzcie go i wyrzućcie od podwórka.

– Dziś też kogoś zabiję! Jak psa. Zobaczycie, gliny! – odgrażał się pijak, ale młody posterunkowy boleśnie wykręcił mu rękę i poprowadził obdartusa w głąb korytarza.

* * *

Przeskakując kałużę, Maciejewski nieco się zdziwił – wcale nie zauważył, że w nocy, a może nad ranem popadało. Lekki wiatr rozpedził nieco chmury i jakby zrobiło się cieplej. Jednak Zyga był połamany niczym reumatyk. Czuł to zwłaszcza teraz, gdy po raz pierwszy od wielu godzin trochę rozruszał mięśnie.

„Trzeba będzie zadzwonić do Lennerta – przypomniał sobie. – Warto by wieczorem poboksować. Chociaż czy ja wiem...”

Przepuścił przejeżdżającą dorożkę i przeciął na ukos Krakowskie Przedmieście. Mijając „Astorję”, bezwiednie przełknął ślinę, ale odżałował obiad – w porze kolacji smakował mu zwykle lepiej – i wszedł do księgarni Gebethnera i Wolfa.

Cichy dzwonek u drzwi zbudził sennego sprzedawcę.

– Dzień dobry. – Księgarz podniósł się z krzesła. Poprawiając okulary, najwyraźniej próbował sobie przypomnieć klienta i zachęcić go do zostawienia paru złotych trafnym pytaniem. Ale pamięć mu nie pomogła, więc zaczął mało odkrywczo: – Czym mogę panu służyć?

Zyga rozejrzał się. Gdy jeszcze studiował, często odwiedzał tę księgarnię i rzadko zdarzało się, aby był w niej jedynym kupującym. Na ścianie naprzeciw lady wisiała informacja za szkłem:

PLATNA WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK

UWAGA: Za każde uszkodzenie książki odpowiada ostatni czytelnik, o ile przy wypożyczeniu nie zgłosił uszkodzenia pracownikowi wypożyczalni.

Obok stał regał z mocno zaczytanymi lekturami szkolnymi, prawie całym Sienkiewiczem i powieściami Karola Maya. Nie wyglądały jednak na szczególnie przetrzebione.

„Albo kryzys, albo takie-panie-czasy” – pomyślał podkomisarz. Jego wzrok prześliznął się po sprzedawcy, dwudziestoparoletnim szczupłym mężczyźnie w starej marynarce i urzędniczych zarębkawkach.

– Czy ma pan jakiś tomik wierszy Trąbicza? Najchętniej najnowszy.

– Trąbicza! – Księgarz nieco się ożywił. – Proszę, został jeszcze „Nad strugą” z dwudziestego siódmego, a tu najnowszy, tegoroczny. Jest również antologia... Zaraz podam. A może zechce pan też coś innego z awangardy?

Na twarz Maciejewskiego momentalnie wypłynął służbowy uśmiech.

– Pan zna się na poezji, jak widzę?

– Ja?... – Sprzedawca spuścił oczy. – Trochę.

Zyga odgadł, że księgarz pewnie sam próbuje coś skrobać w małym pogniecionym kajecie, który wystawał mu z kieszeni. Maciejewski oparł się lekko o ladę.

– A ja, widzi pan, niestety wcale. Może mi pan powiedzieć coś o Trąbiczu? On jest chyba z Lublina, czy z kimś go mylę?

– To redaktor naczelny „Kuriera”, znany człowiek. Znakomity poeta.

– Pan zna go pewnie osobiście?

– Osobiście? W żadnym razie. Ale wspiera młodych pisarzy. O, podobno wielu pomógł.

– A może mi pan polecić tomik któregoś z jego... – podkomisarz urwał – uczniów?

– Ich wiersze ukazują się czasem w „Kurierze”, a tomik... Miał być „Krew na sztandarze” Józefa Zakrzewskiego, ale cenzura... – Młody księgarz nerwowo potarł ręce. – Z awangardy gorąco polecam Tadeusza Peipera, choć całkiem inna szkoła wyrazu. Powiedziałbym...

– Dziękuję, zacznę od Trąbicza. – Zyga wyjął portfel, uważając, żeby nie odchylić poły marynarki, pod którą miał rewolwer. – Proszę dać mi książkę spod spodu, mało dotykana. To na prezent – wyjaśnił z uśmiechem. – I niech pan nie pakuje.

– Polecamy się na przyszłość – powiedział z lekkim ukłonem sprzedawca.

Zdziwił się, że klient zamiast darmowego przecież eleganckiego arkusika papieru woli włożyć tomik do taniej szarej koperty. I że nie zdjął nawet rękawiczek ani nie przekartkował książki.

Maciejewski ruszył prosto do redakcji „Kuriera”. Chciał pójść na skróty przez Plac Litewski, ale szybko zmienił zamiar. Teren po dawnej cerkwi dziś też wypełniali harcerze i uczniowie zebrani chyba ze wszystkich szkół. Znów ćwiczyli pieśni legionowe. Trzy dziewczyny w beretach gimnazjum handlowego próbowały się urwać w stronę parku, ale zawrócił je mundurowy pełniący tu służbę.

Nie było sensu przeciskać się przez taki tłok i straszyć młodzież gębą z trzydniowym zarostem. Obszedł plac, starając się na złość iść nierównym krokiem, gdy dobiegało: „Maszerują strzelcy, maszerują...”. Na nic – jego też nauczono maszerować i uczyniono z tego nawyk trwalszy nawet od palenia. Skręcił w Radziwiłłowską, gdzie na tyłach Urzędu Wojewódzkiego mieściła się redakcja „Kuriera”.

Minął znużonego stróża i wszedł po kilku schodkach na niski parter. Zgiął już palce, żeby zapukać, jednak po krótkim namyśle od razu złapał za klamkę. Drzwi skrzypnęły i odsłoniły zagracony biurkami pokój przesycony dymem perfumowanych papierosów.

– Pan redaktor Trąbiczu? – spytał Maciejewski jedyne go człowieka w pomieszczeniu, pulchnego mężczyznę przed trzydziestką o nieco nieobecnym spojrzeniu. Siedział w kącie pod oknem i wkręcał właśnie kartkę do maszyny. Papieros żarzył się w popielniczce obok dwu delikatnie zduszonych niedopałków. Nieco dalej leżało prawie puste pudełko

czekoladek.

– Słucham – powiedział redaktor. Wtedy Zyga dostrzegł ślady czekolady na jego wargach.

– Podkomisarz Maciejewski, wydział śledczy. – Błysnął wyjętą z kieszeni marynarki policyjną blachą. – Pan pozwoli, że zadam kilka pytań.

Trąbicz wstał, zdjął papiery z krzesła przed swoim biurkiem i wskazał je Maciejewskiemu. Zyga rozpiął płaszcz i zsunął rękawiczki.

– Chodzi panu zapewne o mord... – zaczął dziennikarz.

– Właśnie. Jak dobrze znał pan redaktora Bindera?

Tak jak podkomisarz mógł się domyślać, naczelny „Kuriera” znał kolegę po fachu ani lepiej, ani gorzej niż reszta pismaków z konkurencyjnych gazet. Że Trąbicz kiepsko udawał żal z powodu jego śmierci – to też nie było dla Maciejewskiego żadnym odkryciem ani okolicznością obciążającą. Przez kolejny kwadrans Zyga wyrozumiałym, zmęczonym uśmiechem i całą swoją postawą starał się dawać do zrozumienia, że on wie – są ludzie, których trudno lubić i żałować, jednak mimo wszystko kultura bycia narzuca określone słowa...

Wreszcie wstał, włożył rękawiczki i naraz, robiąc minę: „ach, bym zapomniał!”, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Tak przy okazji poproszę o autograf, jeśli wolno.

Zdziwione spojrzenie Trąbicza spotkało się najpierw z przekrwionymi od niewyspania oczami policjanta, potem jakby zawstydzone zsunęło się na jego nos ze śladami dawnego złamania, wreszcie spoczęło na okładce niewielkiej książeczki.

Jerzy Trąbicz
„CODZIENNIE”
i inne wiersze

– Interesuje się pan... pan komisarz... poezją? – Zaskoczony autor potarł brodę.

Maciejewski spostrzegł, że mimo oszczędnościowo nieogrzanego pomieszczenia nad górną wargą dziennikarza pokazały się kropelki potu.

– Podkomisarz, tylko podkomisarz – sprostował Zyga. – Interesowałbym się, jak najbardziej, niestety służba, brak czasu. Nie dla mnie, dla kuzynki. „Dla Rozanny Binczyckiej, nader sympatycznej marzycielki i czytelniczki moich utworów” poproszę.

– Dokładnie tak mam napisać? – Trąbicz wziął pióro.

– Jeśli pan tak uprzejmy – uśmiechnął się Maciejewski. – To naprawdę bardzo miła panna. I też próbuje układać wiersze. W gazetce szkolnej. Będzie zachwycona.

Poeta starannie wykaligrafował zdanie, kończąc wpisaniem swojego nazwiska malowniczym zawijasem. Wstawił datę i dmuchał pedantycznie, aż atrament wysechł.

Wreszcie zamknawszy tomik, podał go policjantowi.

Ten, nie przestając się uśmiechać, przeczytał dedykację i delikatnie wsunął książeczkę do wyjętej z kieszeni koperty. Krople potu na twarzy Trąbicza stały się jakby wyraźniejsze.

– Pan, jak sędzę, nie wyjeżdża z miasta? – zapytał Maciejewski.

– Nie, nie mam takiego zamiaru. – Redaktor pokręcił głową. – Ale nie sędzę, abym potrafił panu...

– A ja sędzę, że potrafi pan. Wydział Śledczy, Staszica 3, dziś o szóstej wieczór.

– Ale... – Trąbicz wstał. Szurnęło przesuwane po podłodze krzesło.

– Nalegam. – Zyga podniósł dłoń do kapelusza i wyszedł.

Ledwo znalazł się na ulicy, znów usłyszał mieszany chór powtarzający niczym zdarta płyta:

Nie chcemy już od was uznania

Ni waszych mów, ni waszych łez!

Skończyły się dni kołatania

Do waszych serc, do waszych kies!

– Do waszych serc, jebał was pies – mruknął pod nosem Maciejewski, poprawiając śpiewających zgodnie z żołnierską wersją „Pierwszej Brygady”. Lecz zaraz wzdrygnął się, choć dzień był jak na listopad całkiem ciepły.

* * *

Maciejewski zajrzał do notesu. Dobrze zapamiętał, Niecała 9 – naprzeciwko szkoły specjalnej i przedszkola, blisko też domu akademickiego, przed którym, żywo o czymś rozprawiając, stało właśnie kilku chłopaków pewnie z pierwszego kursu. Jeśli Binder miał choć cień racji co do Trąbicza, „poety i deprawatora”, ten wybrał sobie idealne miejsce na wynajęcie mieszkania. Zarazem blisko redakcji.

„Ale na komisariat też niewiele dalej” – uśmiechnął się pod nosem Zyga.

Wchodząc do bramy, potarł dłonią szpeciniasty policzek. Powinien odżałować parę groszy i wstąpić do fryzjera, z taką gębą nie miał szans zdobyć zaufania dozorca. Pomylił się jednak – choć nie wystarczyła policyjna blacha i cieć zażyczył sobie zobaczyć legitymację, to na widok stopnia Maciejewskiego gotów był wyśpiewać wszystko o każdym z lokatorów.

– To jednakowoż porządna kamienica – zastrzegł się od razu. – Żadnych, uchowaj Boże, Żydów ani politycznych.

– No i Bogu dziękować – powiedział poważnie podkomisarz. – Niebezpieczne czasy. A pan Trąbicz sam mieszka, z sublokatozem?

– Nie, sam.

– Przychodzi ktoś do niego?

– Czasem jakieś towarzystwo się zbierze. – Ciec wzruszył ramionami. – Ale złego słowa nie powiem, redaktory, literaty... Nie było takiego razu, żeby kto narzygał na schodach. Choć bynajmniej częściej to pan Trąbicz gdzieś chodzi. Jak trzeba w nocy otworzyć bramę, nie było, żeby się awanturował i nie zapłacił. Ale rzadko, bo jest przecież ten chłopak.

– Chłopak? – Zyga skrzywił usta, jakby go zabolął ząb.

Dozorca podrapał się pod czapkę.

– Ano nie powiedziałem, no tak, tak... Franio, jego siostrzeniec czy inny pociotek. Przyjechał w zeszłym roku, pan Trąbicz posłał go do szkoły. Do Vetterów, panie komisarzu – pokiwał poważnie głową.

Maciejewski spojrział na zegarek. Było prawie wpół do drugiej – lekcje już mogły się kończyć, zresztą przez to patriotyczne zamieszanie na Placu Litewskim kto wie, gdzie był teraz chłopak ze szkoły kupieckiej. Jak sprytny, pewnie z kolegami w parku przy Alei Raławickiej, jak łajza, ćwiczy „Pierwszą Brygadę”.

Śledczy rozejrzał się po podwórku – było starannie zamiecione, a wokół rachitycznego drzewka koło śmietnika stał niski płótek z pomalowanych na zielono deszczulek.

– Wie pan, kiedy kończy lekcje? – zapytał.

– No nie, panie, skąd mi to wiedzieć?! – Ciec zamachał rękami. – A myśli pan komisarz – nachylił się ku śledczemu – że oni redaktora Trąbicza chcą zamordować? Na miłość boską, gdyby coś takiego w naszej kamienicy!...

W tym momencie Zyga zobaczył, jak z suchotniczego drzewka spada brązowy, poskręcany listek, i opanowała go natrętna myśl: „A jeśli Binder nie łągał w tym paszkwilu?!”. Maciejewski sprawdził, na ile się dało, dane Trąbicza – nie miał siostry, nie mógł więc mieć siostrzeńca. Inny pociotek? Możliwe, ale jeśli faktycznie redaktor trzymał w domu nieletniego kochanka... Tylko po co posyłał go do dobrej szkoły, po co w ogóle posyłał?!

Wyciągnął papierośnicę.

– Pan pokaże, które to okna – poprosił, rozglądając się po kamienicy i oficynach. – Zapali pan? Sokoły.

Dozorca wziął papierosa i zgniótł gilzę zębami. Podał ogień.

– O tu, na pierwszym piętrze – pokazał.

Maciejewski zaczął żałować, że nie wprowadził Zielnego i Fałniewicza w wątek Trąbicza. Teraz bardzo by mu się przydali pod lokalem redakcji. Naczelnny wydawał się mocno podenerwowany i raczej tchórzliwy. Mało prawdopodobne, by zwiął, ale kto takiego wie...

Już miał pożegnać się i pognać z powrotem na Radziwiłłowską, kiedy nagle ciec wypuścił spod rudych wąsów kłęb dymu i uśmiechnął się szeroko.

– No i Franio wrócił ze szkoły!

Zyga rozdeptał papierosa, nie zwracając uwagi na kwaśną minę dozorczy. Podszedł do zaskoczzonego chłopaka. Mógł mieć piętnaście, może szesnaście lat i jeśli nawet był krewnym

Trąbicza, to sądząc po wyglądzie, w najwyżej dwudziestej linii. Czarne włosy, pociągła, opalona twarz i żadnych skłonności do tycia. Poczciwy wygląd wiejskiego wyrostka nieudolnie tuszował łobuzerskim spojrzeniem.

– Jestem z policji. – Maciejewski złapał Franka za ramię i pociągnął go do klatki schodowej.

– Ale panie władzo, ja się nie urwałem z próby na Placu Litewskim! – niemal wykrzyknął chłopak, ściskając mocniej teczkę z kajetami. – Jeśli mnie ktoś spisał, to przez omyłkę.

– Dobrze radzę, nie kręć – warknął groźnie Zyga. – No już, idziemy, tu nie będziemy rozmawiać.

* * *

Na widok Maciejewskiego Kraft spojrział na zegarek. Jeśli kierownik mówił „druga, może trzecia”, zwykle wpadał z językiem na brodzie najwcześniej o wpół do czwartej. A tym razem pojawił się o czasie. Gierek podniósł nawet swojego starego patka do ucha – nie stanął, tykał.

Zyga szerzej otworzył drzwi i kiwnął ręką na chłopaka. Ten wsunął się niepewnie i sztywno skłonił głową Kraftowi.

– Franciszek Czuba, przesłuchać w charakterze świadka – rozkazał poważnie Maciejewski.

Zastępca już chciał zauważyć, że to przecież nieletni i nie może tego robić bez obecności opiekuna prawnego, ale w porę ugryzł się w język. Kierownik wyraźnie strugał ważnego policjanta.

– Siadaj. – Kraft wskazał chłopakowi krzesło. – Zaraz ktoś zada ci kilka pytań.

– Ale proszę pana, ja...

– Siadaj! – krzyknął Maciejewski i wyszedł na korytarz.

Drzwi pokoju wywiadowców kryminalnych były uchylone. Zielny z Grzewiczem siedzieli przy stole z rozłożoną gazetą i jedli kanapki z zimnym schabowym. Zapach dobrze przysmażonej panierki przypomniał Zydze, że od dwóch dni nie widział porządnego obiadu.

– Szybciej, Zielny! – warknął Maciejewski. – Masz robotę.

– Tfact jest, panie kierowniku. – Tajniak przełknął potężny kęs.

– Chodź.

– Poczęstuje się pan komisarz? – spytał Grzewicz.

– Dziękuję. – Maciejewskiemu głośno zaburczało w brzuchu, ręka już chciała sięgnąć po kanapkę. – Nie – zdecydował. – Na wasze dorożki i tak nie dam, bo nie mam.

Dłuższą chwilę tłumaczył na korytarzu tajniakowi, co ma robić. Zielny kiwał głową, słuchał i nawet nie próbował o nic pytać. Kierownik rozgrywał jakiś swój plan, a wtedy należało posłusznie wykonywać polecenia i dopiero później ewentualnie włączyć własną inicjatywę.

– Tak jest, panie kierowniku. Stać murem pod redakcją. Jeśli gość wyjdzie, zgarnąć od

razu uprzejmie i z kulturą. Jak nie, punkt czwarta wejść samemu. Nie przy ludziach. Wszystko jasne.

– Aha – dorzucił Maciejewski. – Dyżurnemu powiedzieć, żeby jednak przynieśli mi coś do jedzenia. Bo chyba zdechnę do czwartej. I niech kupi czekoladki.

– Czekoladki? – Zielny zdębiał.

– E, nieważne! Niech przyśle mundurowego, sam mu wytłumaczę. Grzewicz, już po obiedzie? – Zyga wsadził głowę do pokoju wywiadowców. – No to do roboty!

* * *

– Proszę uprzejmie. – Zielny uśmiechnął się, otwierając przed Trąbiczem drzwi gabinetu kierownika wydziału.

Maciejewski popijał właśnie herbatę, a przed drugim biurkiem siedział zdenerwowany Franek.

– Coś się stało? – Trąbicz zbladł.

– Tu ja zadaję pytania! – huknął Zyga. – Panie Kraft, proszę zabrać chłopca. Dać mundurowego, niech go odprowadzi do domu. I jest pan wolny.

– Odmeldowuję się! – Zastępca już odwykł od tak służbowego tonu, ale pamiętał, jak się stuka obcasami. Popychając przed sobą Franka, zabrał płaszcz z wieszaka.

– Maszynistka niech czeka! – rzucił jeszcze Maciejewski. – A pan niech siada. Za chwilę wszystko się wyjaśni. – Wstał zza biurka i przekręcił klucz w zamku. – A więc co pan robił wczoraj około drugiej-trzeciej w nocy?

– Spałem – powiedział poeta, mnąc nerwowo kapelusz. – Chcę zadzwonić do...

– Po kolei. A co robili wczorajszej nocy pańscy koledzy z redakcji. No bo nie uwierzę, że nie rozmawialiście o tym.

– Proszę pana! – Trąbicz rozpiął palto. – Ja dobrze wiem, o co panu chodzi, ale ja się do tego nie nadaję. Co tu robił Franek?

– Pan wybaczy – Zyga przekrzywił głowę – do czego się pan nie nadaje?

– Na konfidenta. Proszę mi wyjaśnić...

– Oczywiście, że wyjaśnię. – Maciejewski wyprostował się na swoim krześle i sztywnym, urzędniczym ruchem wyjął teczkę z nabazgranym nazwiskiem naczelnego „Kuriera”. – No cóóó... Pan jest poeta, człowiek wrażliwy, więc chciałem panu pomóc. Ale skoro pan tak stanowczo nie chce pomóc mnie...

Wstał, minął przerażonego dziennikarza i otworzył drzwi na korytarz.

– Posterunkowy, zawołajcie maszynistkę! – rzucił.

Potem wrócił za biurko i w milczeniu przeglądał papiery Trąbicza. Oderwał się od nich, dopiero kiedy do pokoju weszła młoda szatynka w rogowych okularach i wkłęciwszy kartkę do zdezelowanego Orła, usiadła za małym stolikiem tuż przy ścianie.

– Imię, nazwisko, imię ojca, urodzony... – zaczęła Zyga tonem, w którym znużenie

mieszało się z rosnącą złością.

Trąbicz melancholijnym głosem podawał wszystko to, co i tak bez wątpienia Maciejewski miał w teczce przed sobą. Stukot starej maszyny męczył i zmieniał słowa w martwe litery. Tak przynajmniej przemknęło przez myśl przesłuchiwanemu poecie, choć nie był wcale w nastroju do szukania metafor.

– Więc co pan robił wczoraj o godzinie trzeciej w nocy?

– Byłem w domu.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Chcę zadzwonić do adwokata!

– Czyżby obawiał się pan czegoś? – Maciejewski popatrzył na niego ostro. – Karany?

– Niekarany – odburknął redaktor.

– Jak dotąd... – Policjant znów zajrzał do teczki. – W 1923 podejrzany o przynależność do sekty satanistów.

– Co pan opowiada?! – Pot lśnił już nie tylko na nosie redaktora. Całe czoło miał mokre, jakby dopiero co wyszedł z kąpieli. – Nie było nawet procesu! Wydawaliśmy pismo poetyckie „Belzebub”. Może dziwny tytuł, no ale... Czy policja nie ma nic innego do roboty, że wyciąga stare donosy?! To nieprawda!

– Prawda czy nieprawda, nie wiem – odparł beznamiętnie Maciejewski. – Ale napisane jest, że był podejrzany. Z kolei mord na Binderze śmierdzi rytualnym, tak stało w „Expressie”. Ale do rzeczy, podejrzany pan był, tak?

– Byłem.

– Panno Jadwigo, proszę pisać: „W 1923 roku byłem podejrzany...” i tak dalej.

Znów rozszczekała się maszyna, a potem panna Jadwiga, skończywszy akapit, z piskiem przesunęła wałek.

– A to już nie z dwudziestego trzeciego, tylko świeża bułeczka. – Maciejewski wyjął z teczki maszynopis Bindera. – „Trąbicz, publicznie odgrywając rolę poety i społecznika, od lat zwabia do swego mieszkania nieletnich” i tak dalej. Co pan na to?

– Chcę zadzwonić do adwokata.

– Z wykształcenia jest pan nauczycielem, był pan kierownikiem szkoły. Dlaczego pana zwolniono?

– Nikt mnie nie zwolnił! – zaprzeczył gwałtownie Trąbicz.

– Rozumiem, że prowadzenie gazety daje panu stały i wysoki dochód?

– Powiedziałem panu, że...

Ale śledczy nie słuchał.

– Panno Jadwigo, proszę kontynuować: „Odmawiam odpowiedzi na posądzenie mnie o przestępstwa przeciw obyczajności...”.

Redaktor spuścił wzrok, gdy maszynistka zaczęła pisać. Ale Maciejewski nie dał mu zapaść się w sobie.

– Po co tak kręcić? Przecież rozmawiałem z tym chłopaczkiem – powiedział głośno, zagłuszając stukające czcionki.

– Nie daruję wam Franka! – Głos Trąbicza zadrżał.

– Przekonamy się o tym w sądzie – odparł spokojnie śledczy. – A tymczasem... Cóż, chłopak przyznał, że nie jest pan jego wujem. Panno Jadwigo, dalej: „...mimo że z mieszkającym ze mną małoletnim Franciszkiem Czubą nie łączą mnie więzy pokrewieństwa” – podyktował maszynistce, a potem zwrócił się do poety: – Co zaś do pańskiego tomiku wierszy, został już poddany badaniom daktyloskopijnym – zełgał. – Są pewne ślady... Zresztą jutro z samego rana przejdziemy się do Urzędu Śledczego. Dwa kroki od pańskiej redakcji, ciekawe, prawda? – Maciejewski rzucił okiem na czerwieniejącą twarz Trąbicza i ciągnął: – Co zaś tyczy dedykacji, to umyślnie poprosiłem pana o napisanie „Rozanny”, bo jest tam i „Ro”, i „an” jak w „Roman”. Binczyckiej też do Bindera niedaleko, a i „marzycielka” nie była dla ułańskiej fantazji, panie redaktorze. Grafologia to niedoskonała dziedzina, ale żeby narobić panu nieprzyjemności, w zupełności wystarczy. Psychologia tym bardziej. No bo proszę się zastanowić, kto wpadłby na pomysł, aby zabić mężczyznę i wsadzić mu odciętego członka do ust? Zdradzona kochanka? Zapewne zadowoliliby się samym wykastrowaniem. A więc pozostaje kochanek. To co, nadal nie chce mi pan pomóc?

– Panie komisarzu, ja nie rozumiem...

– Posiedzi pan, pomyśli, to i zrozumie! – powiedział wesoło Zyga i wyciągnął spod biurka pudełko czekoladek Wedla, dokładnie takich samych, jakie kilka godzin wcześniej Trąbicza jadł u siebie w redakcji. – Proszę się poczęstować.

Tak jak oczekiwali, czekoladki rozstroiły redaktora. Gdy wokół przesłuchiwanego wszystko układa się w misterną grę, a nie zwykły splot przypadków, każde jego słowo brzmi jak nieuniknione wyznanie winy. Tę naukę Maciejewski wyciągnął właśnie z „Procesu” Kafki.

– Nie chce pan? Trudno... – westchnął podkomisarz, obserwując splecione na brzuchu pulchne dłonie Trąbicza. – A gdybym tak zamknął pana na czterdzieści osiem godzin? Nie mogę zagwarantować jednoosobowej celi, a jeśli ktoś chlapnie, pod jakim pan podejrzeniem...

– Ale co ja mam do zabójstwa Bindera?! – wybuchnął redaktor.

– Pan ciągle o nim! – Maciejewski udał zdziwienie. – Ja mówię teraz o pederastii i deprawacji. Na tych, co siedzą u nas na dołku, zabójstwo Bindera zrobiłoby raczej dobre wrażenie, panie Trąbiczu.

Obojętna jak automat maszynistka czekała na kolejne słowa do protokołu, ale śledczy nie musiał już nic dyktować. Wygrał, mówił mu to jego nos psa gończego. Na twarzy Trąbicza niby nie zaszła żadna zmiana, jednak Maciejewski wiedział, że tak właśnie wygląda człowiek, który się złamał.

– Więc jak będzie, panie redaktorze? – zapytał.

– Dobrze, ale nie do protokołu.

- Dziękuję, panno Jadwigo.
- Do widzenia, panie komisarzu.

* * *

Było po ósmej wieczór, kiedy podkomisarz Maciejewski oddał dyżurnemu klucz do swojego pokoju i szybkim krokiem wyszedł z komisariatu. Przeciął pusty już Plac Litewski i ruszył w stronę rogu Krakowskiego i 3 Maja. Sprawdził, czy jego zegarek zgadza się z tym na budynku poczty, po czym nagle przystanął. Zapalił papierosa, nie wiedząc, gdzie iść. Wpadło mu do głowy, żeby zajrzeć do Róży – mieszkała niedaleko, obok kabaretu na Szpitalnej. No ale żaden amant ani mąż – dla własnego dobra – nie powinien przychodzić bez uprzedzenia, poza tym jaka baba by go zrozumiała?! A już na pewno nie wesoła pielęgniarzka! Nie miał ochoty wracać do pustego domu, ale i myśl o knajpie budziła w nim niechęć. Choć wypić coś byłoby bardzo na miejscu – w końcu o mało co nie skrzywdził człowieka z tej samej gliny. A jeśli nawet nie z tej samej, to w każdym razie skopanego przez los w podobnych okolicznościach...

Jak wynikało z rozmowy – a nos Maciejewskiemu mówił, że mężczyzna tak wypłakujący się drugiemu obcemu mężczyźnie nie może kłamać – życie Trąbicza, tak jak i Zygi, zupełnie zmienił rok 1920. Wtedy obaj zgłosili się na ochotnika do wojska. Przyszły redaktor „Kuriera” miał siedemnaście lat i wyglądał zapewne jak „panienka”, o jakiej knajacy z Zamku mogą tylko pomarzyć. Gdzieś w okopach na Wołyniu trafiło się trzech przyszłych dezertersów, którzy najpierw zabrali chłopakowi karabin, a potem zmienili swoje marzenia w rzeczywistość. Trąbicz wyznał, że nie zabili go jedynie dla śmiechu, bo „taki frajer sam się powiesi”.

– Ja wiem, pan nie uwierzy, nie zrozumie... – płątał się redaktor, a i Zyga nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Był w końcu wywiadowcą policyjnym, a nie spowiednikiem czy doktorem Freudem. Mógł tylko zamknąć drzwi na klucz, żeby nikt nie wszedł, i wyłączyć telefon. – Ja od tych chłopców nic nie chcę. Ale oni są z biednych rodzin, bezbronni, ja... Po prostu chcę pomóc. Mieszkają jak u wujka, bo mówią mi „wujku”, wie pan... Płacę za szkołę, kupuję książki, ubrania, jedzenie, wszystko... Najpierw był Stefek, teraz Franek. Może i jestem pederastą, kobiety mnie nie interesują, ale ja im nic... Ja bym nie mógł, niech pan uwierzy!

– Proszę się uspokoić. – Zyga wstał, obszedł biurko i usiadł na jego brzegu, aż stary mebel zatrzeszczał ostrzegawczo. – Między nami nie było rozmowy. W ogóle pana nie wzywałem, a pańska teczka zniknie tak głęboko, że jutro sam zapomnę, gdzie ją wsadziłem. – Uśmiechnął się z przymusem. – Koniec, kropka. Weź pan te czekoladki na przeprosiny i idź pan stąd, zanim się rozmyślę.

– Ale ja naprawdę! – niemal wykrzyknął zapłakany Trąbicz, jakby w ogóle nie usłyszał ostatnich słów, które istotnie nie pasowały do oficera śledczego.

– Znam się na ludziach i wiem, że pan naprawdę. Ale kto inny by pana teraz ścisnął i nie wypuścił. Mnie też korci, bo jest z pana idealny informator. Dlatego mówię: idź pan sobie! – Zyga odczekał, aż redaktor osuszy nos.

– Dziękuję, panie komisarzu.

– Podkomisarzu. I najlepiej wyjedź pan gdzieś. Żegnam.

Nie powiedział Trąbiczowi, że słuchając go, przypomniał sobie fragment tytułowego wiersza z jego tomiku. Książkę co prawda tylko przekartkował, ale ten urywek został mu w głowie:

*codziennie chodziłem szosą
obok topole i rów
lecz ja tam widziałem okop
i mordy troglodytów*

Tylko że to, co wcześniej brał za pacyfistyczne dyrdymały, zabrzmiało teraz Maciejewskiemu całkiem inaczej.

I nie powiedział jeszcze jednej rzeczy – zachowywał się szorstko wcale nie dlatego, że był policjantem. Po prostu w przeciwnym razie też zacząłby gadać...

Tak jak Trąbicz poszedł na wojnę bolszewicką jako ochotnik, tyle że miał prawie dwadzieścia lat i był już studentem pierwszego roku prawa. Dali mu pasek podchorążego i trafił pod pozornie całkiem sympatycznego dowódcę plutonu, podporucznika Hryniewicza, też studenta prawa, ale trzy kursy wyżej.

To się zdarzyło między Krasnymstawem a Chełmem Lubelskim. Gdy pluton Zygi patrolował rejon wsi Depułtycze, wybiegła im na spotkanie przerażona kobieta, która zaczęła mówić coś nieskładnie o mężu i uzbrojonej bandzie.

– Bolszewicy? Dezerterzy? – dopytywał się podporucznik.

– Kto ich tam teraz rozróżni! – rzuciła i dalej lamentowała.

W końcu okazało się, że jej mąż był jednym z miejscowych policjantów, a bandyci napadli na ich dom, żeby zastraszyć resztę wsi. Policjant jednak z daleka dostrzegł napastników, synowi kazał zabrać siostrę i uciekać, a żonę wysłał po pomoc.

Hryniewicz rozstawił ludzi, by wziąć obejście w kleszcze, nie zapomniał też o szpicy. Ale kiedy ta doniosła o zbliżającym się pojeździe konnym, dowódca stchórzył. Zatrzymał żołnierzy i w kółko gadał o taczance. Maciejewskiego posłał do najbliższego gospodarstwa. Kazał mu zarekwirować konia i jechać po wsparcie.

– Ależ panie podporuczniku – próbował tłumaczyć Zyga – tam człowiek! A bandyci się nie spodziewają. Taczanka nie taczanka, weźmiemy ich z zaskoczenia.

– Rozkaz był, podchorąży. Tu też ludzie. Goń!

I pognał. A gdy po dwu godzinach podeszli do zabudowań już we dwa plutony piechoty,

ze wsparciem sekcji kawalerii i karabinem maszynowym, okazało się, że bez potrzeby zmuszał wsiową chabętę do galopu. Na progu z rozwalonymi czaszkami leżały trupy mężczyzny i wyrostka – chłopak ukrył siostrę u ludzi we wsi, a sam wrócił pomóc ojcu. Całe obejście było splądrowane, a po bandytach nie został ślad. Nad ciałami swoich bliskich szlochała tamta kobieta. Kiedy podniosła głowę, Zyga nie miał odwagi spojrzeć w jej oczy.

Kawalerzyści ruszyli na zwiad i pod lasem, jakieś dwa kilometry od gospodarstwa poznali dalszy ciąg zdarzeń. Otóż gdy pluton Maciejewskiego czekał na wsparcie, dwaj inni policjanci z wioski ruszyli na pomoc koledze, a zastawszy go martwego, podjęli pościg.

Żołnierze i tu przybyli za późno. Natknęli się na postrzelonego konia, cztery trupy bandytów i jednego zabitego policjanta – tego, który miał więcej szczęścia. Drugiego znaleźli już w lesie. Został ranny, a następnie po szyję zakopany w ziemi. Potem rozbito mu kolbą głowę, aż wytrysnął mózg, i na koniec do tak opróżnionej czaszki któryś oddał stolec.

Ówczesny podchorąży Maciejewski, gdy tylko wyrzygał pod drzewem wszystkie posiłki z ostatnich godzin, oznajmił dowódcy, że to on jest odpowiedzialny za śmierć tych ludzi.

– Chciałbym was widzieć, podchorąży, jak z bagnetem idziecie naprzeciw kulomiotu – warknął Hryniewicz wściekły, że niższy szarżą ośmielił się go skrytykować, w dodatku przy podwładnych.

– Będzie się pan tłumaczył przed sądem wojennym, podporuczniku – odparował mu Maciejewski. I jak to gówniarz, dodał zjadliwie: – Bo nie spodziewam się, żeby taki tchórz jak pan odważył się wcześniej dać mi satysfakcję.

– Czemu nie, podchorąży? – powiedział zimno dowódca i zanim Zyga pojął, co się dzieje, dostał w zęby z obu pięści, potem chrupnął mu złamany nos, a w końcu, leżąc już na ziemi, czuł na żebrach podkute buty Hryniewicza.

Później pod sąd wojenny trafił nie tamten podporucznik, ale podchorąży Maciejewski. I kto wie, czy kiedykolwiek miałby szansę na pracę w policji, gdyby owa „taczanka” nie okazała się skradzioną bryczką, którą bandziory przewozili łupy. Banda też zresztą była ciekawa – robotniczo-chłopska i w pełni internacjonalistyczna, jak powiedziałby pewnie Lenin, złożona z dezertersów bolszewickich, ukraińskich i polskich.

Wcześniej jednak Zyga usłyszał wiele mądrych słów od zaciągającego kresowo łysego sierżanta, który obwiązywał go bandażami po pobiciu przez dowódcę:

– Oj, biednyś ty, synku, wojska nie rozumisz. Trza było namówić gnoja, coby rozkazał zrobić drugie rozpoznanie. Przecie znać było po naszych gębach, żeśmy się rwali. I poszliby my w dziesięciu, niechący wdali się w wymianę ognia i dali radę. A z szarżą, synku, zadzierać to jak szczać pod wiatr! Tak było za cara, tak będzie i za Polski.

– O nie, w Polsce tak nie będzie! – znów wyrwał się jak dzieciak poobijany Zyga.

– Będzie, będzie – spokojnie powiedział łysy sierżant. – Oj, biednyś ty, synku! Módl się do Ostrobramskiej o karną kompanię, bo może być i czapa.

Choć od tamtych wydarzeń minęło dziesięć lat, Maciejewski zaciskał zęby, gdy

oficerowie wojskowego kontrwywiadu mieszały mu się do roboty i gdy przy byle okazji cała umęczona ojczyzna musiała śpiewać „Pierwszą Brygadę”. I choć było to równie głupie, co naiwne, nadal uważał, że jest coś winien tamtym trzem policjantom i wyrostkowi. Może gdyby postawił się wtedy podporucznikowi albo sprytniej do niego zagadał, przynajmniej dwóch z nich by żyło.

Wojenne wspomnienia przerwał Maciejewskiemu patrolujący ulicę posterunkowy.

– Proszę pana, stoi pan i śmieci, a tu jutro ma być manifestacja patriotyczna! – usłyszał Zyga.

Spojrzał pod nogi i zaskoczony dostrzegł chyba z dziesięć rozdeptanych niedopałków. Obrócił zdziwione spojrzenie na mundurowego.

– O, bardzo pana komisarza przepraszam! – Policjant zsalutował i ruszył w przeciwną stronę.

Zegar nad pocztą wskazywał dziewiątą piętnaście.

* * *

Paweł Jeżyk, referent cenzury lubelskiego starostwa, starannie zawiązał krawat. Dziwka, pólżąc na łóżku, przeliczyła pieniądze, a potem bezmyślnie zapatrzyła się na pałac biskupi po przeciwnej stronie ulicy.

– Masz! – Jeżyk rzucił jej jeszcze dwadzieścia złotych. – I zapomnij, że tu byłem. Zrozumiałaś, zdziro?!

Banknot zaszeleścił jej w dłoniach. Popatrzyła spod oka, nie rozumiejąc. I nie szło o to, żeby inni nie dawali więcej, niż było umówione, bynajmniej! Ale zwykle chcieli słuchać jęków i chwaleń ich niepospolitej męskości. Zapewnień, że było jej dobrze jak nigdy przedtem, że nigdy tego nie zapomni. Zawsze zapominała, kiedy tylko wyszli. A ten dawał dwadzieścia złotych za coś, co mógłby mieć za darmo.

Skwapliwie pokiwała głową. Jeżyk wyciągnął z kieszeni obrączkę, wsunął na palec i wyszedł.

Klatka schodowa przypominała sztolnię. Schody wiodły w dół, poniżej poziomu ulicy. Słaba żarówka na korytarzu bzycała cicho, jakby zaraz miała się przepalić. Jeżyk spojrzał przez okno na tonącą w mroku Zamojską i poczuł się nieswojo. Światło latarń zniknęło pożarte przez noc. Zamajaczyła mu kładka prowadząca z ulicy wprost do niewielkiego sklepiku kolonialnego na drugim piętrze i strome kamienne stopnie schodzące na trotuar kilka kroków od bramy. Wyszedł jednak z drugiej strony – na położony niżej niż Zamojska ciemny, pochyły Żmigród, gdzie już żaden znajomy czy kolega z pracy nie zapyta, skąd to pan referent wraca o tej porze. A on jakby nigdy nic wynurzy się na Bernardyńskiej *vis-à-vis* gimnazjum Czarnieckiej i browaru.

Bruk był mokry, ale przymrozek jeszcze nie łapał, więc nie musiał się obawiać, że skreśli nogę. Ruszył szybkim krokiem, uważając tylko, żeby nie wdepnąć w końskie łajno albo w

kałużę.

– Pan pozwoli ognia – usłyszał nagle.

Z pobliskiej bramy wyłoniło się dwóch mężczyzn w nasuniętych na oczy kaszkietach. Spojrzał za siebie – od zbiegu Żmigrodu z Królewską schodził w dół trzeci cień.

– O co chodzi? Wiecie, kto ja jestem?! – krzyknął histerycznie cenzor.

– Nie, ale spokojna głowa, zaraz się dowiemy. – Wprawna złodziejska łapa zanurkowała pod połę płaszcza i wyłuskała portfel. Zabłysła zapalka, oświetlając młodą jeszcze twarz ze szramą na policzku.

– Nasz? – spytał drugi bandzior.

– Nasz – kiwnął głową prowodyr, odnajdując dowód osobisty i plik wizytówek.

Płomyk zgasł i Jeżyk poczuł palący ból w łędźwiach. Chciał krzyczeć, ale ktoś zatkał mu usta jego własnym kapeluszem.

– Jest forsa, jak Wąsał nadał. I jaki kosior! – usłyszał jeszcze cenzor jak przez mgłę, gdy ktoś zdejmował mu zegarek z grawerunkiem: NA 10-TĄ ROCZNICĘ ŚLUBU – KOCHAJĄCA HELENA.

Rozdział 3

11 listopada 1930 r., wtorek

W nocy wiatr zdołał przepędzić chmury i dzień wstał tak słoneczny, jak to bywa w październiku, ale nie w listopadzie. Maciejewski wyskoczył z autobusu przy skrzyżowaniu głównych ulic miasta – koło Bramy Krakowskiej i magistratu. Spojrzał na zegarek. Zaspał, a wydanie forsy na bilet w niczym nie pomogło – było kwadrans po dziewiątej. Zyga zaczął przepychać się przez tłum odświętnie wystrojonych ludzi.

Podkomisarz zszedł z trotuaru na jezdnię, ale zyskał tylko kilkanaście metrów, bo od Placu Litewskiego wprost na niego nadjechali ułani i musiał zejść na chodnik. Powiewały proporzycyki na lancach, błysnęła w słońcu szabla dowódcy szwadronu i konie ze stępa przeszły w klus. Temperatura uczuć patriotycznych rosła. Ludzie klaskali, krzyczeli, pofrunęły w górę kapelusze. Tymczasem oddział przeformował się z szyku dwójkowego w czwórkowy i zajmował całą szerokość ulicy. Tłum gęstniał.

Maciejewski znalazł się pośród ciasno stłoczonych gapiów. W końcu nie mógł zrobić kroku ani w lewo, ani w prawo. Do Świętoduskiej brakowało mu jakichś dwudziestu metrów, ale ludzka zapora trzymała i wsysała jak bagno. Poruszając ramionami niczym pływak, przecisnął się ledwie kilka kroków i znowu utonął. Tym razem głębiej, na dno, bo potknąwszy się o czyjąś nogę, upadł.

Ktoś go przydusił, ale inny złapał za ramię i energicznie potrząsnął. Zyga podniósł na niego wzrok i zamrugał oczami zdziwiony. Zobaczył nad sobą uśmiechniętą facjatę Rudolfa Valentino – jak z afisza. Tylko że ten Valentino nie był czarno-biały i jechało od niego jak z perfumerii. Podkomisarz nie leżał już na bruku, a w zmiętej pościeli pod ciężką, dawno niewietrzoną pierzyną. Za oknem siąpił bardzo listopadowy deszcz.

– Kurwa, Zielny, jak ty wyglądasz? – mruknął niechętnie Maciejewski.

Wywiadowca spojrzął po sobie. Wyglądał najzupełniej tak, jak należało. Biało-czarne trzewiki, ciemnoszare spodnie w delikatne prążki – z mankietami i równym kantem, dwurzędowa marynarka, bordowy krawat ze sztucznego jedwabiu i wpiętą szpilą z czymś, co bardzo przypominało perłę. Do tego szary, filcowy kapelusz fedora – co prawda z Ząbkowic,

nie z firmy Borsalino, ale może i lepiej, skoro rząd nakłania, by wspierać rodzimy przemysł. Koszula nie była co prawda całkiem odprasowana, ale podkomisarz nie mógł tego widzieć – dość, że kołnierzyk czysty.

Zielny niepewnie przygładził włosy.

– A pan drzwi na noc nie zamknął – odparował.

– Bo co tu kraść?! – Zyga usiadł na łóżku, lecz zaraz podniósł nogi z podłogi. Była lodowata. – Która godzina?

– Pół do szóstej – zameldował tajniak. – Ojczyzna wzywa, panie kierowniku.

Podczas gdy Maciejewski wodził podkrążonymi oczami po ścianach, Zielny usiadł na krześle i poprawił biały szalik. Dobrze się czuł w norze swojego przełożonego, zwłaszcza budząc go przed świtem, gdy mózg podkomisarza nie zaczął pracować. Także podmiejska brzydota Rur Jezuickich – wtłoczonych między rzekę, cegielnię i folwark – oraz ten dwuizbowy parterowy domek umeblowany gratami, które jeszcze za cara powinny się znaleźć na śmietniku, dobrze robiły tajniakowi na poczucie wartości.

Tymczasem Zyga wymacał stopami przydeptane kapcie i otulając się szczelniej piżamą, podszedł do umywalki w kącie. Przechylił dzbanek nad miednicą, był on jednak pusty.

– Zrób kawy, co? – warknął podkomisarz. – W kuchni w kredensie. Bo rogalików maślanych pewnie ze sobą nie masz.

Maciejewski dochodził do siebie. Zielny westchnął i posłusznie wstał.

– Nie, za to świeże wiadomości. Niestety złe, panie kierowniku.

– No domyślam się. A w szczególności?

– W szczególności, panie kierowniku, to mamy denata. Paweł Jeżyk, urzędnik cenzury. Żmigród, rzut kamieniem od burdelu.

– Cenzor w Święto Niepodległości. No to się Tomaszczyk ucieszy! – Uśmiech na niegolonej od paru dni twarzy Zygi wyglądał jeszcze gorzej niż to mieszkanie i dzielnica. – Ale co to mnie właściwie obchodzi?!

– Niby nic, panie kierowniku – zgodził się Zielny. – Ale wszyscy są zajęci jak nie Binderem, to zabezpieczeniem obchodów dzisiejszego święta. Zostałem tylko ja i pan.

– No tak... – Podkomisarz przypomniał sobie instrukcję, której sam się trzymał jak mało którego przepisu: przy oględzinach miejsca zbrodni musi być obecnych co najmniej dwóch funkcjonariuszy kryminalnych. Poza tym Zielny, choć zdolny, był za świeży...

Człapiąc, ruszył z dzbankiem do kuchni. Tajniak poszedł za nim.

W izbie stał piec służący zarazem do gotowania i ogrzewania niewielkiego domku. Gotowano zresztą na nim nader rzadko, o czym świadczyły pokryte kurzem fajerki. Na blasze stała niewielka maszynka elektryczna i czajnik, dalej był zlew wypełniony brudnymi naczyniami, a za nim pochylony ze starości wieszak i kilka wędek.

– Kawa jest tam. – Maciejewski wskazał przeciwległą ścianę, gdzie przy oknie stał stół przykryty ceratą i dwa taborety, a bliżej drzwi odrapany biały kredens. – Zaraz będę gotów.

Że też...

Dalsze słowa Zygi zagłuszył kaszlący kran, a potem szum wody.

Kwadrans później Zielny i ogolony jako tako podkomisarz siedzieli w dorożce wiozącej ich Nadbystrzycką w kierunku śródmieścia.

* * *

Trup leżał na deszczu. Przykryty własnym paltem wyglądał jak zmęczony nocną zabawą pijak. Jego krew nie brudziła kałuż, mimo to młody policjant trzymał się z dala. Jego mocno schodzone buty były świętecznie wyglansowane. Na widok podjeżdżającej dorożki wyprężył się na baczność, rozpoznając podkomisarza Maciejewskiego.

– Panie kierowniku wydziału, posterunkowy Rafalik... – zaczął.

– Wyście go znaleźli? – przerwał mu Zyga, unosząc niedbale dłoń do ronda kapelusza.

– Melduję, że nie. Znalazła go jedna, z przeproszeniem pana podkomisarza, prostytutka.

– Nie ma za co przepraszać. Lekarz i fotograf wezwani?

– Tak jest! – odpowiedział służbiście posterunkowy.

Maciejewski odchylił palto okrywające denata. Ten leżał na brzuchu z lewą ręką wyciągniętą nieco do przodu, jakby chciał pełznąć pod górę w kierunku Królewskiej, prawą przyciskał do łędźwi.

– *Rigor mortis...* – mruknął Zyga, ciągnąc zeszywniałego trupa za rękaw. Obejrzał jego lewy nadgarstek. – Otarcie od zegarka.

Mundurowy przyglądał się tym oględzinom z pobladłą twarzą.

– Coś ty, świeżo z Czechówki? – uśmiechnął się krzywo Zielny.

– Nie, panie wywiadowco, już będzie dwa miesiące po szkole – sprostował poważnie Rafalik. – A przy zwłokach znalazłem to! – Triumfalnie wyciągnął z kieszeni płaszcza plik wizytówek.

– Gdzie były? – warknął podkomisarz.

– Walały się tu naokoło, to pozbierałem.

– A niech was szlag! I to gołymi łapami! – Zyga wyrwał mu z ręki kartoniki i rozłożył je na rękawiczce. Były zmarszczone od wilgoci, pomazane szarobrazowymi kleksami ulicznego błota. – Na cholere mi wasze odciski!

– Ja żem myślał... – zaczął mundurowy.

– Drugi raz lepiej nie myślcie tak zaraz z rana. A dawno wezwaliście fotografa? – syknął zniecierpliwiony Maciejewski.

– Ja... – zająknął się policjant. – Ja przekazałem wiadomość dyżurnemu przodownikowi z Komisariatu Głównego. Zgodnie z regulaminem.

Zyga zapalił papierosa, ukrywając go przed deszczem pod zwiniętą dłonią. Jednak dym i tak snuł się niemrawo, wcale nie smakował. Z początku podkomisarz miał chęć obsobaczyć Rafalika, ale dał sobie spokój. Przyszłym policjantom nabijano głowy masą paragrafów i

bzdurnych regulaminów, potem w praktyce uczono oszczędzania na czym się da, tylko ćwiczenia intuicji i zwykłego myślenia unikano podczas szkolenia jak ognia. Myślenia zwłaszcza, bo wtedy kursanci mogliby sami wpaść na to, że „zgodnie z regulaminem” nie zawsze oznacza „skutecznie”. Cud, że niektórzy, tak jak Zielny czy Fałniewicz, mieli dryg do roboty kryminalnej.

– A gdzie ta prostytutka? – spytał już spokojniej Maciejewski.

– Z przeproszeniem prostytutka – zarechotał Zielny, ale kierownik zmierzył go złym wzrokiem i wywiadowca nachylił się przy trupie.

Policjant wskazał okno na pierwszym piętrze oficyny.

– Pod numerem trzecim. Kazałem jej się stamtąd nie ruszać. Pod sankcją – dodał służbowym tonem.

– Musowo, że pod sankcją – nie wytrzymał wybrylantynowany tajniak.

– Chodźcie, Zielny. – Zyga machnął na niego ręką. – A wy, Rafalik, wołajcie, jak tamci się zjawia.

Weszli do ciemnej i wąskiej sieni. Naprzeciw były zabite deskami drzwi, w górę stromo pięły się drewniane schody. Skrzypiały przy każdym kroku, a chybocącej się poręczy lepiej było nie dotykać.

Zielny zapukał do mieszkania na pierwszym piętrze, ale długo nikt nie otwierał. Maciejewski już miał walnąć mocniej, kiedy skrzypnęły zawiasy i w progu stanęła rozczochrana dziewczyna w szlafroku i rozdeptanych pantoflach.

– Wieczorem przyjdźta – ziewnęła, oszacowawszy ich wzrokiem.

– Policja. – Zielny wsunął nogę między drzwi a framugę i wyłuskał z kieszeni swoją blachę.

– Już mnie policja rozpytywała. Ile razy można?

– Przez całe czterdzieści osiem godzin i to bez paragrafu. – Zielny władował się do środka. Podkomisarz wszedł za nim.

Znaleźli się w typowym sublokatorskim mieszkaniu. W kuchni tuż obok wejścia stał duży stół cały zavalony brudnymi naczyniami, na kredensie piętrzyły się talerze z resztkami jedzenia. Gospodyni ani myślała sprzątać, bo nie ona tu brudziła, a podnajemcy tym bardziej nie mieli takiej potrzeby. Wąski zagracony korytarz prowadził do osobnych pokoi. Drzwi ostatniego po prawej były uchylone. prostytutka, człapiąc ociężale pantoflami, ruszyła w jego stronę.

– No to o co się rozchodzi? – spytała, siadając na rozgrzebanej pościeli.

Zyga zignorował pytanie. Podeszedł do okna i wyjrzał. Szary listopadowy poranek przez brudną szybę wyglądał tak wstrętnie, że tylko się powiesić. Posterunkowy Rafalik mókł, przechadzając się obok trupa. Jego kroki były równie beznamienne, co krople deszczu zacierające ślady przestępstwa.

– O co chodzi? O to samo, co zawsze – odpowiedział dziwce Zielny. – Imię, nazwisko,

zameldowana... Dla porządku: ja nazywam się Pan Wywiadowca, a tamten pan nazywa się Pan Komisarz.

Wtedy przyjrzała się uważniej Maciejewskiemu. Owszem, a nawet bynajmniej, widywała facetów o takich mordach w towarzystwie tajniaków, ale zawsze w kajdankach. Coś jej tu śmierdziało... Zresztą czy ten młodszy wyglądał na glinę? Wiedziała już od Zochy, że tamten fagas w nocy dobrze jej zapłacił, żeby nikomu o nim nie mówiła. Bał się kogoś jak nic! A teraz leży sztywny, zaś do niej przychodzi alfons z bandziorem... Może nie trza było szumu robić?...

– Aczkolwiek legitymacje panowie okażą! – zażądała. Zyga wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel z dokumentami.

– Jakkolwiek sobie chcesz – powiedział całkiem poważnym tonem.

Zielnego złapał nagły atak kaszlu, ale po chwili się uspokoił, sięgnął po swoją legitymację i podsunął ją prostytutce.

– Wystarczy czy będziesz telefonować do ministra Józewskiego?

– No dobra, to powiem, co trzeba. Tylko niech mnie panowie władza już nie ciągną po komisariatach, co? Muszę się wyspać po robocie.

* * *

Maciejewski i Zielny dochodzili do Królewskiej, zostawiwszy za plecami kamienice, w których rozpytywali prostytutki o pechowego klienta. Trudno powiedzieć, komu Jeżyk bardziej zepsuł humor – podkomisarzowi czy dziwkom. On musiał wcześniej wstać, one miały dylemat: kapować czy ryzykować czterdzieści osiem godzin bez zarobku. Na razie wyśpiewały tylko, z której bramy wyszedł cenzor, jednak żadna nie przyznała się, że go obsługiwała.

– Razem osiemnaście kurew do przemaglowania – mruknął Zyga, patrząc, jak na Placu Katedralnym formował szyk pluton kawalerii.

– Obyczajówka pomoże. Ale pewnie niczego się nie dowiemy. Zwykły napad, panie kierowniku. – Tajniak podał podkomisarzowi ogień. – Facet się stawiał, to dostał kosą. I jak celnie go dziabnęli! Nawet lekarz się zdziwił. Czyli fachowiec, choć na mój rozum, po co? Jaki sens ma mokra robota za parę złotych? To co? Podzielimy się z Fańiewiczem dzielnicami?

Zyga nie odpowiedział, nazbyt go pochłaniały jego własne myśli. Dwa trupy w dwa dni były jak najbardziej statystycznie do przyjęcia, zwłaszcza tak inne – jeden zabity z makabryczną fantazją, drugi dla odmiany prostacko. Różni ludzie, różni sprawcy...

Tajniak palił i czekał, aż kierownik wreszcie się odezwie, ale on patrzył dalej przed siebie niby jakiś katatonik. Zielny lubił swojego przełożonego – zresztą to on go wynalazł marnującego się w komisariacie na ulicy Foksal i spowodował przeniesienie do służby śledczej. O, to była robota jak znalazł i nie szło tylko o te dwadzieścia pięć złotych więcej

dotatku służbowego! Zielny mógł się ubrać jak trzeba, prawie nie siedział za biurkiem, a biegając po mieście, zawsze przy okazji mógł sobie przygruchać jakąś ślicznotkę. No i sam Maciejewski był cholernie dobrym gliną! Miał dopiero trzydzieści lat, a już zrobili go podkomisarzem. Na więcej kierownik raczej nie mógł liczyć, bo przeminęły czasy powojennego braku kadr, a zaczęło się sadzanie przy korycie dawnych kolegów z wojska. Lecz to było dla młodego tajniaka pocieszającą okolicznością, bo nic nie zapowiadało rychłej zmiany szefa. Jednak choć Zielny lubił Maciejewskiego, to nie miał wątpliwości, że nie jest on całkiem normalny. Coś takiego widział na filmie: zwyczajny facet, co to w dzień siedzi w biurze, a nocą zmienia się w potwora, by rano niczego nie pamiętać. Tajniak był pewien, że podkomisarz skończy u Jana Bożego – przedwcześnie postarzały, śliniący się i bełkoczący pod nosem.

Tymczasem w umyśle podkomisarza działało „policyjne prawo grawitacji” – jak to nazywał. W prostackiej wersji znano je nawet w najmniejszych posterunkach, gdzie złapawszy złodzieja gruszek, starano mu się doczepić wszystkie kradzieże z całej gminy. Skoro Ziemia przyciąga jabłko, występki przyciąga inne występki. W zabójstwach Bindera i Jeżyka Maciejewski widział coś podobnego, choć na znacznie subtelniejszym poziomie. Te dwie zbrodnie, im bardziej do siebie nie pasowały, tym usilniej w głowie Zygi łączyły się w jedno. Ricardo Poronic skomentowałby to w „Expressie” zapewne wpływem Plutona...

– Dzień dobry, panie komisarzu! – Do rzeczywistości przywołał go głos lekarza sądowego, który kazał kierowcy zatrzymać karetkę, gdy zobaczył znajomą postać śledczego. – Zginął tuż przed północą. Jak tylko uporamy się z sekcją zwłok, jeszcze zatelefonuję.

– Dziękuję, doktorze. – Maciejewski dotknął runda kapelusza. – Będę czekał.

Karetką z niechętnym warkotem zaczęła wspinać się w górę ulicy ku ratuszowi. Podkomisarz gwałtownie zaciągnął się papierosem, jakby łapał oddech, i dopiero teraz odpowiedział na pytanie wywiadowcy:

– Łazić po mieście może ktoś głupszy. A ty mi się przydasz do czego innego. A może, Zielny, była to nadana robota?

– Że polityczna? – zdziwił się tajniak. – We Lwowie to bym uwierzył, w końcu tam Ukraińcy. Ale lubelscy komuniści?! No bo chyba nie myśli pan kierownik, że syjoniści?

– Boże broń, Zielny, żeby polityczna! – zaśmiał się Zyga. – Ale najpierw redaktor, potem cenzor. Coś ich łączy, nie?

– Gdyby dziennikarz zabił cenzora, to rozumiem, a tak?...

– Jednak nie da się ukryć, że coś ich łączy. Gazeta, Zielny. Jeden pisze, drugi czyta. Tylko co takiego mógł wyczytać?

– Ale panie kierowniku, jeśli tak zaczniemy wnikać, to nie pociągniemy obu spraw! – zaprotestował tajniak.

– Jakich obu? – Maciejewski wzruszył ramionami. – Przecież ino patrzeć, jak pana denata Bindera zabierze wojewódzka. I bardzo dobrze, niech się grzebią w tym gównie. A my po

cichu pójdziemy śladem cenzora. I będziemy pierwsi na mecie.

– Aaa! – Zaskoczony tajniak rozdziawił się jak dziecko, które pierwszy raz widzi parowóz.

– Beee. Myśl trochę, Rudolfie Valentino! – zaśmiał się podkomisarz. Już opadło z niego całe poetyckie natchnienie, był znowu normalnym gliną. – Wtajemnicz Fałniewicza, ale nikomu więcej ani pary z gęby!

– Gdzie?! No pod hajrem, panie kierowniku! – Zielny zrobił minę urażonego grandziarza.

Poszli dalej. Nagle podkomisarz stanął raptownie w miejscu, bo usłyszał za plecami komendę „baczność” rotmistrza plutonu reprezentacyjnego. Zaklął pod nosem, że wciąż tkwią w nim dawne odruchy, i przyspieszył kroku. Zielny zerknął na słup ogłoszeniowy, gdzie na afiszu reklamującym film „Syn Szejka” Valentino elektryzująco ściągnął usta w pół groźbę, pół uśmiech. Tajniak bezwiednie przybrał taki sam wyraz twarzy.

– Spóźnimy się na mszę! – warknął Maciejewski.

* * *

– *Per evangelica dicta deleantur nostra delicta* – powiedział scenicznym szeptem gruby, łysiejący kapłan, całując mszał.

W chóralne „Laus tibi, Christe” wkradło się lekkie skrzypnięcie drzwi kościoła i za ostatnimi rzędami ławek w głównej nawie stanęli dwaj ubrani po cywilnemu mężczyźni – jeden o wyglądzie fordansera, drugi najprędzej bandziora. Mimo to policjanci zrobili im miejsce.

Ksiądz tymczasem wdrapał się po wąskich schodkach na ambonę i zaczął:

– Modlimy się dziś za całą ojczyznę, a więc i o to, żeby ci wszyscy, którzy stanowią ramię jej sprawiedliwości, przykładem swojego życia, swoją rzetelnością i niezłomnością czynili obecnymi wartości duchowe na wszystkich posterunkach, na których stać im przyszło.

Maciejewski dostrzegł, jak Tomaszczyk z namaszczeniem kiwa głową w trzecim rzędzie. Niedaleko siedział Kraft, który – choć jako ewangelik miałby dobrą wymówkę i mógłby zostać na komendzie – z powagą przysłuchiwał się kazaniu.

– Na waszym sztandarze widnieje srebrnowłosy św. Michał Archanioł w półpancerzu i tunice, który w prawicy dzierży miecz płomienisty, a w lewej dłoni wagę. Niech za jego przykładem i was sprawiedliwa kara oraz roztropność prowadzą w służbie, a wasz mundur niech będzie jak święty puklerz.

Zyga zacisnął zęby. W tej sprawie, skoro komenda główna i minister rozkładali ręce, tylko Michał Archanioł mógł przyjść z pomocą. Mijały ledwie cztery miesiące, jak w Puławach zginął policjant, bo zabrakło dla niego pistoletu. Zanim zdążył zdjąć z ramienia karabin i zarepetować, bandyta trafił go kilkakrotnie z browninga. W Lublinie też połowa broni nie nadawała się do użytku, a poproszone o wsparcie władze wojskowe sprezentowały komendzie... wóz pancerny. Wciąż stał w garażu nie tylko dlatego, że w policji był

nieprzydatny. Przede wszystkim wymagał remontu, a zdaniem Zygi – właściwie oddania na złom.

– Gdy w 1915 roku dotarła do Lublina kawaleria legionowa, ludność witała ją owacyjnie na ulicach i na placu przed katedrą – mówił z emfazą ksiądz. – Niejeden z was był świadkiem tego wydarzenia i pamięta owo uniesienie, a pewnie zapadły mu też w pamięć słowa marszałka Piłsudskiego: „Dopiero tu, w Lublinie, czuję, że jestem w Polsce”. Dziś już dla wielu niepodległa Polska jest rzeczą tak zwyczajną, tak oczywistą, że niewartą głębszej uwagi i dbałości. Są także tacy, dla których Polska silna, praworządna, Polska, w której panuje prawo i porządek, jest ze wszech miar niewygodna. Ale wy, najmilsi, zebraliście się dziś w świątyni Pańskiej po to, by wzmocnić w sobie wiarę w ojczyznę wolną, sprawiedliwą i katolicką, wiarę, która daje wam siłę i możliwość stawienia bezwzględnego odporu tym, którzy te wartości postępują.

Podkomisarz, słysząc o katolickiej Polsce, zerknął na Krafta. Lecz on siedział z nieprzenikniętą miną, zupełnie tak samo jak wcześniej i patrzył na kapłana.

– Ojczyźnie naszej – dobiegło z ambony – duszom naszym zagrażają bowiem nie tylko pokusy, przed którymi Pan przestrzega wiernych w Dekalogu. Stoicie na straży majątku i dobrego imienia swego i bliźnich, ale zarazem stanowicie tarczę przed Antychrystem, owymi fałszywymi prorokami spod czerwonego sztandaru obiecującymi raj na ziemi, a godzącymi w byt państwa, w to, o co przez wiek z okładem modliły się w kościołach rzesze Polaków słowami: „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić, Panie”.

Maciejewski w tym miejscu pomyślał zjadliwie, jak zagadkowo krótka jest pamięć polskiego duchowieństwa i wszystkich policyjnych zwierzchników w galowych mundurach. Pamiętał ze szkoły, że ta pieśń została napisana na cześć cara i w oryginalnej wersji mówiła o „sprzyjażnionych dwu narodach”, które „niech kwitną i błogosławią Jego panowanie”. Dopiero później Polacy ją zmienili i zaczęli śpiewać: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”, Ślązacy – „Spod jarzma Niemców wybawże nas, Panie”, zaś Żydzi – „Boże, coś wielki Izraela naród...”. W ten sposób wyraz czołobitności stał się niepodległościowym szlagierem, który w 1918 omal nie ogłoszono hymnem odrodzonej ojczyzny. A mimo to – jak to w Polsce – spadkobiercy autora nie zarobili ani marki.

* * *

Jeszcze zanim Zyga wszedł do gabinetu komendanta, już wiedział, że jego przewidywania co do tego, kto dalej poprowadzi sprawę Bindera, sprawdziły się w stu procentach.

Sędzia śledczy Rudniewski, mimo że w meloniku, okazał się całkiem sympatycznym człowiekiem, wbrew przeczuciom Maciejewskiego przy pierwszym spotkaniu nad trupem Bindera. Na widok podkomisarza nawet wstał i podał mu rękę.

– A więc ma pan na głowie kolejne zabójstwo? – zapytał. – Ja między innymi w tej

sprawie.

Zyga uściśnął mu dłoń i usiadł. W pokoju na chwilę zapadła cisza, tylko zza okna dolatywały dźwięki melodii „Maszerują strzelcy, maszerują...” granej przez orkiestrę wojskową.

– Oczywiście, zginął urzędnik publiczny. Domyślam się, że pan sędzia tę sprawę również traktuje priorytetowo.

– Tak, jak najbardziej. – Rudniewski odetchnął. – Choć sam pan rozumie, że morderstwo redaktora Bindera jako bardziej bulwersujące... – urwał. Jak Zyga zauważył, był nie tylko sympatyczny, ale i nieśmiały. Rzadkość w jego fachu.

– Krótko mówiąc – wtrącił się nadkomisarz Sobociński – morderstwo Bindera przejmuje Urząd Śledczy, a pan zajmie się zabójstwem Jeżyka.

Maciejewski spokojnie pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał, żywiąc nadzieję, że komenda wojewódzka razem z trupem Bindera zabierze sobie także Tomaszczyka.

– Natomiast podkomisarz Tomaszczyk zostanie – oznajmił Sobociński. – Prokuratura obawia się eskalacji przestępstw politycznych, tak więc pan sędzia zwrócił się do pana komendanta wojewódzkiego z sugestią wzmocnienia w tym względzie pańskiego wydziału.

Zyga zerknął na Rudniewskiego. Tak, bez wątplenia nie kierowały nim złe intencje. Jednak nie ma nic gorszego niż naiwność połączona z dobrymi chęciami.

– Gdyby pan dysponował jakimiś wartościowymi informacjami w sprawie zabójstwa Pawła Jeżyka, będę wdzięczny za niezwłoczne powiadomienie. – Sędzia śledczy wstał i wcisnął na głowę swój niemodny melonik.

– Oczywiście, może pan na nas liczyć, panie sędzio – mruknął podkomisarz.

Ledwie wrócił do siebie, zadzwonił telefon. Sądził, że może lekarz sądowy ma już wyniki sekcji zwłok cenzora, ale to był Zakrzewski.

– Serwus, Zyga. Chcę cię spłacić – powiedział.

– No, szybki jesteś. – Maciejewski spojrzął na zegarek. – Jest druga, to co, za kwadrans w „Europie”?

– Żartujesz? Dlaczego nie od razu na komisariacie?!

– „Pod Strzechą”?

– Za rano na panienki. Krawiecka 2. Z sieni w prawo. Pytaj o Symchę Goldmana.

– Bardzo koszernie z twojej strony. Nie ruszaj się stamtąd, już idę.

Kraft podniósł głowę znad raportów z przesłuchań znajomych Bindera, które właśnie porządkował przed przekazaniem do Urzędu Śledczego. O nic nie zapytał.

Zyga wyszedł z komisariatu i ruszył szybkim krokiem ulicą Staszica. Deszcz przestał padać, na krótko wyszło nawet słońce, ale w kierunku szpitala Dzieciątka Jezus płynął rynsztokiem wartki strumień. Mokra gilza z papierosa ominęła właśnie rozlatującą się rafę końskiego łajna i porwał ją wir. Przed budynkiem zarządu telefonów po drugiej stronie ulicy

stała zapłakana kobieta wpatrzona w narożne okna szpitala dziecięcego.

Maciejewski odwrócił wzrok. Kobieta przypomniała podkomisarzowi, jak trzy lata wcześniej jakaś siła kazała mu przywlec się nocą po służbie pod szpital dla dorosłych naprzeciwko i wypatrywać w pustym oknie znajomego cienia. Nie zobaczył wtedy żony, w ogóle już jej nie zobaczył i chyba lepiej, że tak się stało...

Skręcił za róg i schodził opadającą stromo ulicą ku skrzyżowaniu ze Świętoduską. Tu bruk był prawie suchy, woda zdążyła dawno spłynąć. Naprzeciw jakiś staruszek z medalami pobrząkującymi na starej jesionce wspinał się powoli chodnikiem, przystając co parę kroków i opierając się o ścianę kamienicy. Zimą ta pochyła część ulicy Staszica zmieniała się w wielką ślizgawkę i wielu ludzi, nie tylko takie dziadki-weterani, łamało tu sobie ręce, nogi i karki. Nawet karetki pogotowia wybierały wtedy dłuższą drogę przez zatłoczone Krakowskie Przedmieście albo wąską Zieloną.

Minął dworzec autobusowy i ruszył Kowalską. Zapachniało pieczywem z pobliskiej żydowskiej piekarni, mimo święta przez uchylony lufcik doleciało go chóralne sylabizowanie z któregoś chederu na Nadstawnej, flagi w oknach też zniknęły. Jednak większość sklepów i warsztatów była zamknięta, a po ulicy kręciło się niewielu przechodniów.

Zyga spojrzął na zegarek – dochodziło dwadzieścia po drugiej, całą drogę przebył w rekordowym tempie. Zakrzewski mógł jeszcze nie zdążyć wrócić, skądkolwiek by dzwonił, bo że na Krawieckiej nikt nie miał telefonu, to było pewne.

Podkomisarz dopalił papierosa na rogu Kowalskiej i Szerokiej obok kamienicy z niewielkim ogródkiem przytulonym do resztek dawnych murów miejskich. Tam przy ciekącym ujęciu wody rósł rachityczny klon, „żydowskie bonsai”, jak nazwał to drzewko po przeczytaniu w „Expressie” artykułu o japońskiej sztuce ogrodniczej.

Naraz Maciejewski poczuł na plecach czyjś wzrok. Obejrzał się, ale zobaczył tylko przygarbionego Żyda, pewnie tragarza, któremu ciężka robota dodała z dziesięć lat i mocno wykrzywiła plecy. Zyga rzucił papierosa, po czym ruszył dalej ku łukowatemu przejściu pod ulicą Zamkową. Choć powszechnie mówiono na nie Zastrana Brama, częściej śmierdziało tam moczem.

* * *

Swierzawin patrzył przez chwilę na Maciejewskiego, a kiedy śledczy odszedł, wyprostował plecy.

„Czego ta glina tu węszy?” – pomyślał zaniepokojony, ale że podkomisarz skierował się w inną stronę, uznał to spotkanie za przypadkowe. Miał dobrą pamięć do twarzy – jeden rzut oka i wiedział. Tak, to ten policjant poprzedniego dnia kazał go usunąć sprzed drzwi komisariatu, gdy Swierzawin – wówczas w łachmanach bezdomnego pijaka – przyznawał się do morderstwa Bindera. Oficer zachował się zgodnie z przypuszczeniami i zgodnie z planem rzekomego włóczęgi.

Wtedy był to bezczelny test czujności lubelskiej policji, teraz chodziło raczej o to, żeby w żydowskiej dzielnicy nie wyróżniać się wyglądem. Swierzawin lubił tę część swojej pracy – pozwalała mu ona wrócić do czasów, kiedy we *2-om Moskowskom Impieratora Nikołaja I kadietskom korpusie* grywał główne role w szkolnym zespole teatralnym. Mówiono o nim *chitrij Polacziszka*. Nigdy się jednak za to nie obrażał, bo zawsze były w tym podziw i przyjacielskie pochwały, a nie aluzje do narodowości matki. Potem jego talent aktorski nieraz ratował mu życie podczas wojny domowej i po przegranej kontrrewolucji, gdy na polsko-sowieckim pograniczu trudnił się przemycaaniem złota, dolarów, ludzi i tajnych informacji.

Swierzawin znów przygarbił plecy i poszedł ulicą Szeroką, szukając najlepszej drogi wyjazdowej z Zamku. To nieudolnie naśladowujące gotyk więzienie wzniesione na ruinach średniowiecznej twierdzy miało zaledwie sto lat. Niby niewiele, a jednak na tyle dużo, że projektanci nie wzięli pod uwagę trasy dość równej dla ciężarówek.

„Oby żadnej jutro nie zgasł motor, bo utknie na podjeździe!” – pomyślał Swierzawin.

W tej intencji w niedzielę zapalił nawet dwie świece w lubelskiej cerkwi – jedną, bo się Bogu należała, drugą, bo przez ten przeklęty przewodnik Ronikierowej spóźnił się na mszę.

* * *

Do Krawieckiej Maciejewski miał już ledwie parę kroków. Uśmiechnął się, bo Zakrzewski wybrał na miejsce spotkania dom niemal sąsiadujący z więzieniem na Zamku. Minał kilka kamienic, aż znalazł się przed niskim, jednopiętrowym drewnianym budynkiem. Tablica z numerem była nieczytelna, ale właściciel, żeby uniknąć kary, wypisał obok niej kredą: KRAWIESKA NR 2.

Zyga zapukał do drzwi po prawej stronie. Usłyszał coś w jidisz, co równie dobrze mogło znaczyć: „proszę”, jak „won”. Mimo to wszedł.

Przy kuchni krzątała się niska, gruba kobieta koło czterdziestki, za stołem siedziało dwóch mężczyzn. Starszy z brodą patriarchy odłożył dratwę i wielokrotnie już zelowany but, młodszy, szczupły brunet ze strzechą sterczących włosów i w drucianych okularach, podniósł wzrok znad książki.

– Pan Goldman? – spytał policjant. – Symcha Goldman?

– Wyjechał – burknął po polsku okularnik.

– A jednak jestem tu z kimś umówiony.

– Nazwisko?

– Maciejewski.

Młody Żyd wstał zza stołu i dał znak podkomisarzowi, żeby poszedł za nim. Brodacz, zapewne ojciec chłopaka, odprowadził ich niechętnym spojrzeniem.

Po chwili znaleźli się na niewielkim, ciasnym podwórku. Zyga ruszył za swoim przewodnikiem po skrzypiących schodach na poddasze.

– Tu, towarzyszu. – Okularnik wskazał Maciejewskiemu odrapane drzwi tuż obok nigdy

chyba niemytego okna. Było tak małe, że ledwie zmieściłaby się w nim głowa mężczyzny.

– Dziękuję. – Zyga uściśnął mu dłoń. – Bądźcie czujni.

Zakrzewski pólleżał na wąskiej kozetce z kajetem na kolanach. Miał na sobie golf, pumpy, skarpety w kratę i sportowe buty. Skórzaną kurtkę motocyklową i cyklistówkę rzucił w nogi łóżka. W prawej ręce poeta trzymał wieczne pióro, w lewej papierosa. Właśnie podnosił pióro do ust, jakby się zapomniał, który przedmiot do czego służy, albo atawistyczny odruch ssania dobrze mu robił na natchnienie.

– Serwus, Józek. – Maciejewski zdjął kapelusz. – Ale z was konspiratorzy! Każdy mógłby tu do ciebie wejść.

– Ale nie każdy wie, że tu jestem. – Zakrzewski zakręcił pióro i usiadł.

Zyga rozpiął płaszcz i zajął miejsce na jedynym krześle obok wąskiego stołu przy ścianie.

– Co masz?

– A taką dziwnostkę o twoim Binderze. – Redaktor puścił perskie oko. – Też byś wiedział, gdybyś posyłał tajniaków nie tylko do śródmieścia, ale i na Kośminek albo na Szeroką.

– Nie rozpędzaj się, Józek, bo nie mam rękawic. Tu nie ring.

– Nie masz też pewnie kastetu jak twoi koledzy na Zamku. – Zakrzewski zaciągnął się papierosem. – Jednak do rzeczy. Szukałem meliny u towarzyszy na Kośminku i wyobraź sobie, zaraz na Długiej wlałem na kolegę ze studiów.

– Nazwisko i adres. – Maciejewski wyjął z kieszeni notes.

– Adam Gajec. Mieszka w służbowym mieszkaniu na Krochmalnej. Biuralista z cukrowni.

– Nader wylewnie zeznajesz – zaśmiał się podkomisarz. – Jaki w tym hak?

– Nie zeznaję, Zyga, pomagam koledze sportsmenowi – zastrzegł Zakrzewski. – A hak? Cóż, nie przeczę, że nie lubię człowieka. Przez niego omal mnie nie zawiesili i to już na pierwszym roku.

– A co takiego przeszkrobałeś?

– Ja? Nic. Gajec należał do korporantów i z braku lepszych pomysłów został przewodniczącym koła narodowego. Rozumiesz, getta ławkowe dla tych za mało katolickich jak na nasz katolicki uniwersytet. No to jak go spotkałem kiedyś w nocy, wrzuciłem mu tę durną czapkę korporancką na latarnię. Koło poczty głównej, zaraz na rogu. Zrobił aferę, ale jakoś rozeszło się po kościach. Gajec dobrze sobie wykombinował, żeby przystać do faszystów, bo jedynie dzięki poparciu korporacji utrzymał się całe trzy lata na uczelni. Niezbyt lotny, uważasz. Do tego stopnia, że jak mnie zobaczył, to nie pamiętał, że mieliśmy z sobą na pieńku, tylko się rozkleił. Nie był trzeźwy, to fakt, no ale żeby zaraz ścisnąć komunistę? W każdym razie zaczął mi kadzić, że jestem uczciwy człowiek, bo nigdy nikogo nie udawałem, nie tak jak niektórzy. No więc pociągnąłem go za język, kto udaje. A on na to, że wszystkiego by się spodziewał, ale nie że Binder kumał się z pejsatymi.

– Co? Binder z pejsatymi? – powtórzył zaskoczony Zyga.

– Tak właśnie powiedział. Wracał w nocy z knajpy i przypadkiem widział, jak Binder, jeszcze jeden facet i jakiś rabin naradzali się w aucie na Krakowskim Przedmieściu.

– Pod domem Bindera?

– Nie wiem, nie chciałem spłoszyć Gajca. On w sumie gównowo wie i rozumie, ale nie jest idiotą. W każdym razie to było w zeszłym tygodniu, parę dni przed zabójstwem.

– Morderstwem, Józiu – poprawił Maciejewski. – Jako prawnik, nawet czerwony prawnik, powinieneś rozumieć różnicę. W jakim aucie?

– W rolls-roysie – powiedział z poważną miną Zakrzewski.

– Co? – Zyga podniósł wzrok znad notesu. – Kabaret sobie robisz?

– No bo głupio pytasz. Skąd mam wiedzieć?! Gajec tam był, nie ja. Czarne, duże, kryte. Tyle – powiedział ze złością redaktor „naszego sztandaru”.

– No to pokręcisz się na Krochmalnej, weźmiesz Gajca na wódkę...

– Chcesz ze mnie zrobić psa, Zyga?! – Zakrzewski zmasakrował niedopałek obcasem. – Do kogo ta mowa?!

– Nie mam czasu na twoje krygowanie. Najdalej jutro musisz mi coś nakapować.- Jesteś mi to winien, nie?

Zakrzewski podszedł do okna. Zerknął na podwórko i przysiadł na wąskim parapecie. Potem odwrócił się i spojrzał spod oka na Maciejewskiego.

– Spodziewałem się tego. W końcu i tak zawsze wylezie z ciebie glina, Zyga. Mam więc jeszcze coś, ale potem będziemy kwita.

– Gadaj!

– Jestem umówiony z Gajcem na wódkę. Dziś wieczorem w „Wykwintnej”. Możesz iść ze mną, z twoją gębą będziesz tam akurat pasował.

– Dziękuję za zaufanie, Józek. – Maciejewski strzepnął popiół z papierosa i zamknął notes.

– I tym spłacę dług – powiedział twardo Zakrzewski.

– Jeśli mnie Gajec nie rozczaruje. Zresztą pogadamy... O której?

– Siódma. Bądź chwilę wcześniej przed dworcem przy dorożkach.

Maciejewski już zapiął płaszcz, ale po namyśle znów przysiadł na brzegu krzesła.

– Jeszcze jedna sprawa. Długo pracowałeś u Trąbicza?

– Ponad rok, ale znam go ze cztery. A co?

– Właśnie! A co mi powiesz o tych jego chłopaczkach?

– Zyga! – zaśmiał się redaktor. – To nic z tych rzeczy, o których myślisz. U niego to tylko niewinna słabość, jak dla niektórych konie albo pudle. Zabiera ich, można powiedzieć, z ulicy. Z biednych rodzin, które same ledwo rachują, ile mają gąb do wyżywienia. Ubiera ich, posyła do szkoły, karmi, uczy jeść nożem i widelcem. Po trzech, czterech latach traci zainteresowanie, ale chłopaki mają jaki taki start. Piotrek pracuje teraz u Plagego i

Lańkiewicza jako młodszy kreślarz, Felek jest w szkole oficerskiej. Ten nowy, Franek, jeszcze się uczy.

– I co? Tak za nic?! Logiczne chyba, że muszą mu czymś płacić. Dupą?

– Nie, Zyga, w żadnym razie. Gadałem z nimi i gdyby cokolwiek takiego robił, sam bym nakładł Trąbiczeniowi po gębie. Niewinna słabość. Nie wiem, co tam siedzi w Trąbiczu, ale co do ludzi to on jest społecznik. Nie było takiego razu, żeby nie pożyczył czy nie dał zaliczki.

– No to do zobaczenia przed siódmą, towarzyszu Zakrzewski. – Maciejewski podniósł pięść w proletariackim pozdrowieniu. – Nie daj się złapać glinom.

* * *

– Mówi pan doktor, że taki artysta? – zapytał Zyga.

– Jak już wcześniej powiedziałem, precyzyjny cios prosto w nerkę – dobiegło z telefonu.

– Wbił nóż i przekreślił, wiedział, co robić. Jeśli artysta, to chirurgii.

– Tak, dziękuję, do widzenia. – Podkomisarz odłożył słuchawkę.

Kraft kończył porządkować raporty, raz po raz spoglądając na zegarek. Maciejewski przeniósł wzrok na swoje biurko zarzucone notatkami. Odkąd wrócił ze spotkania z Zakrzewskim, próbował odgadnąć, kto mógłby mieć interes w tym, żeby zginęli dwaj ludzie, z których jeden w gazecie pisał, a drugi w niej skreślał.

„Tak, Zielny, choć... zielony – podkomisarz uśmiechnął się na to skojarzenie – miał rację. Gdyby jeden zabił drugiego, wszystko jasne. No i redaktor cenzora, nie na odwrót”.

Znów zadzwonił telefon i przerwał Maciejewskiemu wątek. Zyga chwycił słuchawkę z nadzieją, że to ktoś, kto świadomie lub przypadkiem naprowadzi go na jakiś ślad. Może wdzięczny Trąbiczeni, który coś sobie przypomniał... Ale telefonował Lennert.

– Pracuje pan, panie władzo? – zakpił. – Co byś powiedział na małe mordobicie pojutrze o świtaniu?

– Dobrze, Stachu – zgodził się Maciejewski. – Poranek to piękna pora na nokaut.

– Coś głoś masz niewyraźny – zauważył przyjaciel. – Śledztwo się nie układa?

– Ano nie, jaśnie wielmożny panie, ale Bóg da, się poprawi – wyseplenił Zyga, parodiując gwara.

– Mimo wszystko do zobaczenia?

– A jakże, serwus!

Podkomisarz powrócił do swoich papierów. Wypisując po raz kolejny znane fakty i łącząc je coraz bardziej zawiłymi liniami, próbował odgadnąć tajemnicę powiązań Bindera i Jeżyka. Wciąż wszystko wskazywało na gazetę, której cenzor był, chcąc nie chcąc, jednym z pierwszych czytelników, i w pewnym sensie też redaktorem. Tak, ale który numer naprowadzi go na ślad? Który tekst? Czego w nim ma szukać?

Policje warszawska i niemiecka – jeśli wierzyć „Expressowi” – waliły jak w dym do Poronica, cenionego astrologa, religijny Kraft być może prosił o cynk Pana Boga albo

doznawał olśnień podczas czytania Biblii z rodziną. Każdy śledczy z pewnością miał swoje nawyki, dziwactwa czy przesady. Maciejewski wierzył w geometrię, według niego wszystko przybierało jakiś kształt, dawało się sprowadzić do wzoru czy krzywej: statystyka przestępstw, ruch ludności, wykrywalność... Takim wykresem staje się przecież nawet głos Kiepurzy czy V Symfonia, gdy patrzeć na ich obraz w oscyloskopie. Wzorem, fakt, nader skomplikowanym są linie papilarne. Pewnie kiedyś będzie też można dopasować oscyloskopowy wykres nagranych zdań i zidentyfikować, czy wypowiedziała je ta sama osoba. Tak, bez wątplenia policja śledcza swoje najlepsze lata ma jeszcze przed sobą. Aż dziw, że taki na przykład Fritz Lang nie zrobił o tym filmu! Zielny mógłby wtedy iść do kina pomieścić jakąś pannę, a jednocześnie zaliczyć szkolenie z kryminalistyki! Znowu zadzwonił telefon.

– Maciejewski, słucham – mruknął do słuchawki Zyga.

– Dzień dobry, panie komisarzu – usłyszał miły kobiecy głos. – Okradli mnie. Jeden taki ze złamanym nosem ukradł mi serce i prawie tydzień się nie odzywa.

– Różo, bardzo się cieszę, że telefonujesz – skłamał podkomisarz, odruchowo przekładając słuchawkę do drugiej ręki, dalej od Krafta, który siedział schylony nad papierami. – Ale wybacz, nie mogę rozmawiać. Mam teraz... przesłuchanie.

Zdziwiony zastępca podniósł głowę.

– No to baw się dobrze. – Nieco nadąsana Róża odłożyła słuchawkę.

Zyga znów skupił się na swoich myślach. Przeczynał, niestety tylko przeczynał, że obie śmierci coś łączy, ale... No właśnie – nie ma trupa bez motywu. Za chwilę jednak przyszedł Wilczek z nic nie wnoszącym do sprawy zeznaniem żony Jeżyka. Potem telefonował kierownik komisariatu z Lubartowskiej, który chciał zrzucić Maciejewskiemu na głowę włamanie do sklepu sportowo-wędkarskiego.

– Pan z tym do mnie, bo jestem sportowiec i wędkarz? – skrzywił się Zyga.

– Ja z tym do pana komisarza, bo brakuje mi ludzi – warknął zdenerwowany policjant.

– A u mnie wszyscy się nudzą, tak? Pan masz na głowie sklep, a ja trupy. Co ja panu poradzę? Do widzenia. – Maciejewski rzucił słuchawkę na widełki. – Wychodzę, Gienek, bo w porze urzędowania tu się nie da pracować – powiedział do Krafta.

– Zaczekaj... – Zastępca zrobił niepewną minę, jak poważny biuralista, któremu szef proponuje drobny szwindel księgowy. W końcu wydusił: – Przyszedł do mnie Tomaszczyk. Pytał, co cię łączy z Zakrzewskim.

– Boks i działania operacyjne. To żadna tajemnica.

– To samo mu powiedziałem, ale... – urwał i długo szukał słowa.

– Ale co? – ponaglił Maciejewski.

– Nie wiesz?! – lekko zdenerwował się Gienek. – „Pan rozumie, podkomisarzu Kraft, pan jest uczciwym policjantem... To musi zostać między nami...” i tak dalej. W skrócie: czy nie osłaniaasz podejrzanego, bo sam jesteś komunistą?

– Ja komunistą?! A to wesz! – Zyga walnął pięścią w blat biurka, aż podskoczyły karteluszeki, a jeden, majestatycznie szybując, spadł na podłogę. – A kto, cholera jasna, walczył na ochotnika w wojnie bolszewickiej?! Ja czy Tomaszczyk? Co on, liczy, że nas na siebie napuści?!

– Zyga, to idiota, ale idiota z komendy wojewódzkiej. Ty za to jesteś ateista, sabotujesz polecenia, teraz jeszcze ten Zakrzewski... Po prostu uważaj na niego.

– Wiedziałem, no wiedziałem, czym się to skończy! – Maciejewski zmiął wściekle jedną ze swoich pogryzmoonych kartek. – Za głupi jest, żeby łapać przestępców, to się zabrał za kolegów. Co mu powiedziałeś?

– Żeby cię sam zapytał, a jak ma zastrzeżenia do twojej pracy, są odpowiednie procedury.

– I co on na to?

– Powiedział, żebym się dobrze zastanowił, bo ty i tak marnie skończysz, a ja mam czworo dzieci. I być może perspektywy. Później poszedł.

– No to i ja pójdę. – Zyga zgarnął kilka ostatnio zabazgranych kartek i upchnął je w notesie. – Mam spotkanie z informatorem.

– Z Zakrzewskim, nie daj Boże?

– Lepiej nie pytaj, Gienek. – Podkomisarz poklepał go po ramieniu. – Ty masz czworo dzieci i perspektywy!

* * *

W restauracji „Wykwintna” powietrze było gęste od papierosowych wyziewów, jakby jakiś dowcipny żołnierz z pobliskich koszar 8. pułku piechoty Legionów wrzucił do środka granat dymny. Maszyna do sztucznych oparów w kabarecie „Frascati” na Szpitalnej nie zdołałaby wyprodukować tego nawet w kwadrans.

Maciejewski i Zakrzewski odruchowo przymrużyli oczy, dopiero po chwili zaczęli wychwytywać wzrokiem szczegóły wnętrza. Podłużną, kiszkowatą salę zastawiono ciasno stołami, naprzeciw wejścia znajdował się szynkwaz, przy którym można było wypić albo przegryźć coś na stojąco, obok drugie drzwi – najpewniej do klozetu.

– Tam. – Redaktor wskazał stolik w głębi, przy którym siedział samotnie młody mężczyzna.

Przepchnęli się wąskim przejściem między robotnikami, kolejarzami i podoficerami w rozpiętych szynelach. Kiedy podeszli, podkomisarz przyjrzał się uważnie koledze redaktora „naszego sztandaru”. Był wysokim blondynem niewiele starszym od Zakrzewskiego, ale z wyraźnie zarysowanymi półkolami łysiny nad czołem. Musiał przyjść niedawno, bo kufel przed nim był prawie pełny, a popielniczka pusta.

Gajec skinął im głową i wstał, żeby się przywitać.

– Serwus. – Zakrzewski wyciągnął do niego rękę. – Pozwól, mój kolega bokser, Zygmunt Maciejewski. Spotkaliśmy się przypadkiem przy dworcu.

– Adam Gajec, bardzo mi przyjemnie. Pan może też gdzieś tu mieszka?

– Nie. Ciotkę odprowadzałem na pociąg – uśmiechnął się Zyga i strzelił palcami w stronę szynkwasu. – Wreszcie sobie pojechała, więc na tę okoliczność... Panie ober, pół litra i trzy meduzy!

Po chwili tłusty kelner z brudną ścierką przerzuconą przez ramię przyniósł im wódkę, kieliszki i po galarecie wieprzowej.

– Płacić z góry – zapowiedział, nie bawiąc się w ceregiele, gdy otaksował wzrokiem stary płaszcz i głowę Maciejewskiego.

– O, nie chcesz pan napiwku! – warknął Zyga.

– Zara tam napiwku, już ja widzę! Ani ja pana znam, ani co. Tłok dzisiaj, łatwo wejść i wyjść, a potem szukaj wiatru w polu. Siedem się należy.

– No to jeszcze trzy duże jasne. – Podkomisarz wyłuskał z portfela banknot dziesięciozłotowy.

– Służę uprzejmie – rozpromienił się kelner.

– A reszta mi tu zara. Nie będę potem szukał wiatru w polu – dodał Zyga.

Tłuścioch rozmazał brud na stole swoją szmatą i odszedł.

– Niepotrzebnie pan mu tak powiedział – zauważył Gajec. – Gotów napluć do piwa. Choć rozumiem, straszne chamstwo się rozpanoszyło. Ale co się dziwić, jak taki rząd?!

– Pan może też lewicowiec jak Zakrzewski? – Maciejewski zrobił zdziwioną minę.

– Uchowaj Boże! – wzdrygnął się blondyn. – Ja, proszę pana, jestem katolik, a na studiach należałem do korporacji!

– No to pańskie zdrowie – skwitował Zyga, nie chcąc za wcześnie wchodzić w rozmowę o polityce. Gajcowi i Zakrzewskiemu nie pożałował wódki, sobie nalał pół kieliszka, po czym przysłonił go dłonią.

Spełniając toast, obserwował, jak blondyn podnosi szkło do ust i wlewa w siebie jego zawartość z nerwową łapczywością. Albo wciąż się gryzł tą historią z Binderem i Żydami, albo był pijakiem, który starannie to ukrywał. W szarym garniturze w prążki w tym ponurym lokalu prezentował się porządnie i schludnie, jak typowy biuralista. Tylko elegancji nie było w tym żadnej, o czym dobitnie świadczyła muszka w grochy, w dodatku na gumce.

Kiedy Gajec odchylił nieco głowę, opróżniając ostatnie krople, Maciejewski zauważył, że cała jego twarz – od policzków aż pod grdykę, musiała być kilkanaście godzin wcześniej starannie ogolona, nie znaczyły jej też najmniejsze zacięcia. Pijak nie miałby z rana tak pewnej ręki, a do fryzjera codziennie raczej nie chodził, to byłoby nie na jego kieszeń.

Skoro Gajec nie pił często, to podkomisarzowi nieco utrudniało sprawę. Sądząc po wzroście – na oko metr siedemdziesiąt pięć – i grubokościstej sylwetce, pół litra nie wystarczy, żeby z niego wyzwolić nieskrępowaną szczerość. W dodatku Zyga musiał się pilnować, żeby być w miarę trzeźwy. Uznał, że na początek spróbuje przyspieszyć tempo.

– Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz! – Znów nalał.

Gajec jakby zmarkotniał, ale wypił. Potem rozejrzał się po sali. Maciejewski poszedł za jego wzrokiem.

Wojskowi dwa stoły dalej chlali żywołowo na ojczystą melodię. Jeden co chwila wyrwał się do śpiewania, pozostali poprzestawali tylko na patriotycznych toastach. Robotnicy pili cicho i na smutno. Oni bardziej niż świętem przejmowali się rosnącą drożyzną i groźbami obniżek pensji, o których przebąkiwały gazety.

Nie tracąc czasu, Maciejewski podniósł butelkę. Czekał, aż w oczach Gajca pokaże się pierwsza poalkoholowa mgiełka. Czekał całe pół litra.

– No to na drugą nóżkę. Za starych Polaków! – zaproponował, otwierając kolejną butelkę. I od razu zaczął kierować rozmowę w stronę świństwa obecnych czasów: – Warto pić za starych, bo dzisiejsi Polacy, panie Gajec, nie dzielą się na bohaterów i świnię, ale na uczciwych i na leniwych sukinsynów. Nie ja to wymyśliłem, więc nie patrz pan z takim zdziwieniem. Napisał to Brzozowski, tylko kulturalniej. No więc kiedy uczciwi Polacy uprawiają w trudzie i znoju swój kawałek udęczonej ojczyzny, sukinsyny mozolnie kombinują, jak by tu nic nie uprawiać, a też się nażreć. Sprawiedliwe i pocieszające jest to, że dziewięciu na dziesięciu łąduje mordą na bruku. Niestety, co niesprawiedliwe i tragiczne, dziesiątemu się udaje. I z takich właśnie fartownych skurwysynów, panie Gajec, biorą się posłowie na sejm, działacze partyjni i inna swołocz. Panie ober, jeszcze flaszkę! I śledzia!!! – zawołał do przechodzącego kelnera.

Ten zmierzył Maciejewskiego wymownym spojrzeniem, uspokoił się dopiero na widok dziesiątki wyjętej z portfela.

– Flaszka i trzy śledzie – powtórzył. – A swoją drogą, nie mogliby panowie porozmawiać sobie o kobietach zamiast o polityce? Wiadomo to, czy jakaś menda nie słucha?

– Dziś jest święto narodowe, panie ober – warknął Zyga. – Nie wypada gadać o dupie Marynie. Dawaj pan migiem i nie przeszkadzaj. Ale tak między nami, panie Adamie, no jest tak czy nie jest?

– Słusznie, panie kolego... Skurwysyny – przyznał Gajec, podnosząc kieliszek. Miał już wilgotne usta i czerwone oczy, ale mówił jeszcze składnie. Maciejewski zerknął znacząco na Zakrzewskiego. Ten klepnął go pod stołem w kolano.

– No choćby taki Binder – zaczął redaktor, nie spuszczać oczu ze swojego znajomego. – Nie powiem, dla mnie wróg klasowy, ale wydawało się, że uczciwy wróg. Tymczasem nawet ty, Adam, mówiłeś mi, że jak ma interes, to gna do Żydów...

– Eee, gadanie! – machnął ręką Gajec. – Jak każdy dziennikarz wszystko przekręcasz.

Zakrzewski obruszył się. Widać było, że wódka bardziej poszła mu do tej chuligańskiej, a nie poetyckiej części jego głowy.

– Mówiłeś, cholera, że widziałeś go pod jego domem w aucie z jakimś rabinem.

– Naprawdę widział pan go z rabinem? – Zyga zrobił tak zdziwioną minę, jakby co najmniej Piłsudski przeprosił za zamach stanu.

– No dobra – zgodził się Gajec – panu powiem. Chciałem rozjuszyc trochę czerwonego. – Zaśmiał się, klepiąc Zakrzewskiego po plecach. – Rzeczywiście siedział w samochodzie, ale nie pod kamienicą, gdzie mieszkał, tylko blisko niej: koło złodziejskiego banku Goldera. Swoją drogą, wszystkie banki są złodziejskie, a mądry człowiek ma bank w domu. Polaku, bądź sobie sam bankierem, nie? – roześmiał się hałaśliwie, jakby go rozbawił dobry slogan reklamowy.

– Wypijmy za to! – zaproponował Zyga i pomyślał, że Gajec mocno by go skrytykował, gdyby się dowiedział, że zanosí pieniądze do PKO. Niedawno musiał nawet wymienić książeczkę oszczędnościową, bo w starej zabrakło miejsca na wpisy. – To Binder miał auto?

– Nie, no skąd, nie było jego! Siedział z tyłu razem z jakimś brodatym facetem. A z banku wyszedł elegancki gość i usiadł za kierownicą.

– Żyd? – zapytał Maciejewski.

– A kto inny wychodziłby z pejsatego banku! – Gajec klepnął otwartą ręką w stół. Szkło brzęknęło cicho jak jakiś dzwonek do przyzywania lokaja. Jednak nie zjawił się kamerdyner, tylko kelner.

– Żadnych takich politycznych gadek! Mówiłem czy nie mówiłem?! – warknął.

– Żyd pan jesteś, panie ober? – prychnął Zyga. – Przynieś pan jeszcze flaszkę i nie przeszkadzaj. No, toś pan nieźle zakpił z Józka, panie Adasiu. Ale skąd pan wie, że Żyd? Mógł to być ktokolwiek, kto wymieniał walutę.

– Po dziewiątej w nocy?! – zarechotał Gajec. – Mówiłem przecież, że widziałem ich wieczorem. Gość wyszedł z banku, jeszcze mu się stróż uklonił. Jakiś dyrektor albo co, no a kto może być taką szychą u Goldera? Chińczyk?! No jasne, że Żyd. No i auto jakie!

– Właśnie, czym teraz jeżdżą bogate gudłaje? – spytał Maciejewski.

– A czarnymi cadillacami, kochany! – triumfalnie oznajmił Gajec. – Jak jacyś amerykańscy gangsterzy albo co!

– E tam, zmyślasz, Adam! – nie wytrzymał Zakrzewski. Miał już dobrze w czubie, ale dotąd starał się trzymać język za zębami, pamiętając, po co tu ściągnął Maciejewskiego. – Lepiej powiedz, że byłeś w sztok pijany i wszystko ci się pomieszało! – Mrugnął do Zygi. Ten jednak był chwilowo nieobecny, bo ze wszystkich sił starał się zatrzymać w głowie usłyszane właśnie informacje.

„Czarnymi cadillacami...” – powtarzał w myślach. I choć szare komórki pracowały na zwolnionych obrotach, to nie wypił tyle, żeby tego nie powiązać z już znanymi sobie faktami. Zresztą ta część łamigłównki nie była akurat trudna, bo tylko jeden człowiek w Lublinie miał czarnego cadillaca, nowiutką wersję V16. „Gangsterskie” – podobnie skomentował owo auto Zielny. Tym człowiekiem był zaś właściciel domu bankowego, od jakiegoś czasu Henryk Lipowski, choć w akcie urodzenia miał Chaim Golder. Maciejewski znał go trochę, bo przechrzczony bankier też lubił sport, nawet brał udział w jakichś dobroczynnych zawodach pływackich.

Naraz kilka stolików dalej brzęknęła rozbijana butelka. Jeden z wojskowych – ten najbardziej krewki, który wcześniej rwał się do śpiewania, rozpoczął bełkotliwą, pijacką kłótnię z robotnikami siedzącymi po sąsiedzku.

Zyga zaklął w duchu. Jeśli w „Wykwintnej” zacznie się mordobicie, szlag trafi rozpytanie Gajca. Ale pojawił się kelner, zagadał coś do jednych i do drugich – awantura zgasła jak zdmuchnięta świeca.

Maciejewski nie musiał podejmować przerwane wątku. Po pijacku wylewny Gajec gadał już sam, choć nie bez przeszkód – złąpała go dokuczliwa czkawka:

– Zaraz poszedłem, hyp... No bo przechodziłem tylko, nie-hp?... Co, miałem stać i patrzeć na auto jak wsiowe dziecko?! A, słyszałem jeszcze... hyp!... jak mówili do tego brodatego... hyp!... „profesorze”.

– Profesorze? – mruknął Zyga, znów mu nalewając. Odetchnął z ulgą, kiedy się zorientował, że Gajec przestał już zauważać, że jest do przodu o kilka kolejek, podczas gdy jego kompani prawie nie piją. – Co znów za profesor?

– A to zupełnie nieważne, panie Zygmusiu, zupełnie! – machnął ręką Gajec. – Mnie wystarczy, że gadał z Żydem.

– A kiedy to było?

– Kiedy? Jak były Szwedy, he, he... No chyba... hyp!... tak, w sobotę wieczorem!

„Kilka godzin przed morderstwem, nie kilka dni” – zanotował sobie w pamięci Zyga.

– Mówił pan o tym komuś? – spytał i ziewnął szeroko.

– A komu? Komu, kochany panie Zygmusiu?! – Gajec rozrzewnił się i objął podkomisarza. – Zostało mi tylko dwóch przyjaciół. Pan i ta brudna, komunistyczna świnia! – wskazał widelcem Zakrzewskiego.

– Opisz go pan, coś mi się chyba kołacze.

– Ty nie kolega jesteś, ale jakiś sędzia śledczy! – zarechotał Gajec, opluwając stół kawałkami śledzia.

– Zacząłeś, to gadaj, a nie kryguj się jak damulka – wtrącił się Zakrzewski, sięgając po papierosa.

– No profesor jak profesor. Po pięćdziesiątce, z brodą *à la* Haller...

Podczas gdy mówił, w umyśle Maciejewskiego przesuwawała się jak w fotoplastykonie kartoteka Wydziału Śledczego, zdjęcia z gazet, twarze przypadkowych przechodniów, których jakieś tajemne freudowskie prawa kazały mu zapamiętać. Wszystko to niebezpiecznie zaczęło przypominać karuzelę albo filmowy trik, gdy pierwsze strony gazet – wirując i przenikając się wzajemnie – w niespełna minutę streszczają widzowi tydzień dziennikarskiej nagonki. Zyga szybko zagryzł śledziem i sięgnął po piwo. Zbyt ni wysiłek intelektualny podczas picia często kończył się u niego rzyganiem.

Karuzela nagle stanęła. Musiało się to odbić na jego twarzy, bo Gajec zapytał:

– No i co? Znasz?

– Znam – kiwnął głową zamroczony własnym odkryciem policjant. Jakkolwiek by to kretyńsko nie brzmiało, oczyma duszy widział jedyny niepokryty białą plamą cenzury fragment pierwszej strony ostatniego numeru „Głosu”. Zdjęcie profesora Achajczyka, eksperta od renowacji fresków.

Dopiero po chwili zorientował się, że palnął głupstwo. Nie powinien tego mówić. Mocny łeb miał ten Gajec – choć Zyga pił tylko tyle, ile bezwzględnie musiał, i tak go podcięło.

Maciejewski pospiesznie szukał w głowie jakiegoś zręcznego kłamstwa.

– To profesor... – zaczął. „Achajczyk, Achajowie, Achilles – myślał gorączkowo. – Homer, wojna trojańska...”. – Profesor Trojan, czytałem w gazecie.

– A c-co... – czknął Gajec – o nim pisali?

Zyga nie miał na to odpowiedzi. Przysłonił usta dłonią i bąknąwszy: „jedną chwileczkę”, gwałtownie wstał. Ruszył chwiejnym krokiem w stronę drzwi obok szynkwasu.

Gdy je otworzył, w nozdrza uderzył go odór moczu i chloru. Krótki ciemny korytarz prowadził do klozetu oświetlonego słabą żarówką. Po lewej były dwie kabiny, po prawej ściana pokryta bladezieloną lamperią. Po niej z kilku otworów poziomo przytwierdzonej rury ledwie ciurkała woda do rowka w betonowej posadzce. Nad tym rynsztokiem, mniej więcej w połowie nurtu, goryłowaty typ w kraciastej marynarce kiwał się jak uprane gacie na wietrze. Prawą ręką gmerał przy spodniach, lewą trzymał się rury, żeby nie upaść.

Maciejewski stanął dalej, w samym kącie, i rozpiął rozporek. Chciał chwilę pomyśleć bez pilnowania się, aby nie chlapnąć czegoś przy Gajcu. Miał już całkiem sporo: własne przekonanie, że śmierci Bindera i Jeżyka, choć wydają się pozornie bez związku, musi coś łączyć, oraz potwierdzenie tego, że Binder i Achajczyk spotkali się chociaż raz, i to pokątnie. Te trzy fragmenty układanki łączyła osoba redaktora i jego gazeta, w której profesor widniał na zdjęciu, a którą Jeżyk cenzurował. Mimo to rozrzucone kawałki wciąż nie chciały się ułożyć w żadną wyrazistą figurę. Zwłaszcza mącił w tym wszystkim przechrzczony żydowski bankier i jego czarny cadillac. Zyga nie dostrzegał ani śladu przestępczej motywacji.

Podkomisarz złapał się rury nad lamperią i nagle przed samym nosem zobaczył pospiesznie nabazgrany rysunek cycatej baby, która ustami robiła przyjemność rozanielonemu absztyfikantowi. Jego zaś obrabiał od tyłu jakiś brodaty grubas. Maciejewskiemu przypomniały się zwłoki Bindera, przy których musiał otwierać okno, żeby nie rzygnąć...

Facet w kraciastej marynarce westchnął głośno, kończąc szczanie, i ruszył chwiejnie w stronę drzwi. Naraz Zyga też się zakolebał, choć nie wypił pewnie nawet połowy tego co tamten. Olśnienie przyszło nagle, dzieliło po pysku, aż podkomisarz omal nie opryskał sobie butów.

– A niech to szlag! – mruknął.

Anonimowy karykaturzysta wymalował specjalnie dla Maciejewskiego alegorię kryminalnej zagadki, nad którą ten łamał sobie głowę. Baba to Binder (widziany po raz

ostatni, *notabene* z penisem w ustach), pierwszy facet – Jeżyk (zauważ, drogi Watsonie, zabity dwa kroki od burdelu), a drugi – Achajczyk (cóż za traf, nawet fizjonomicznie jego gazetowa fotografia całkiem pasowała do pornograficznego rysunku w klozecie!).

No tak, Binder wypisywał w „Głosie” swoje odkrycia i oszczerstwa. Cenzor raz po raz zamykał mu gębę jak ten frajer ze ściany swojej dziwce. W zadowoleniu nie patrzył jednak, czy ktoś czasem nie kroi mu tyłka. Widzieć, o co naprawdę się rozchodzi, mógł pochylony do przodu Binder, a cenzor?... Nawet taka menda ze starostwa nie ma oczu na dupie. Tylko jaki interes miałby profesor od zabytków w dymaniu urzędasza?

W zamyśleniu Zyga nawet nie zauważył, kiedy skończył się odlewać, tylko stał zapatrzony w dzieło klozetowego artysty.

– Wystarczy sprawdzić, co widział dymany Binder! – mruknął do siebie.

– Te, panie! – odpowiedział mu niespodziewanie głos tłustego kelnera. Zyga zerknął za siebie.

Kelner tym razem nie miał przewieszanej przez ramię ścierki. Trzymał wiadro, znad którego unosiły się opary chloru.

– Tu nie galeria! – warknął. – Kończ pan, bo trza zdyzenfykować. Zara zamykamy.

– A macie tu telefon? – Maciejewski zapiął rozporek.

– No, jeszcze telegraf i patefon! – Grubas chwycił wiadro, jakby chciał chlusnąć na Zyge.

– Pijaki cholerne!

* * *

– Halo, tu Komisariat Główny Policji Państwowej, proszę mówić – odezwał się w słuchawce głos dyżurnego przodownika.

Zyga zerknął kątem oka na kolejarza, który mimo obejrzenia legitymacji wciąż nie dowierzał, że ten natarczywy pijak z nosem źle zrośniętym po jakiejś ostrej bójce naprawdę jest oficerem Wydziału Śledczego. Wpuścił go do dyżurki, ale ani myślał wychodzić, chociaż Maciejewski chrząkał znacząco. Zawiadowca udał, że tego nie zauważa, i zajął się przeglądaniem jakichś tabel.

– Tu M-masiejewski, kto wszy aparacie? – zapytał podkomisarz.

– Pan podkomisarz Maciejewski? Tak jest, przodownik Nowak. Niewyraźnie pana słyszę – dodał, choć Zyga był przekonany, że mówi zupełnie normalnie.

– To nie ma nic do rzeczy – powiedział wolno i starannie, jakby ćwiczył dykcję. – Muszę się upewnić, czy wysłano już z mojego wydziału raport do... – rzucił wściekle spojrzenie na kolejarza – do dowództwa okręgu korpusu.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Podkomisarz kłął pod nosem, że tak się uparł zrobić na złość trepom z kontrwywiadu i lekką ręką oddał im kluczowy dla sprawy numer „Głosu”. Ten z ogłoszeniem o dziewczynce i książeczce do nabożeństwa, ale i z ocenzurowaną pierwszą stroną ze zdjęciem profesora. W niej musiało tkwić eleganckie rozwiązanie geometrycznej

zagadki: Binder – Jeżyk – Achajczyk, nić łącząca dwóch denatów i żywego.

– Nie, panie podkomisarzu, nie wiem, jak mogło się to stać...

– Zawsze to samo, nie nowina, Nowak. Rano... – Zyga już miał powiedzieć, że odbierze niewysłaną przesyłkę, ale zrezygnował. Mundurowi nie powinni wiedzieć za dużo, bo gotowi byliby wszystko zepsuć. – Rano sam się tym zajmę. – Odłożył słuchawkę.

Zawiadowca wreszcie uwierzył, że pijany typ w jego dyżurce istotnie jest ważnym śledczym.

– Muszę iść, panie władzo – usprawiedliwił się łagodniejszym tonem. – Za chwilę będzie Lwów – Rawa Ruska – Warszawa.

Maciejewski spojrzął na zegarek, ale najwyraźniej mu zaparował, bo dopiero gdy podsunął go bliżej oczu, dojrzał, że dochodziło wpół do pierwszej. Uchylił kapelusza i wyszedł na peron, a potem na ulicę.

Przed dworcem na kilka minut zrobił się ruch, ostatni pasażerowie spieszyli się na nocny pociąg. Ktoś wpadł na Zygę, potracił go walizką i burknął jeszcze, że stoi w przejściu. Później znów był spokój. Smutne dorożkarskie szkapy drzemały przy dyszlach, dwaj taksówkarze stali obok aut i palili papierosy, ale nawet nie chciało im się rozmawiać. Maciejewski przez chwilę zastanawiał się, czy wziąć taksówkę, czy dorożkę, w końcu uznał, że jak na jeden wieczór znacznie naruszył fundusz operacyjny. Tyle dobrego, że jako kierownik nie musiał się przed nikim tłumaczyć, na co poszła ta forsa.

Kiedy Zyga stał tak przed głównym wejściem i dumął nad drożyzną, nagły poryw wiatru zerwał mu kapelusz. Podkomisarz pobiegł za nim przez plac dworcowy, starając się nie wdepnąć w końskie łajna. Gdy już pochylał się i łapał za rondo, wyrosły przed nim czarne buty z cholewami. Ocierając dłonią błoto z kapelusza, Maciejewski podniósł wzrok. Przed nim stał policjant z niebieskim winkiem starszego posterunkowego na rękawie szynela.

– Idź pan lepiej do domu, na dziś chyba wystarczy, co? – zapytał, krzywiąc się dla dodania sobie surowości.

– Tak jest, panie władzo – odparł poważnie podkomisarz i zawrócił w kierunku Krochmalnej.

* * *

Nisko wiszący księżyc co chwilę zerkał spomiędzy szybko sunących chmur. Ulica Wapienna była ciemna i pusta, a wiatr śmigał po łąkach nad rzeką, nie napotykając żadnego oporu poza przygarbionym, przytrzymującym kapelusz podkomisarzem Maciejewskim. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczałby się po nocy na tę nieoświetloną drogę utwardzoną jedynie tłuczonym kamieniem. Tyle że właśnie wtedy miał najbliżej do domu – jakieś dwadzieścia-trzydzieści minut na piechotę.

Kiedy Zyga przestał już myśleć o śledztwie, poczuł, że wódka zrobiła swoje. Zakolebał się, wpadając w głęboką kałużę, i poczuł w gardle smak żółci.

Doczłapał do mostu na Bystrzycy. Był pokraczny, ale solidny, stalowy. Nie to co drewniany na Piłsudskiego, który co cięższe furgony pokonywały z trudem. Jednak Maciejewski miał wrażenie, że tej nocy wiatr zdołał rozkołysać przesła. A potem morska choroba dopadła go na całego. Zdjął kapelusz, żeby mu nie wpadł do wody, i przechylił się nad barierką.

Długo jeszcze odkasływał i splotał do rzeki, nareszcie poczuł się lepiej. Zarechotał sam do siebie, podniósł głowę i zaryczał na cały głos:

*Bystrzyyyca niech do Wieprza
swe wody toooczy precz,
a naaasza Unia Lublin
wygrywa kaaaždy mecz!*

Gdzieś przed nim, w pobliżu folwarku na Rurach rozszczękały się psy. Po lewej spłoszony bażant szurnął na oślep w martwe kartoflisko. Zyga wcisnął mocno kapelusz na głowę, postawił kołnierz płaszczu i ruszył przed siebie.

Przeszedł może sto metrów, gdy ujadanie zrobiło się głośniejsze, a na drodze zamajaczyły świecące w ciemności ślepie. To nie były folwarczne psy, ale jakaś włócząca się po łąkach bezpańska zgraja. Wytrzeźwiał w jednej chwili. Wycofywał się tyłem w stronę mostu, ale było za późno. Kilka kundli skoczyło ku niemu z wściekłym warczeniem. Maciejewski wyrwał rewolwer z kabury, ale zanim zdążył strzelić, najzjadlejszy ze zdiczałej sfory chwycił go za poję płaszczu. Zyga cofał się, cały czas celując w kudłaty łeb, jednak w nikłym blasku księżycy miał wrażenie, że dostrzega dwie albo i trzy lufy. Ciągłe drgały i ciągle któraś z nich była wymierzona nie w psa, a w nogę Maciejewskiego.

Kundel sięgnął zębami rękawa, ale podkomisarz zdołał zdzielić go kolbą – najpierw w twardy łeb, potem w nos. Pies odskoczył, piszcząc, tylko że już dobiegały dwa kolejne. Zyga wystrzelił raz, drugi, trzeci. Oczy jednego z kundli zgasły, usłyszał przenikliwe skomlenie, a reszta uciekła gdzieś w bok, w stronę hipodromu i klubu jeździeckiego.

Zyga biegł, zwracając uwagę jedynie na to, by trzymać się drogi. W folwarku ktoś zapalił światło, gdzieś trzasnęły drzwi, ale podkomisarz minął zabudowania i dopadł brukowanej ulicy. Nigdy nie sądził, że widok pokracznych parterowych domów i majaczącej za nimi bryły cegielni kiedykolwiek sprawi mu przyjemność. Dopiero teraz schował broń i sapiąc, dotarł do pustego o tej porze przystanku autobusowego. Oparł się o słup i drżącymi rękami wyjął papierosa, ale ledwie zapalił zapałkę, wiatr natychmiast zdmuchnął wąty płomyk.

Rozdział 4

12 listopada 1930 r., środa

Maciejewski otworzył oczy, zanim jeszcze zadzwonił budzik. Gardło miał wysuszone i nieruchawe jak szewskie kopyto, we łbie lekko łupało. Obrócił się w stronę biblioteczki z rozrzuconymi w nieładzie książkami, sprawdził, czy jest w stanie czytać tytuły na ich grzbietach, nawet gdy stoją wspak. Nie było zagrożenia, kontrolował kaca.

Czekając na dźwięk budzika – równie namolnego jak telefon na jego biurku w komisariacie – wodził wzrokiem po mieszkaniu. Zofia nienawidziła tej nory, nic dziwnego, że skorzystała z pierwszej okazji, aby odejść. Choć i tak wytrzymała z nim prawie dwa lata, próbując ucywilizować męża. „Niedługo dostaniesz awans, Zygu, a my żyjemy jak bankruci” – powtarzała do znudzenia. Potem zaczęli kłócić się o wszystko i o nic, wreszcie całkiem przestali rozmawiać. Przełożeni Maciejewskiego krzywo patrzyli na rozwody, ale on miał szczęście w nieszczęściu, bo pół roku po tym, jak uciekła z kochankiem, dopadła ją gruźlica. Tym sposobem Zyga nie musiał sprzedawać ohydny domu po ciotce i zamiast niemoralnym rozwodnikiem, został doświadczonym przez los wdowcem. A kilka miesięcy później podkomisarzem i kierownikiem wydziału.

Myśli przerwało mu wściekłe dzwonięcie. Przycisnął budzik ręką, a gdy ten zamilkł, podkomisarz spuścił nogi i zaczął szukać nimi kapci. Dopiero po chwili spostrzegł, że leżały daleko, aż pod oknem. Przenikliwy chłód z miejsca przeszył mu stopy. Zabrał się więc do rozpalenia w piecu.

Lubił kaca o poranku. Mógł wtedy wyłączyć nie tylko budzik, ale też tkwiącego w nim policjanta. Wrzucając drewniane szczapy w ogień, myślał o przyjemnych rzeczach – że w kuchni powinno być jeszcze kilka jajek, ćwiartka średnio czerstwego chleba, a już na pewno kawa i cukier. Jeśli zaś nie omylił się w rachubach – może nawet nieco mleka. Ale gdy zerwał kartkę z kalendarza, by nią ożywić przygasający płomień, przyszło niemiłe otrzeźwienie – była środa, a w środy przychodziła Kapranowa, żeby jako tako ogarnąć mu mieszkanie. Gdyby ją zawiadomił wcześniej, baba by pojedoliła, ale zjawiłaby się w czwartek. Tyle że wcześniej zupełnie nie miał do tego głowy.

Kapranowa mieszkała dwa domy dalej z mężem inwalidą, który rozповідаł, że stracił nogę na wojnie bolszewickiej. Zyga jednak dobrze wiedział, że stało się to w pobliskiej cegielni na Glinianej. Chłop popijał zdrowo przez całą noc, a rano poszedł do pracy, ledwie wiedząc, jak się nazywa. Gdy wył z bólu, leżąc pod stosem ciężkich, wilgotnych, jeszcze niewypalonych cegieł, podobno jechało od niego jak z gorzelni. Dlatego nie dostał żadnego odszkodowania i wyrzucili go z roboty bez odprawy. Teraz pił mniej, bo nie miał za co, i jak zmiłowania czekał na każdą środę, gdy jego żona przynosiła parę złotych od „kochanego pana komisarza”.

Nie tylko zresztą parę złotych. Maciejewski nieraz umyślnie zostawiał na widoku pół paczki papierosów – bo całej by nie wzięła, byłoby to szyte zbyt grubymi nićmi, a ona miała swój spryt drobnego złodziejaska. Podobnie zniknęła czasem część zawartości niedopitych flaszek albo jakieś groszaki, jeśli potoczyły się na podłogę. Ale w zamian pojawiało się mleko, masło czy jajka. Jednak tej środy Zyga miał ochotę na odrobinę spokoju.

Ledwie zdążył się umyć, ubrać, doczyścić jako tako buty i cokolwiek przekąsić, usłyszał skrzypnięcie furtki i kroki Kapranowej. Po chwili zapukała i weszła. Była malutka, gruba, ale niezniszczalna i hałaśliwa niczym tankietka. Od razu zaczęła gadać jak nakręcona:

– A dzień dobry, dzień dobry, kochany panie komisarzu! Ale tu bajzel u pana! Niech się pan nie nerwuje, zdrowia szkoda, a tego mordercy to musi nie złapiecie. Bo to ludzie gadają, że to wampir. Jajka pan tak smażył, że kto to widział, cała kuchenka zachlapana! Mój w kółko tylko, że będzie musowo wojna z Sowietami, no bo Piłsudski stary, a przecie taki Piłsudski to nie zemrze spokojnie, nim nie pogoni bolszewika, co?

Pracowicie rozmazywała brud szmatą, a jej małe sprytne oczka myszkowały, szukając czegoś, co mogłaby zwędzić.

Maciejewski zapalił papierosa i łyknął kawy.

– Piłsudski Piłsudskim, a mleka Kapranowa nie przyniosła? – zapytał.

– A co? Głowa boli? – Skrzywiła tłuste wargi w złośliwym uśmiechu. – Nie było jeszcze tej baby ze wsi. Pewno dlatego, że po święcie. Wszystkie psy jazgotały, jak pan komisarz nad ranem do domu się wracał. Podobnież ktoś strzelał.

– Strzelał?! – mruknął Zyga. Ciągle nie miał pomysłu, jak wytłumaczyć użycie broni służbowej. – Też coś!

– Ja tam nie taka wyrywna, coby ozorem mleć na prawo i lewo. Jakby kto się pytał, to ja nic nie słyszała. I mój stary mógł nic nie słyszeć, choć był trzeźwy. – Przysunęła się niby przetrzeć stół, ale kilka razy spojrzała na podkomisarza znacząco, że od razu sięgnął do kieszeni.

– Tu ma Kapranowa pięć pięćdziesiąt... Niech będzie sześć... Dobra, dziesięć złotych! Posprząta Kapranowa, ze sklepu przyniesie, co tam Kapranowa uważa, i tak dalej. I koniec tej rozmowy, bo mnie głowa boli.

Blisko godzinę później, gdy Maciejewski szedł już szybkim krokiem skrajem Placu

Litewskiego, niczym *deja vu* zastąpiła mu drogę monstrualna butelka.

– Pan szanowny raczy na mleko dla ubogich dzieci... – odezwał się pijacki bas. W otworze błysnęły przekrwione oczy, zabrzączała puszka z drobniakami.

– Idź pan sobie, sam bym się mleka napił po wczorajszym.

– A ja to niby nie?! – prychnął urażony kwestarz. – Nie pan jeden żeś patriota.

* * *

Młody dyżurny na komisariacie nerwowo obracał w palcach ołówki, patrząc na wściekłą twarz podkomisarza Maciejewskiego.

– Ja nic nie wiem – sięgnął wreszcie po ostateczny argument. – To Nowak kazał mi wysłać pakiet do kontrwywiadu, kiedy zdawał służbę. Mówił, że pan podkomisarz dzwonił w nocy i przypominał.

– Mówiłem, że sam się tym zajmę! – Zyga zacisnął pięści.

– Tak jest, to właśnie przekazał mi Nowak. No i ja chciałem... – urwał, szukając słowa – wykazać się inicjatywą w służbie, panie komisarzu. No bo przecież nie powiedział pan, żeby nie wysyłać, tylko że się pan tym zajmie. Więc ja chciałem...

– ...oszczędzić mi pracy? – podpowiedział zjadliwie Maciejewski.

– Tak jest, panie komisarzu.

– Niech was szlag! Guzik macie rozpięty – rzucił Zyga i wbiegł na schody.

Niczym burza wpadł do swojego gabinetu. Był pierwszy, nawet przed Kraftem. Sprawdził, czy w elektrycznym czajniku stojącym na parapecie jest woda, i włączył go do prądu. Potem wyjął z szuflady biurka książkę telefoniczną. Wykręcił numer.

– Dom Bankowy Golder? – zapytał. – Dzień dobry, podkomisarz Maciejewski, wydział śledczy. Chciałbym mówić z panem prezesem Lipowskim.

– Obawiam się, że pan prezes jest jeszcze nieobecny – usłyszał wytrenowany, bezosobowy głos urzędnika. – Zechce pan zatelefonować później.

Wiele go kosztowało, żeby powiedzieć po prostu: „Do widzenia”. Pierwszy dzień po święcie zaczął się fatalnie i choć była to środa, miała wszelkie cechy szewskiego poniedziałku. Niewiele pomogło także przyjscie Krafta.

– Ale po co się tym zajmować? – zapytał naiwnie zastępca, kiedy Maciejewski zrelacjonował mu okupione kacem informacje. – Zyga, jest tylko jakiś pijak, który może coś widział, a może nie widział. Każdy adwokat to podważy. A poza tym nie ma już przecież sprawy Bindera.

– Jest za to sprawa cenzora – przypomniał podkomisarz.

– Ale jedynie twój złamany nos mówi, że coś je łączy. Jak w ogóle to skojarzyłeś?

Maciejewski nie wspomniał Gienkowi o klozetowym rysunku w knajpie na Krochmalnej. Rzeczowy, poukładany umysł Krafta nie byłby w stanie przyjąć takiego dowodu. Podobnie zresztą jak sąd.

Zyga westchnął i spojrzął na zegarek. Do odprawy wywiadowców zostało jeszcze trochę czasu, więc podkomisarz zajął się wczorajszymi raportami.

Tak jak przypuszczał, wdowa po zamordowanym cenzorze nic nie wiedziała, jakoby Paweł Jeżyk miał jakichkolwiek wrogów. Spisujący jej zeznania Grzewicz dodał w notatce służbowej, że szlochając, mówiła głównie o niskiej rencie, jaką dostanie po mężu, i złotej szwajcarskiej omedze z graverunkiem na rocznicę ślubu. Tak, podkomisarz pamiętał otarcie na nadgarstku trupa. Już miał sięgnąć po kolejny raport, kiedy coś go tknęło.

– Grzewicz już jest? – zapytał Gienka.

– Tak, przyszedł równo ze mną.

Maciejewski złapał papier pokryty kanciastymi kulfonami Grzewicza i zajrzał do pokoju wywiadowców kryminalnych.

– Co to? – Podetknął kartkę pod nos nieco przestraszonemu tajniakowi.

– Coś tu nie tak, panie kierowniku? – zdziwił się tamten. – Poprawię, tylko proszę powiedzieć...

– Jak mam rozumieć, że mówiła o zegarku? Że ładny, że złoty, że drogi czy co? Co konkretnie? – zdenerwował się podkomisarz.

– Aaa, no tak! Ale to nic ważnego, naprawdę – pospiesznie usprawiedliwił się wywiadowca. – Ten zegarek to on oddał do naprawy kilka dni wcześniej, tylko nie zostawił żonie kwitu. No i kobieta martwi się, że nie będzie mogła go spieniężyć.

– A gdzie to jest napisane?! – Zyga pacnął dłonią w notatkę Grzewicza, aż papier mało się nie rozdarł. – Wy chyba chcecie wrócić na komisariat! – warknął i wybiegł.

Podczas gdy młody tajniak próbował zrozumieć, czego znów nie dopatrywał, Maciejewski czytał już kolejny raport z rozpytania radcy Powsinowskiego, przełożonego komórki cenzorskiej w starostwie. Jego z kolei poruszyło nie tyle samo morderstwo, co miejsce, w którym odkryto ciało. Urzędnik państwowy zaszyty w ciemnej uliczce obok burdelu?!...

Ten pikantny szczegół nie mógł oczywiście umknąć „Głosowi”. Jedno Zyga musiał przyznać tej gazecie – dział miejski miała nader sprawny. Kiedy podniósł z biurka pachnący jeszcze farbą najnowszy numer, od razu rzucił mu się w oczy krótki tekst na pierwszej stronie:

TRUP NA ŻMIGRODZIE!

Drugie morderstwo polityczne w ostatnich dniach?

Wczoraj, 11 bm., we wczesnych godzinach porannych na tyłach domów schadzek zostały odnalezione zwłoki mężczyzny. Celnie ugodzony nożem, zapewne zmarł wkrótce po napaści i rabunku. Ofiarą był urzędnik cenzury lubelskiego Starostwa, Paweł Jeżyk. Śledczy zajmujący się sprawą nie wykluczają bandyckiego motywu. Wydaje się jednak tak samo prawdopodobne, że mogło to być morderstwo polityczne dokonane przez zakspirowaną bojówkę żydo-komunistyczną. Pytamy w imieniu lublinian: ileż jeszcze trzeba ohydnych zbrodni, by władze położyły temu kres? (gj)

Maciejewski odnotował z nutką satysfakcji, że nie on jeden łączył śmierci Bindera i Jeżyka. Choć wolałby się znaleźć w lepszym towarzystwie niż tajemniczy „gj” z „Głosu”.

Odkładając gazetę, znów przypomniał sobie to otarcie na nadgarstku Jeżyka. Raczej wyglądało mu na świeże. Zadzwoił nawet do lekarza sądowego, ale jego telefon nie odpowiadał.

Parę minut po dziewiątej gabinet wypełnili tajniacy. Zyga pozwolił najpierw Kraftowi zagonić do pisania tych, którzy zalegali z raportami. Resztę podzielił na trzy grupy. Większość wysłał na miasto, żeby posłuchali świeżych plotek. Potem kazał Wilczkowi udać się na Piaski i dyskretnie zebrać informacje o Adamie Gajcu, urzędniku Cukrowni „Lublin”.

– Po cichu, nieoficjalnie – powiedział. – Jak wrócisz, przekażesz mi wszystko, a gdyby mnie nie było, podkomisarzowi Kraftowi. Panie Kraft, proszę mnie znaleźć telefonicznie i przekazać. – Urwał na chwilę, znów zastanawiając się nad zegarkiem cenzora i nad tym, czy zaufać zeznaniom, czy raczej swemu instynktowi. – Ty, Fałniewicz, jak skończysz raport, pojedziesz na Dwójkę i uczulisz dzielnicowych. Dwie sprawy: czy ktoś z ferajny nie szasta forszą i czy ktoś na urodziny nie dostał złotego sikora. A ty, Zielny, jakimś cudem zdążyłeś z raportem? Idź do redakcji „Głosu”. Potrzebuję jeszcze raz poniedziałkowego numeru.

Kiedy Maciejewski został sam z zastępcą, znów nastawił wodę na herbatę i zasiadł nad czystą kartką papieru. Gdyby Kraft wstał i zajrzał mu przez ramię, zdziwiłby się niezmiernie, choć był przyzwyczajony do dziwacznych pomysłów kierownika wydziału. Zobaczyłby bowiem, że podkomisarz szkicuje obsceniczny rysunek z babą, jej fagasem i obrabiającym mu tyłek pederastą. A potem, że Zyga gapi się na swoje bazgroły niczym jakiś historyk sztuki na tajemniczy uśmiech Mony Lisy.

Pierwsza herbata tego ranka była obrzydliwa, druga ohydna, trzecia smakowała jak cykuta Sokratesowi. Ale na przekór sobie Zyga pił ją, wdychał opar. Pozwolił swoim myślom ulecieć w bok, poza magiczny trójkąt Binder-Jeżyk-Achajczyk. Na jego rysunku – także trójkąt obsceniczny. Jak zwykle na kacu Maciejewski sięgał w wyższe rejony. Teraz zastanawiał się, czy skojarzenie pornograficznego bazgrołu z morderstwami nie było tylko

figlem jego umysłu. Co powiedzieliby na to pierwsi śledczy Europy – *Domini canes*, psy Pańskie wprawione w pokrętej analizie zeznań heretyków? Rozszerzanie kręgu podejrzanych i łączenie różnych spraw w jeden logiczny węzeł było przecież ich specjalnością! Niestety Maciejewski, klozetowy Torquemada, nie miał kogo o to zapytać, bo ostatni dominikanie zniknęli z Lublina po carskiej kasacie zakonu. No i przecucie podpowiadało śledczemu, że bardziej spodobałby im się podkomisarz Tomaszczyk.

Już zamierzał żartem spytać o to Krafta, ale pewnie odparłby mu tylko policyjnym żargonem, że jako ewangelik nie ma wiedzy.

Po pół godzinie wrócił Zielny, a z nim weszło do gabinetu dwóch mundurowych. Wszyscy trzej mieli pod pachami tyle „Głosów”, że spokojnie można byłoby nimi obdzielić kilku gazeciarzy.

– Nie chcieli dać – powiedział tajniak, kładąc swoją zdobycz na biurku Maciejewskiego.

– Narzekali, że policja wszystko gubi. I że o tym napiszą.

– Co to ma być? Potrzebowałem jednej.

– No chyba nie chciałby pan kierownik, żeby kto skapował, o który numer chodzi, co nie?

– uśmiechnął się Zielny.

– Tak, tak... – Zyga odłożył kartkę rysunkiem do dołu i odnalazł wśród przyniesionej makulatury właściwy numer. Obejrzał uważnie pierwszą stronę, po czym schował gazetę do teczki.

Po chwili jeszcze raz sięgnął po telefon.

– Bank Golder? Podkomisarz Maciejewski. Czy pan prezes Lipowski jest już w biurze?

– Bardzo mi przykro, panie komisarzy. Pan prezes wyszedł w interesach i dziś nie będzie przyjmował.

– Skoro nie ma pana Henryka Lipowskiego, to może jest pan Chaim Golder? – syknął pod nosem Zyga.

– Przepraszam, nie dosłyszałem – odezwał się uprzejmy głos w słuchawce.

– Do widzenia.

Zielny spojrzał znacząco na szefa.

– Panie kierowniku – zaczął nieco zdziwiony. – Możemy tam pójść, machnąć legitymacją, wpakować się prezesowi do gabinetu i co nam kto zrobi?

– Faktycznie nie rozumiesz, Zielny. Przecież nie mamy już sprawy Bindera.

– A co ma piernik do wiatraka? Przepraszam, Binder do Domu Bankowego Golder.

Zyga przez chwilę zastanawiał się, czy nie powtórzyć Zielnemu tego wszystkiego, z czym zapoznał wcześniej Gienka, ale zrezygnował.

– Czekaj na komisariacie, możesz być potrzebny – powiedział tylko tajniakowi. – Cokolwiek łączy Bindera z Golderem, biorę to na siebie. Panie Kraft, ma pan gdzieś na wierzchu numer do cenzury?

* * *

Biuro kontroli druków przypominało Maciejewskiemu redakcję „Kuriera”, którą odwiedził dwa dni wcześniej. Też było chłodne, pachniało farbą drukarską i specyficzną wonią bibliotecznego kurzu. Na czterech biurkach piętrzył się stos gazet, papierów i książek. Sądząc po ich tytułach oraz objętości, było tam wszystko – od przewodników i rozpraw naukowych do powieści sensacyjnych i tomików poetyckich. Pod oknem przy piątym, najmniejszym biurku siedział młody blondyn w okularach i czarnym garniturze, jakby po pracy wybierał się na pogrzeb. Tyle że Jeżyka, o ile policjant pamiętał, mieli chować dopiero za dwa dni.

– Podkomisarz Maciejewski – przedstawił się Zyga. – Zapowiadałem się telefonicznie.

– Proszę. – Urzędnik wstał i rozsunął nieco papiery na sąsiednim biurku. – Niestety nie znalazłem jeszcze numeru, o który pan prosił. Przepraszam, ale jestem tu od niedawna, a kolega Jeżyk... Pan rozumie.

– Rozumiem. – Podkomisarz usiadł i odłożył kapelusz na stos książek obok parapetu. Zajrzał do notesu. – Pan referent Jan Stolczyk?

– Młodszy referent – sprecyzował urzędnik.

Zyga przyjrzał się jego uśmiechniętej, poczciwej twarzy. Co prawda nie widział do tej pory żadnego żywego cenzora, jednak ten pasowałby mu raczej na nauczyciela, a nie na „knebel wolności słowa”, jak napisał kiedyś Zakrzewski w swoim komunistycznym piśmidle. Choć z punktu widzenia starostwa pokrywanie białymi plamami szpałt gazetowych i konfiskowanie nieprawomyślnych książek zapewne nie różniło się wiele od poprawiania byków w rodzaju „żułw” czy „Piłsódski” czerwonym profesorskim atramentem.

– Niech pan spokojnie szuka, poczekam – kiwnął głową Maciejewski. – A chwileczkę! Przy którym biurku siedział pan Jeżyk?

– Przy tym. – Cenzor przeszedł w róg pomieszczenia. Na jego twarzy pojawił się wsiowy, zabobonny lęk, jakby w tamtym kącie straszycie.

– Mogę je obejrzyć?

– Proszę, panie komisarzu, ale nic pan nie znajdzie. Nie wolno nam przynosić niczego z domu. Ani wnosić, oczywiście.

– Oczywiście. – Maciejewski zaczął otwierać szuflady i oglądać druki. – A nie ma pan jakichś podejrzeń? – zapytał młodego cenzora schylonego nad dolną półką masywnego regału obok wejścia.

– No przecież to wiadome! – Stolczyk wyprostował się. – Komunistyczna bojówka! – wybuchnął.

Zyga miał już na końcu języka pytanie, czy urzędnik wyczytał to w niezbyt prawomyślnym „Głosie”, ale odparł z poważną miną:

– Śledztwo trwa i jak pan widzi, wzmogliśmy czujność. A tak między nami, czy któryś z pana kolegów nie był w konflikcie z zamordowanym?... – znacząco zawiesił głos.

– Tak pan myśli? – Cenzor przetarł okulary.

– Nigdy nie wiadomo, gdzie mogą mieć agentów – szepnął Maciejewski.

– Słusznie – przytaknął Stolczyk. – Z moskiewskimi agentami... Proszę. – Podał podkomisarzowi zwiniętą w rulon płachtę nierozciętej jeszcze gazety.

– Dziękuję. – Zyga zerknął na pierwszą stronę. Zobaczył znajome zdjęcie Achajczyka, tym razem już okolone tekstem na całą rozkładówkę. – A wie pan, jest jeszcze jeden drobiazg – zaczął lekkim tonem. – Przypomina pan sobie, czy w dniu śmierci pan Jeżyk miał na ręce zegarek?

– Zegarek? – Młody urzędnik podrapał się po głowie zupełnie jak sztubak niespodziewanie wyrwany do odpowiedzi. – Aaa, z zegarkiem kolegi Jeżyka to była taka mała biurowa afera! W zeszły wtorek... nie, w środę twierdził, że ktoś mu ukradł, i posądzał nawet naszego stróża, że znalazł może na umywalce w łazience i nie oddał. A w poniedziałek, to znaczy w dniu śmierci – poprawił się Stolczyk – faktycznie miał zegarek...

– Ukradli – zamyślił się Maciejewski. – Bo żonie mówił, że oddał do zegarmistrza.

– Może zapomniał – wzruszył ramionami urzędnik.

– A pan by zapomniał? – spytał śledczy.

– Ja nie – zastrzegł się zaraz Stolczyk i odruchowo zerknął na boki, choć byli sami – ale... Może nie powinienem tak mówić o zmarłym, jednak ostatnio pan Jeżyk był nieswój, taki podenerwowany jakiś... Myślę, że miał kłopoty finansowe.

– A z czego pan to wnosi? – Podkomisarz spojrzał na niego uważniej.

– Bo słyszałem od kolegów o jego żonie. Podobno niezbyt liczy się z pieniędzmi i ja tak sobie myślę, choć tylko tak zupełnie prywatnie sobie myślę! – znów się zastrzegł. Gdy Maciejewski łagodnie pokiwał głową, odetchnął i dokończył: – Ja myślę, że on ten zegarek zastawił w lombardzie, ale nie chciał się przyznać.

Zyga spojrzał badawczo na młodszego referenta.

– Jednym słowem, pan Jeżyk miał kłopoty i skłonność do małych biurowych afer?

– Ale był doskonałym cenzorem i wiele się od niego nauczyłem – oznajmił z kamienną twarzą Stolczyk.

– Oczywiście, dlatego osobiście prowadzę śledztwo – równie poważnie odparł Maciejewski. – Przepraszam, że oderwałem pana od pracy. Zresztą i ja mam jej jeszcze sporo.

Wskazał trzymaną w rękę gazetę, po czym usiadł za biurkiem Jeżyka. Nie był medium, aby poczuć, co myślał pracujący tu do niedawna człowiek. Jednak dobrze znał ten typ drobnego bydlaczka, który boi się żony, wstydzi kolegów, a stróża wyzywa od najgorszych. Podkomisarz nie wątpił, że cenzor zeszmacił się z miłym uśmiechem, wziął łapówkę z miną „całuję rączki”, a potem pognął do burdelu udawać mężczyznę.

Maciejewski wyjął notes i zaczął czytać skonfiskowany artykuł:

KOLONIALNA DOBROCZYNNOŚĆ

Lublinowi paciorki, złoto do kieszeni!

Czytelnikom literatury podróżniczo-przygodowej znany jest sposób, w jaki handluje się z dzikimi. Iluż to bohaterów ulubionych naszych książek w zamian za garść paciorków lub kilka łokci perkalu zostało obdarowanych cenną kością słoniową lub innymi drogimi towarami? Okazuje się jednak, że podobny proceder prowadzić można nie tylko w Afryce, Ameryce Południowej, na Madagaskarze czy w wioskach naszych Kresów. Co prawda Lublin nie jest osadą dzikusów, ale i tu przy pewnej dozie przewrotności można prowadzić podobne „interesa”.

Z radością i satysfakcją donosiliśmy nieraz o postępach w pracach restauracyjnych kaplicy na Zamku – bezcennym zabytku z czasów Średniowiecza. A jakże, chwaliliśmy za to nasze Starostwo, co tern bardziej znamienne, że nieczęsto się to zdarza na naszych łamach. Lecz oto wyszło na jaw, że wszyscy zostaliśmy oszukani...

Zyga nie miał najmniejszych wątpliwości, że tekst podpisany „Redakcja” wyszedł spod ręki Bindera. Poznawał ten prymitywny, kąśliwy styl, niepozbawiony jednak oryginalnych porównań. Przebiegł szybko wzrokiem dwa kolejne, niezbyt odkrywczyc akapity i doszedł do sedna:

Jak dowiedzieliśmy się z dobrze poinformowanych źródeł, nawet kierujący pracami prof. Achajczyk nie miał pełnej wiedzy o skarbach, które kryje – a może należy powiedzieć: kryło – Zamkowe Wzgórze. Tak doniosły fakt zarówno dla nauki polskiej, jak i dla społeczeństwa naszego miasta został starannie ukryty. Przyczyna tego stanu rzeczy może być tylko jedna – otóż sprawujący nadzór Pan Starosta i „hojny darczyńca”, Towarzystwo Przemysłowców, postanowili wszelkie znaleziska zachować dla siebie. Zabytkowych fresków zerwać ze ścian się nie dało i pewnie tylko z tej przyczyny zostaną one na historycznym miejscu!

Binder pluł jeszcze trochę jadem i na koniec obiecał „wiernym Czytelnikom gazety”, że tej sprawy tak nie zostawi i będzie „niezwłocznie” informował o nowych faktach.

Poniżej skonfiskowanego artykułu znajdował się odręczny dopisek czerwonym atramentem:

*Godzi w powagę i autorytet władz państwowych i więziennych;
wywrotowa propaganda - ref. P. Jeżyk*

Zyga jeszcze raz prześledził treść artykułu i zgrzytnąwszy zębami, zaczął go przepisywać

do notesu. P.o chwili zdenerwowanie mu przeszło, a ogłupiająca czynność wyciszyła umysł niczym buddyjskiemu mnichowi, który przez cały dzień obraca młynkiem modlitewnym.

Uwaga cenzora wydawała się Maciejewskiemu coraz bardziej podejrzana. Skoro zdaniem Jeżyka Binder nadepnął na odcisk władzom wojewódzkim, to dlaczego nie zostały wycięte tylko akapity wyraźnie atakujące starostwo? Jaki interes miała cenzura w osłanianiu nawet rzekomych machlojek Towarzystwa Przemysłowców? Od tego jest sąd cywilny, a nie starostwo. Skoro więc urzędnik wykazał się tak daleko idącą gorliwością, zaryzykował odwołaniami do sądu, było jasne, że zrobił tak z czyjegoś polecenia.

No i dlaczego sam Binder uderzył z tak grubej rury? Przecież znał najważniejszy, wymyślony przez samych dziennikarzy artykuł 107 rozporządzenia o prawie prasowym: „Cenzor jest wrażliwy na *shocking*. Do nieprzyjemnych informacji należy go przyzwyczajając stopniowo”. Redaktor „Głosu” powinien był zacząć od aluzji i insynuacji, a nie od razu pisać tekst, o którym musiał wiedzieć, że nie ukaże się w gazecie. Zatem ktoś upewnił go, że pomimo wszystko się ukaże. Kto mógł być taki dowcipny?

Dalej w artykule pojawił się (jakże niewinnie!) profesor Achajczyk, natomiast nie było słowa o banku Goldera. Skoro obaj stanowili „dobrze poinformowane źródła”, to dlaczego jeden pozostał w cieniu, a drugi się wychylił? Gdyby chodziło o innego dziennikarza, można by to uznać za przejaw nieudolności, ale nie w przypadku starego wygi Bindera!

Maciejewski już miał pewność, że obsceniczny fresk w klozecie był znakiem równie nieomylnym jak krzew gorejący – Achajczyk grał Binderem i Jeżykiem. Tylko o co?

– Przepraszam pana – wyrwał go z rozmyślań głos urzędnika. – Gdyby pan czegoś potrzebował, będę za chwilę.

– Tak! – Zyga niemal wykrzyknął. – Jedna rzecz. Mogę zadzwonić na komisariat?

– Bardzo proszę. Wyjście na miasto przez zero-jeden.

Gdy za młodym cenzorem zamknęły się drzwi, Maciejewski kazał Kraftowi, żeby posłał kogoś do lombardów w okolicy Krakowskiego Przedmieścia.

– Tak, chodzi o tę złotą omegę Jeżyka. Czy nie została zastawiona w zeszłym tygodniu, a odebrana najpóźniej w poniedziałek.

Nacisnął widełki aparatu, po czym od razu wykręcił kolejny numer. Przysłonił usta niezbyt czystą chustką i czekał, aż ktoś odbierze.

– *Golder Bank in Lublin?* – zaszczekał basem. – *Guten Tag, Franz Muller aus Deutsche Bank in Frankfurt am Main hier.*

Tak jak śledczy przewidział, uprzejmy urzędnik po drugiej stronie linii stał się tym razem również pomocny.

– *Guten Tag, Herr Muller* – odparł niezłą niemczyzną. – Czym mogę służyć?

– Chciałbym rozmawiać z panem prezesem Lipowskim.

– *Natürlich, Herr Muller. Ein Moment, bitte.*

W słuchawce coś zatrzeszczało i po chwili podkomisarz usłyszał inny głos, również

tchnący wytrenowaną uprzejmością:

– *Guten Tag. Henryk Lipowski hier.*

– Dzień dobry, panie prezesie – powiedział Zyga po polsku. – Tu podkomisarz Maciejewski, kierownik Wydziału Śledczego. Proszę mi wybaczyć ten niewinny podstęp, obawiam się jednak, że koniecznie powinniśmy pomówić. W pańskim biurze za kwadrans?

* * *

Prezes Golder-Lipowski był energicznym, przystojnym mężczyzną koło czterdziestki. Zyga pożałował, że nie zabrał ze sobą Zielnego – dobrze by mu zrobiło zobaczyć, jak powinien leżeć nienagannie skrojony garnitur. Nawet gdy bankier siedział – z wyrazem twarzy równie nienagannym jak jego ubranie – nie robił mu się garb ani inne zbędne fałdy. Tylko w oczach prezesa widniała gotowość do odparcia ataku, choć przez telefon Maciejewski wyczuł, że podstęp z *Herr Mullerem* bardziej go rozbawił, niż zdenerwował.

– Do rzeczy, w czym mogę pomóc policji? Czyżby pojawiły się fałszywe marki? – zapytał Lipowski, wskazując fotel naprzeciw masywnego dębowego biurka. Nie znać było po nim żydowskiego pochodzenia. Zachowywał się i mówił jak Polak.

– A jak sukcesy pływackie pana prezesa?

– Sukcesy pływackie... – Bankier już nie ukrywał rozbawienia. – Teraz i ja sobie przypominam. Zygmunt Maciejewski, pierwsze miejsce w okręgu w wadze półciężkiej w 1925?

– W 1924. I jak pan prezes widzi, teraz raczej waga ciężka. – Zyga poklepał się niedbale po brzuchu. – Pan zechce wybaczyć moje najście, ale po pierwsze, to nieoficjalna wizyta, a po drugie, w pańskim interesie.

– Czyżby mi coś groziło?

Maciejewski zagryzł wargę. To pytanie Lipowski wypowiedział takim samym przezroczystym tonem, jaki utrzymywał od początku rozmowy, a jednak coś w nim zabrzmiało fałszywie. Może zbyt mało, aby uznać to za sukces, niemniej gdyby jakieś medium wejrzało do umysłu prezesa, z pewnością dostrzegłoby tam zmańcenie spokoju, jaki prezentował na zewnątrz.

– To właśnie chciałbym ustalić. – Zyga wyjął notes. Potrzebował pretekstu do trzymania czegoś w rękach, skoro nie mógł zapalić papierosa. W gabinecie nie było czuć nikotyny, nigdzie też nie stała popielniczka. – Ale zacznę od suchych faktów. Po pierwsze, niedługo przed śmiercią redaktora Bindera spotkał się pan z nim poufnie tu, pod pańskim bankiem, w pańskim samochodzie. Był pan widziany. Po drugie, w spotkaniu oprócz zamordowanego i pana brał udział jeszcze jeden mężczyzna. Po trzecie, nie zgłosił się pan do nas, kiedy prasa doniosła o morderstwie i rozpoczęciu śledztwa. Po czwarte, kiedy telefonowałem do pana, nie chciał pan rozmawiać. Jak pan prezes mi to wyjaśni?

– Panie komisarzu, ja tu pracuję i naprawdę nie mogę...

– Ale dla jakiegoś Mullera z Deutsche Bank pan mógł. Czy pan Muller był mniej nieumówiony? – uśmiechnął się sarkastycznie Maciejewski. – Dobrze, powiedzmy, że ustosunkował się pan do mojego „po czwarte”. Co z wcześniejszymi punktami?

– Dobry z pana bokser – odwzajemnił się uśmiechem Lipowski. – Cztery krótkie i odskok. Ale co mam powiedzieć?! Nie znokautował mnie pan. Napije się pan czegoś?

– Dziękuję, jestem na służbie. A więc?

– A mówił pan, że przyszedł nieoficjalnie! – złapał go za słowo prezes.

Zyga zrozumiał, że faktycznie do nokautu było dużo dalej, niż się spodziewał, przekraczając drzwi domu bankowego.

– Małą kawę poproszę. – Odczekał, aż Lipowski przekaże to sekretarce, i kontynuował już bardziej łagodnym tonem: – Panie prezesie, bezwzględnie powinien pan zgłosić się na policję, bo to pańskie spotkanie z Binderem może być istotne dla śledztwa. Jest jednak coś jeszcze: mam powody przypuszczać, że to może nie być ostatecznie morderstwo. Pan ma żonę, dzieci, taki piękny bank...

– Grozi mi pan?

– Przeciwnie. Dodam, że na razie tylko ja wiem, że widział się pan z Binderem.

– Ile? – spytał rzeczowo Lipowski.

– Wszystko. – Zyga nachylił się nad biurkiem. – Czyli całą prawdę.

– Chyba nie dojdziemy do porozumienia – pokręcił głową prezes. – Pan zupełnie nie jest człowiekiem interesu.

To zabrzmiało Maciejewskiemu bardzo żydowsko, a w każdym razie tak, jak pojmowali żydowskość ludzie o durnopatriotycznym umyśle typu Gajec. Zyga jednak wiedział, że w pewnych sprawach narodowość nie ma żadnego znaczenia. Dobitnie wskazywały na to doświadczenia policji amerykańskiej – tam gangi włoskie, irlandzkie, żydowskie, a także polskie podzieliły miasta i całe stany na własne strefy wpływów, działając dokładnie tak samo i posługując się takimi samymi argumentami. A do podstawowych należały takie słowa jak „interes”, „geszeft” czy „business”.

– Pan wybaczy, panie podkomisarzu, ale nie będę mógł napić się z panem kawy. – Lipowski wstał i zapiał górny guzik swojej szarej marynarki.

– Mówię jak sportsmen sportsmenowi – bez większej wiary Zyga uciekł się do ostatniej sztuczki, jaka mu przyszła do głowy. – Czy pan naprawdę wie, co robi?

– No więc odpowiem jak sportsmen sportsmenowi: mam żonę, dzieci i piękny bank, sam pan tak to ujął. Dlatego właśnie robię, co robię. Cenię pana dokonania bokserskie, ale jeśli pan przyjdzie oficjalnie, przepraszam, w ogóle nie będę z panem rozmawiał. Od tego mam adwokata.

Wychodząc, Maciejewski spotkał się w drzwiach z sekretarką. Zauważył, że i osobiste asystentki prezes Lipowski wybierał ze znanostwem – figurę miała jeszcze lepszą niż jego wesola pielęgniarka Róża, choć sukienka z obniżonym stanem – nieco *demode*, wyraźnie ją

spłaszczala. Sekretarka niosła tacę z dwiema filiżankami parującej, aromatycznej kawy. Zyga nie wytrzymał, wziął jedno z naczynek i upił łyk.

– Nawet bez cukru doskonała, panie prezesie – pochwalił.

– Cieszę się z opinii smakosza – odparł ze sztywnym ukłonem Lipowski i zdjął słuchawkę telefonu z widełek na znak definitywnego zakończenia audiencji. – Niemniej żegnam.

* * *

Kiedy Zyga przekraczał próg Domu Bankowego Golder, świeciło słońce. Teraz, gdy wyszedł, musiał szczelnie zapiąć płaszcz. Na ulicy panował przenikliwy chłód, a z wcześniej niepozornych chmur sypnęło rzadkim śniegiem. Jakiś podobnie opatulony mężczyzna w zaparowanych rogowych okularach potracił go, goniąc „ósemkę” sunącą wolno do przystanku za rogiem. Uchylił kapelusza, wymamrotał coś i pobiegł dalej.

Maciejewski odwrócił się, sięgnął do kieszeni. Tyle dobrego, że mógł wreszcie zapalić. Pierwszą zapalkę zdmuchnął jednak wiatr, drugą zgasił płatek śniegu, a pozostałe były już dawno spalone, tylko bezmyślnie włożone z powrotem do pudełka. Zyga nie cierpiał tego swojego nawyku, jednak nie potrafił się odzwyczaić.

Nałóg wołał o kolejną porcję nikotyny, a zdenerwowanie czyniło go jeszcze silniejszym. Podkomisarz fatalnie rozegrał sprawę z Lipowskim, co gorsza, dobrze wiedział, że nic nie da się poprawić. Z prezesem należało zagrać z grubej rury i oficjalnie. Tylko jak, cholera, to zrobić, skoro nie miał sprawy Bindera?! A może powinien od razu z cenzury zadzwonić albo zajść do komendy wojewódzkiej? Pal sześć, że Tomaszczyk świnią! Z kolei taki na przykład Borowik zawsze wyglądał mu na porządnego gline...

Wściekły na siebie, na swój zapalczany nawyk i syndrom psa ogrodnika już postawił nogę na podeście sąsiadującego z bankiem hotelu „Victoria”. Portier jednak, otaksowawszy wzrokiem jego zniszczone ubranie, nie raczył otworzyć drzwi. To przypomniało Maciejewskiemu, że zapalki w hotelu będą co najmniej dwa razy droższe niż w kiosku. Poszedł dalej, jednak wszystkie jego myśli krążyły wokół papierosa wetkniętego z powrotem do paczki.

Był na rogu Kapucyńskiej i Krakowskiego Przedmieścia, kiedy znów ktoś na niego wpadł. Zdziwiony podkomisarz rozpoznał Lennerta.

– Serwus, Zyga! Co za spotkanie! – uścisnął mu rękę mecenas.

– Masz zapalki? – spytał kwaśno Maciejewski.

Zaciągnął się głęboko, gdy przyjaciel podał mu ogień. Śnieg już nie padał, nawet wiatr jakby osłabł, tylko chmury – gęste i kotłujące się jak papierosowy dym w pijackiej mordowni – na dobre zasłaniały niebo.

– Dziękuję – skinął głową podkomisarz. – A co tu robisz na mrozie?

– Będziemy gadać na ulicy? Chodź na kielicha. – Lennert wskazał ręką szyld „Europy”.

– Jestem na służbie.

– No to zjemy obiad. Towarzystwo Przemysłowców stawia.

– Pan mecenas bardzo dziś łaskaw. – Maciejewskiemu zaburczało w brzuchu na samą myśl o jedzeniu. – Przez grzeczność nie odmówię.

W „Europie” było tłoczno, salę wypełniali goście hotelowi – głównie przedsiębiorcy załatwiający swoje interesy w stolicy województwa, także co lepiej opłacani biuraliści z firm i urzędów mieszczących się w śródmieściu. Większość twarzy Zyga znał z widzenia.

– No chyba nie ma miejsc – wzruszył ramionami podkomisarz i zawrócił ku wyjściu, ale Lennert zatrzymał go i skinął na pana Tośka, który akurat miał dzienną zmianę.

Kelner zaraz wyszukał niewielki stolik w rogu. Przecisnęli się obok łapczywie połykającego obiad prowincjusza z sumiastym wąsem. Ten obrzucił ich uważnym spojrzeniem, po czym zajął się swoim posiłkiem.

– Może dwa jarzębiaczki na dobry apetyt? – zapytał z uśmiechem pan Tosiek, kiedy usiedli.

– Nie daj się prosić, Zyga – poparł kelnera mecenas. – Na służbie lekarstwa można przyjmować.

Podkomisarz kiwnął głową. Zamówił biały barszcz i sznyceł, ale jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej.

– Słuchaj, Stachu – zaczął, kiedy już zostali sami. – Ty znasz dobrze Goldera?

– Goldera? – powtórzył Lennert. – Znaczy Lipowskiego! Tyle co i ty. A co? Jeździ jak wariat i mandatów nie płaci?

Ten dzień rzeczywiście był paskudny. Może Zyga tylko sobie wmawiał, że kaca ma pod kontrolą? Wyraźnie zawodził go instynkt. Bo nie wiedział na przykład, dlaczego odniósł wrażenie, że przyjaciel wcale nie był zdziwiony pytaniem o bankiera.

– Nieważne – burknął. – Więc bijemy się jutro?

– A jakże! O, dziękujemy, panie Tośku! – Prawnik uśmiechnął się do kelnera, który właśnie przyniósł dwa oszronione kieliszki, i sięgnął po trunek.

Teraz dopiero Maciejewski zauważył, że Lennert ma całą prawą dłoń w bandażach.

– Tak chcesz boksować?! Chyba zwariowałeś! – powiedział. – Co ci się stało?

– Eee, nic! – machnął ręką przyjaciel. – Pies mnie ugryzł.

– Pies? – Zyga wzdrygnął się, przypomniawszy sobie wczorajszy powrót do domu. – Jaki pies?

– A wyobraź sobie, pekińczyk. – Lennert nachylił się nad stolikiem i szepnął przyjacielowi do ucha: – Bronił sukinsyn cnoty żony pana starosty. Mocno przechodzonej, ale zawsze to magistrackiej.

Maciejewski parsknął śmiechem. Znał miłosne podboje przyjaciela, a już ten romans z panią starościnażką znał chyba cały Lublin z wyjątkiem najbardziej zainteresowanego. I Zyga nader plastycznie wyobrażał sobie tę zapewne filmową, romantyczną scenę: bordowy peugeot

pędzi zasnutą jesienną mgłą szosą, dajmy na to, na Snopków. Zjeżdża na polną drogę między malowniczymi wierzbnami w dolinie Ciemięgi (brak tylko chochołów z Wyspiańskiego, ale polne opary *à la* Chełmoński są – jak najbardziej). Lennert odwraca głowę, łagodnie kładzie dłoń na ramieniu swej towarzyszki, a wtedy nagle z tylnego siedzenia podrywa się żywa kupka kłaków i chaps!

– Z taką ręką chcesz jutro boksować? – powtórzył czerwony na twarzy podkomisarz.

– Podgoiło się od niedzieli. A co, tchórzysz? – Lennert też się śmiał, ale potem nagle spoważniał. – Dobrze, że cię spotkałem, Zyga, bo i tak muszę z tobą na serio pogadać. Zajeżdżisz się.

– Słucham? – Śledczy opróżnił kieliszek jednym haustem.

– A słuchaj! Widziałeś się w lustrze? Wyglądasz nie lepiej od tych, których łapiesz. Forsa żadna, a jeszcze nożem można oberwać. Teraz chcesz dostać Goldera! Nie pytam, w czym rzecz, i wyobraź sobie, wcale mnie to nie interesuje. Radzę jak przyjaciel: idź na dziewiątą do roboty, wracaj po fajerancie do domu i tyle, *chwatitl* A zresztą rzuć to w cholerę i znajdź sobie jakąś prawdziwą posadę. Nie zrobiłeś dyplomu, ale przecież prawie skończyłeś studia. Głupszy od ciebie są dzisiaj dyrektorami. Skorzystaj z tego, że masz przyjaciela, który gotów ci pomóc.

– Naprawdę? – Maciejewski zapalił papierosa. – To wymyśl mi haka na Goldera.

– A niech cię szlag! – zdenerwował się jego uporem Lennert.

Mecenas próbował jeszcze coś perswadować Zydze, ale kiedy ten zaatakował obiadem niczym wilki konny zaprzęg na obrazie Fałata, niewiele do niego docierało. Odłożył łyżkę, dopiero gdy przyjaciel wspomniał o wolnym etacie w biurze Towarzystwa Przemysłowców.

– Słyszałem, że wspieracie finansowo prace archeologiczne na Zamku.

– Jakie tam archeologiczne! – Lennert otarł usta serwetą. Przy okazji odruchowo przejechał dłonią po policzku, sprawdzając, czy broda nie odrasta. – Konserwatorskie, w kaplicy. Powinieneś ją zobaczyć, jak będzie gotowa. Takiej nie ma chyba nigdzie na świecie. Jakbyś wszedł do cerkwi i gotyckiej katedry jednocześnie.

– Hm, jeśli archeologiczne, to pomyślałem, że konserwatorzy biorą więźniów z Zamku do ciężkich robót. Opłaca się, bo za darmo, ale z drugiej strony musieliby im ciągle patrzeć na ręce. Zwłaszcza gdyby się tam dokopali do jakichś skarbów.

– Skarbów! Skąd ty bierzesz takie rewelacje, Zyga? Chyba z „Głosu” – usztywnił się prawnik.

– A pisali o tym w „Głosie”? – spytał znad sznycła Maciejewski.

– Nie wiem, bo nie czytam, ale to ten poziom rozmowy – warknął Lennert. – I wcale mnie nie obchodzi, co tam odnowią, a czego nie odnowią. Amerykanie nazywają takie coś *sponsoring*. Jak masz za dużo pieniędzy, to wyrzucasz trochę na jakiś głupi, za to szczytny cel. Im głupszy, tym lepszy. Wszyscy od razu przestają ci patrzeć na ręce. My ratujemy średniowieczne zabytki, a Rodzina Policyjna organizuje obiady dla biednych dzieci. Żeby

miały siłę bazgrać węglem po zabytkowych murach. – Nabił nieco ziemniaka na widelec i umoczył w sałatce. – Wiele potrzeb ma kochana ojczyzna, Zyga. I każdy orze jak może.

– Ją orze czy dla niej orze, Stasiu?

– A z tym to różnie bywa. Nie gniewaj się, muszę już iść. Kelner, płacić! Wychodzisz? – zwrócił się do Zygi.

– Wypiję jeszcze kawę – powiedział Maciejewski i wstał, żeby się pożegnać.

Ściskając dłoń przyjaciela, podkomisarz widział, że choć Lennert udaje spokojnego, w środku aż się w nim gotuje. Maciejewski tak naprawdę czuł to samo. Pokpił rozmowę z Lipowskim *vel* Golderem i może przez to niepotrzebnie naciskał na Stacha, który przecież nie powiedział nic złego – Zyga wiedział najlepiej, że trudno o wredniejszą pracę niż jego. Główna Szkoła Policyjna, potem Zamość i Lublin... Siódmy rok. A od co najmniej czterech wolał nie zadawać sobie pytania, dlaczego to właściwie robi. Czuł tylko, że mimo wszystko powinien – tak jak wtedy w 1920 w lesie nad zbezczeszczonym trupem...

Maciejewski sięgnął do portfela, aby zapłacić od razu za kawę. Ale już prawie nic w nim nie zostało, bo jak zwykle niemal całą pensję wpłacił po pierwszym do PKO.

– Jednak innym razem, panie Tošku. – Uśmiechnął się przepaszająco do kelnera. Ten odpowiedział mu niskim ukłonem i Zyga wyszedł.

Ledwie jednak pchnął przeszklone drzwi oddzielające restaurację od hallu, znów usłyszał głos przyjaciela. Lennert stał tyłem do niego, a przy nim znany podkomisarzowi z gazety brodaty profesor Achajczyk.

– Porozmawiamy jutro, jak było umówione. – Mecenas próbował się wyrwać.

– A jeśli nie zechcę z tym czekać do jutra? – Achajczyk złapał go za ramię.

– Panie profesorze, współpracujemy dobre kilka miesięcy...

– Współpracujemy?!

– Pan jest zdenerwowany, rozumiem – przemówił prawnik łagodzącym tonem. – Ale dziś naprawdę nie mogę nic zrobić. Bardzo się spieszę. To tylko dzień różnicy, panie profesorze. Do zobaczenia jutro. – I szybko wyszedł, a obrotowe drzwi hotelu długo kręciły się niczym śmigło.

Maciejewski przepuścił wchodzącego na salę restauracyjną Achajczyka. Ten, nawet nie spojrzawszy na Zyge, podziękował mu skinieniem głowy. Podkomisarz wyszukał wzrokiem pana Tośka i kiwnął na niego dłonią.

– Zna pan tego pana? – zapytał.

– Oczywiście, to profesor Achajczyk. Mieszka w hotelu, pierwsze piętro, numer 121. – Kelner wyrzucił dane jak z automatu zadowolony, że nikt w mieście nie jest lepiej poinformowany od niego.

– A czy na jutro wieczór ten profesor i mecenas Lennert mają może zarezerwowany stolik?

– Przepraszam, panie komisarzu, zaraz sprawdzę. Zyga nie czekał długo. Pan Tosiek

zamienił tylko kilka słów z szefem sali i po chwili wrócił.

– Tak, istotnie – powiedział. – Jutro o ósmej. A jak pan komisarz to odgadł?

* * *

– Gdzie się pan podziewał? – warknął komendant Sobociński. – Proszę – wskazał krzesło po drugiej stronie biurka.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że pan nadkomisarz będzie mnie potrzebował. – Zyga usiadł. – Prowadziłem rozpoznanie operacyjne.

– A co pan, krawężnik jesteś, żeby osobiście biegać po mieście? I skoro rozpoznanie, to dlaczego jedzie od pana jarzębiakiem? I co pan robił dziś w cenzurze, jeśli wolno?

Maciejewski westchnął. Dawno nie widział komendanta tak wściekłego. Sobociński był aż pąsowy na twarzy, niezdrowy rumieniec przebijał nawet spod jego przeredzonych włosów.

– I do cholery ciężkiej, mył się pan chyba na Wielkanoc! – Nadkomisarz walnął pięścią w stół.

Widząc narastające zdenerwowanie komendanta, Zyga domyślał się, że dojdzie i do tego argumentu. Poznał Sobocińskiego, zanim się jeszcze spotkali, bo jako aspirant w Zamościu czytał jego rozporządzenia z czasów, gdy nadkomisarz tuż po wojnie w 1918 dowodził tamtejszą milicją. Zasłynął jako nieprzejednany wróg brudnych wychodków i krzewiciel higieny – nie tylko wśród ludności, ale i samych funkcjonariuszy. Maciejewski wciąż miał przed oczyma jego rozkaz dzienny: „Włosy na głowie należy przystrygać krótko, a ją samą myć ciepłą wodą i szarym mydłem przynajmniej raz na tydzień. Ręce mają być umyte przed każdym wyjściem na służbę jak również po zejściu ze służby. Brud pod paznokciami starannie usuwać. Nogi myć co dzień przed udaniem się na spoczynek ciepłą i zimną wodą. Zimna woda uodparnia nogi od zaziębienia. Kalesony obowiązkowo zmieniać przynajmniej raz w tygodniu. Przestrzegania rozkazu dopilnuje wyznaczony przodownik techniczny”.

Fakt, w Zamościu Maciejewski jeszcze sam z siebie stosował się do tych wytycznych. Ale teraz z pewnością Sobocińskiemu nie chodziło tylko o brudny kołnierzyk. Ktoś całkiem niedawno musiał zadzwonić do niego z pretensjami. Lipowski? Nie, ktoś ważniejszy, bankierem nadkomisarz by się tak nie przejął.

– Przepraszam, panie komendancie – powiedział Zyga. – Kolejną noc prawie nie spałem. Pojawił się ślad w sprawie Bindera. Sprawdzalem go.

– Dlaczego pan traci nasz czas zamiast zawiadomić Urząd Śledczy? – zmarszczył brwi Sobociński. – To już jest ich sprawa.

– Panie komendancie, jestem w kropce – mruknął Maciejewski zgnębionym głosem. – Tak naprawdę mam tylko nieoficjalne zeznania pijanego świadka i parę własnych podejrzeń. Jeśli wojewódzka pójdzie tym tropem i coś znajdzie, zgarnie premie kosztem naszego wydziału. Jeśli nic nie znajdzie, to my wyjdziemy na idiotów.

– Tu nie liga powiatowa, panie podkomisarzu. To jest gra w reprezentacji.

– Jest jeszcze coś, panie komendancie... – zaczął ostrożnie Zyga. Nie był całkiem pewny, czy w tej sprawie może zaufać Sobocińskiemu. Choć do tej pory nigdy się na nim nie przejechał...

– No słucham!

Maciejewski opowiedział o spotkaniu z Zakrzewskim i Gajcem, o wyciętym przez cenzurę artykule w „Głosie”, prezesie Lipowskim oraz profesorze Achajczyku. Całą prawdę, pominął jedynie wątek Trąbicza.

– I sądzi pan, że ktoś w komendzie wojewódzkiej jest w zмовie? – Sobociński uniósł brwi.

– A po co by nam przysyłali takiego Tomaszczyka? Nie wątpię, że to on stoi za odsunięciem nas od sprawy Bindera. Nic nie robi, tylko węszy.

Komendant wstał i przeszedł się po gabinecie.

– No dobrze – zdecydował po minucie namysłu. – Rób pan swoje. Do tej pory nigdy mnie pan nie zawiódł, komisarzu. Jak będziecie coś mieli, chcę wiedzieć pierwszy. A, i jeszcze jedno! Na miłość boską, zrób pan coś ze sobą, bo sam pan wyglądasz jak bandyta.

* * *

Ledwie Maciejewski zamknął za sobą drzwi gabinetu Sobocińskiego, zobaczył uśmiechniętego od ucha do ucha Tomaszczyka. Szedł korytarzem, a za nim prowadzono skutego kajdankami Zakrzewskiego. Poeta miał mętny wzrok – najwyraźniej po wczorajszym pijaństwie rano przesadził z klinem. Na widok Zygi zatrzymał się na chwilę i pokiwał głową.

– Idziemy – pchnął lekko aresztanta pilnujący go tajniak.

Maciejewski kiepsko znał swoich wywiadowców politycznych. Było ich tylko sześciu, cztery razy mniej niż kryminalnych. A on, gdy został kierownikiem Wydziału Śledczego, z miejsca przekazał tych tajniaków Kraftowi. Uznał, że dość ma na głowie prawdziwych przestępców, by jeszcze tropić wydumane spiski żydokomuny. Nie zamierzał osobiście dozorować inwigilowania syjonistów albo naiwnych studentów, którzy zamiast kochać marszałka, roili o republice ludowej czy Polsce od morza do morza. Co innego białostockie lub Kresy, gdzie faktycznie sowieccy agenci mogli trafić na podatny grunt, jednak Lublin...

Teraz, kiedy w ciągu czterech dni Tomaszczyk rozpanoszył się w komisariacie jak u siebie, Zyga żałował, że odpuścił sobie te sprawy. Kompletnie nie wiedział, jak grać politycznymi. Na szczęście na jednego z nich, Dudarza, miał haka. I tamten dobrze o tym pamiętał.

Podkomisarz wszedł do pokoju wywiadowców kryminalnych. Był prawie pusty, tylko Zielny udawał, że pracuje nad jakimś raportem. W istocie zabawiał rozmową pannę Jadwigę, która przysiadła na brzegu stołu. Słyszając skrzypnięcie drzwi, oboje podnieśli głowy. Na twarzy tajniaka wciąż błąkał się uśmiezek amanta z przedmieścia.

– Nie mają państwo nic do roboty? – syknął Maciejewski.

– Przepraszam. – Maszynistka wyszła spłoszona.

Zielny niby zerkał do swojego raportu, ale widać było, że czeka na polecenia.

– Wiesz coś o tym, kto chodził za Zakrzewskim? – zapytał Zyga.

– Nie, nic, panie kierowniku. A powinienem?

– Pójdiesz teraz do politycznych i wywołasz Dudarza. Niech idzie z tobą do klozetu.

– Że niby co, panie kierowniku? Konfesjonał? – domyślił się tajniak. – Proszę zejść za pięć minut. – Wstał i odłożył niedokończony raport na swoją półkę. – A nawet za trzy, panie kierowniku.

Maciejewski podszedł do okna. Starą, porysowaną szybę na ukos znaczyło gołębie gówno. Krafit kazałby natychmiast wołać stróża, aby je starł, ale Zyga tylko zasunął firankę i przysiadł na sąsiednim parapecie. Na dziedzińcu wiatr zaczął właśnie rozdmuchiwać kupę liści, które dozorca już któryś dzień z rzędu starannie zagrabił, ale nie wyrzucał. Ostatnio sporo się mówiło o zwalnianiu pracowników cywilnych, więc oszczędzał robotę, żeby było widać, jak się krząta.

Zyga spojrzął na zegarek. Minęło trzy i pół minuty od rozmowy z tajniakiem. Przyspieszając kroku, szedł na parter do toalety. Zielny przeglądał się w niemal matowym ze starości lustrze i przyglądał włosy. Dudarz stał w kącie i niespokojnie palił papierosa.

– O co chodzi, panie komisarzu? – zapytał, podchodząc dwa kroki.

– O Zakrzewskiego, Dudarz. – Maciejewski łagodnym ruchem wyjął mu papierosa z dłoni, przełamał i utopił w kałuży, która zebrała się nad przytkaną kratką odpływową. – Kto go zdjął i jakim cudem? Tylko ja nie jestem Tomaszczyk, mnie się mówi prawdę.

Tajniak odetchnął z ulgą. Jego chudą twarz rozszerzył uśmiech, szczurze wąsiki uniosły się do góry.

– Tu nie ma żadnej tajemnicy, panie komisarzu, przysięgam. Wszystko było jak w raporcie. Dostaliśmy cynk z Dwójki, że jest w mieszkaniu na Towarowej. I rzeczywiście był. Zgarnęliśmy klienta prosto z pościeli, w samych kalesonach. A wódką na kilometr od niego jechało, panie komisarzu.

– Do rzeczy: kto go wystawił? – warknął Zyga.

– Baba, Żydówka. Jakaś Szajman czy Szyjman, nie pamiętam, ale wszystko jest w raporcie.

– A czego w nim nie ma? – Maciejewski zaczął powoli iść w stronę pisuarów, spychając wywiadowcę coraz bliżej kałuży przy kratce odpływowej. – Bo przypomnę sobie, kto rok temu sprzedał pismakom...

– Panie podkomisarzu, to całkiem jasna sprawa – zapewnił pospiesznie wywiadowca. – Ja wiem, że pan podkomisarz zabronił go za bardzo szukać. I nikt nie szukał, przysięgam! Ta kobita go wydała z zazdrości. Pokłócili się, a jak zasnął, pognęła na komisariat.

Obcasy Dudarza na pół centymetra zanurzyły się już w brudnej wodzie. Maciejewski

ponad jego ramieniem spojrzął na Zielnego. Ten pokręcił głową. „Nie łże” – powiedział samym ruchem warg.

– Prawdę mówię, panu podkomisarzowi Tomaszczykowi trafiło się jak ślepej kurze...

– Dobra – przerwał tajniakowi Zyga. – Skorzystaliście z klozetu, to do roboty. I gęba na kłódkę, tak?

Dudarz skinął głową i stuknął obcasami, aż chlupnęła woda na posadzce.

* * *

– Imię, nazwisko, imię ojca! – wrzasnął Tomaszczyk.

– Władimir Uljanow, Iljicz – odparł spokojnie Zakrzewski.

– Imię, nazwisko, imię ojca!

– Złamał mnie pan, panie władzo. Lew Bronstein, Dawidowicz...

– Tomaszczyk, pozwolisz na chwilę? – Maciejewski uchylił szerzej drzwi.

– Nie widzisz, Zyga, że jestem zajęty?! – warknął tamten. – Jak ktoś wypuszcza komunistów, ktoś inny musi ich łapać.

– Panie komisarzu, to ważne – przynaglił służbowym tonem Zyga.

Tomaszczyk niechętnie wstał zza biurka i szerokim łukiem omijając siedzącego przed nim na krześle wywrotowego redaktora, podszedł do Maciejewskiego.

– Nie wołaj konwojenta, Zielny go popilnuje.

– Bez wątpienia – skrzywił się Tomaszczyk, obrzucając wystrojonego tajniaka ostrym spojrzeniem.

Stanęli na korytarzu obok pokaźnej spluwaczki używanej przez cały wydział jako popielniczka.

– Zapalisz? – ugodowo zapytał Maciejewski, wyciągając swoje sokoły.

– Szybciej, Zyga, szkoda czasu!

– Dobrze... – Podkomisarz schował papierosy. – Słuchaj, puść Zakrzewskiego.

– A niby dlaczego?! – burknął Tomaszczyk, poprawiając okulary. Zyga zauważył, że same zsuwały mu się po spoconym nosie.

– Bo to mój informator. Jest mi potrzebny na mieście, nie na dołku.

– W takim razie żaden problem – wzruszył ramionami Tomaszczyk. – Pokaż mi jego nazwisko na wykazie współpracowników i zaraz będzie wolny.

Maciejewski miał ochotę złapać tego łowcę komunistów za kłapy marynarki i mocno nim grzmotnąć o ścianę.

– Dobrze wiesz, że nie znajdziesz go na żadnej liście – powiedział, siłąc się na spokój. – I wiesz jeszcze lepiej, ile jest pożytku z takich oficjalnych informatorów.

– To nie moja sprawa, czy wasz wydział potrafi korzystać z kapusiów czy nie. Są jednak przepisy, wytyczne...

– Tomaszczyk, zostałeś tu oddelegowany i podlegasz mi służbowo – przypomniał

ladowato Zyga.

– Nie służbowo, tylko operacyjnie – sprecyzował z uśmiechem tamten.

– Cholera jasna, o czym ty mówisz?! Masz cokolwiek, za co mógłbyś go wsadzić? Zrobisz z siebie idiotę prywatnie, twoja sprawa. Ale to pójdzie też na konto mojego wydziału.

– Aaa, chodzi ci o wydział! – odetchnął teatralnie Tomaszczyk. – No to się nie martw. Nie zapuszczuję Zakrzewskiego.

– No więc? – Zyga zapalił. Musiał czymś zająć ręce, zanim zdrowy rozsądek nie pokona boksterskiego odruchu.

– No więc Zakrzewski oficjalnie studiuje na uniwersytecie, tak? A dopóki studiuje, jest zwolniony ze służby wojskowej. Kiedy jednak ksiądz rektor Kruszyński odebrał mój telefon i wysłuchał, co mam do powiedzenia, postanowił skreślić go z listy studentów. Natychmiast powiadomiłem o tym Powiatową Komendę Uzuppełnień. W karnych kompaniach piechoty zawsze znajdzie się wolne miejsce. Kto wie, może tam nauczą go rozumu szybciej niż na Zamku.

– Adolf, ty to robisz z głupoty czy z przekonania?

– A ty, Zyga, osłaniasz go po starej znajomości – Tomaszczyk poprawił okulary – czy może sam jesteś czerwony?

Począł chwilę, sycąc się widokiem zgrzytającego zębami Maciejewskiego. Ponieważ jednak ten nic nie odpowiedział, wrócił do pokoju. Nie pytał już Zakrzewskiego o imię, nazwisko i imię ojca. Zyga usłyszał tylko jego złośliwy śmiech, a potem Tomaszczyk zaczął podśpiewywać:

*A gdy cię rzuci luba dziewczyna,
to ty się, bracie, z tego śmieję,
w milej kompanii napij się wina
i bolszewika w mordę lej!*

*Bo przyjdę czasy, że te kutasy
będą przed nami na baczność stać.
Ręka nie zadrży jak liść osiki,
gdy będziem ruskie mordy prać!*

– Szwoleżer, kurwa jego mać! – warknął do rymu Maciejewski.

* * *

Telefon terkotał jak wściekły. Zyga i Kraft spojrzeli po sobie, czy odbierać. W końcu Maciejewski sięgnął po słuchawkę.

– Co?! – krzyknął po chwili. – Nie, nie bierz go do nas! Już tam jadę.

– Stało się coś? – zapytał zastępca.

– Telefonował Fajniewicz z Dwójki. Mają chłopaka z Kośminka. Z zegarkiem Jeżyka. A ja nie mam życzenia, żeby mi go Tomaszczyk obwąchiwał.

– Jechać z tobą?

– Dzięki, lepiej wezmę Zielnego. To może nie być zgodne z literą prawa.

– Ale z duchem tak? – skrzywił się w wątlym uśmiechu Kraft.

– Z duchem jak najbardziej.

Zielny był u przodownik Anińskiej z obyczajówki. Maglowali wspólnie jedną z prostytutek ze Żmigrodu. Tajniak zmieniał twarz jak kameleon – dopiero co kiwał głową ze zrozumieniem, że ciężko w dzisiejszych czasach zarobić parę groszy, to groził odebraniem książeczki sanitarno-obyczajowej. Słysząc było go aż na korytarzu.

Maciejewski zatrzymał się na chwilę przed drzwiami. Nie chciał przerywać, zwłaszcza że przesłuchanie wchodziło w decydującą fazę.

– Ja nic nie wiem, panie władza – powtarzała prostytutka. – Ja nic...

– A wiesz, ile lat dostaniesz za pomocnictwo w zbrodni?! – ryknął Zielny.

– A żesz ty, kurwo głupia! – poparła go tubalnym głosem przodownik Anińska. – To my cię chcemy puścić do domu, a ty się sama pchasz na dołek...

– Jak wyjdiesz z kryminału, może wezmą cię gdzieś za praczkę – słodkim tonem prorokował tajniak. – Bo kroju i szycia to pewnie nie potrafisz.

Zyga nie musiał długo czekać. Nacisnął klamkę, słysząc, że dziewczyna zaczyna sobie przypominać, o której godzinie wyszedł od niej cenzor.

– Dzień dobry, pani przodownik. – Maciejewski skinął głową policjantce.

Tęga Anińska, podrywając się z krzesła, omal nie przewróciła biurka. Zyga znał kilka takich kobiet o męskich gabarytach i usposobieniu – niezających się na słownych niuansach, walących kawę na ławę. W większości z powodzeniem prowadziły knajpy, jak choćby jedna z siostr – właścicielka restauracji na Kościuszki, obok redakcji „Expressu” i „Głosu”. Co spokojniejsi goście zwali ten lokal „Pod Trzynastoma Cyckami”, ale ci, którzy mieli nieprzyjemność być z niego wyrzucani siłą, mówili raczej „Pod Piąchą Krychy”.

Widząc cień nadziei w oczach prostytutki, podkomisarz zrozumiał, że wkroczył odrobinę za wcześnie. Ale Zielny błyskawicznie odnalazł się w sytuacji.

– Przepraszam, panie komisarzu, wiem, że karetka aresztancka z Zamku już musi jechać.

– Zerknął na zegarek. – Trudno, niech pani przodownik pisze kwit i pakujemy tę zdzirę!

Dziwka jakby zwiędła. Niby miała mgliste pojęcie, że to nie tak szast-prast wprost z komisariatu wpakować kogoś do aresztu kryminalnego. Niby wiedziała, że jest cztery-osiem, obowiązek meldowania i różne mniejsze gliniarskie upierdliwości, ale teraz poznała tych dwóch. Alfons i bandzior, tajniaki, które przyszły na Żmigród zaraz po znalezieniu trupa. Może coś wiedzieli?

– No, nie tak, żebyśmy nic nie pamiętała... – zaczęła, zaciskając palce na swojej wytartej

torebce. – No był chyba u mnie... Tak, ten, co na zdjęciu. Ale panie władza – spojrzała powłóczyście na Zielnego – pana tobym pamiętała, a tamten taki jakiś... nijaki. Przyszedł, spuścił się i tyle.

– Więc wszystko od początku! – Anińska umoczyła pióro w kałamarzu. – Mówił ci coś?

Maciejewski kiwnął na tajniaka, wyszli. Na korytarzu Zyga poklepał Zielnego po ramieniu.

– Marnujesz się w policji. Jest cynk od Fałniewicza – przystąpił do rzeczy. – Jedziemy na Dwójkę. A sądzisz, że ta dziwka coś wie?

– Eee, one wszystkie nic nie wiedzą, panie kierowniku – machnął ręką tajniak. – Klient jak klient. Na mój nos nie miały z tym nic wspólnego. Ale Natałka przycisnie, to może coś wycisnie.

Podkomisarz uśmiechnął się pod nosem. Przodownik Anińska nie wyglądała na kogoś, kto w ogóle ma imię. A zwłaszcza nie Natałka! Podczas nalotów na nielegalne burdele nie bała się wchodzić do żadnej nory. Podobno w czasie jednej takiej akcji sama obezwładniła faceta, który ruszył na nią z nożem.

– Jest coś jeszcze... – zaczął Zyga, kiedy wyszli na mały dziedziniec przed frontowymi drzwiami.

Oślonięty od tyłu głównym budynkiem komisariatu, a z boków jego skrzydłami, z trawnikiem i klombem, byłby całkiem miłym zakątkiem, aby tu usiąść i poczytać gazetę. Byłby, gdyby nie to, że w tym miejscu nawet farba drukarska pachniała kryminałem. I człowiek otwierał „Głos”, szukając recenzji kinowych, a niechcący trafiał na choćby takie rewelacje: „...Żydzi są rozsadanikami zepsucia. Handel żywym towarem, utrzymywanie tajnych lupanarów i stręczycielstwo nierządu itp. bołączki uprawiane są w ogromnym stopniu przez Żydów. A przy tern i przede wszystkim owe praktyki stanowiące specjalność Żydów znacznie deprawują otoczenie, w którym mają miejsce...”.

– Tak na marginesie: widziałeś kiedyś Żyda w burdelu? – spytał Zyga, którego myśli podążyły za nieoczekiwanym skojarzeniem. Może już miał haka, którego szukał..

– Burdel jest jak raj na ziemi, panie kierowniku. Polak i Żyd, komunista i narodowiec, czasem zdarzy się ksiądz... A chodzi panu o kogoś konkretnego?

Przeszli przez ulicę i skręcili w prawo w stronę Placu Litewskiego.

– A takiego na przykład... prezesa Goldera?

– Prezesa Lipowskiego? Nie da rady, panie kierowniku. Żona, dzieci, dom, dobroczynność i ruch na świeżym powietrzu... W dodatku ochrzczony, można więc powiedzieć: Polak-katolik. A ten cynk? – przypomniał tajniak.

– Po kolei. Najpierw jutrzejszy wieczór i nie mów mi nawet, że się umówiłeś z jakąś panną do kina. Idziemy do „Europy”.

– Czy to może pana imieniny? – zarechotał Zielny.

– Nie licz na libację. Skromny poczęstunek na koszt firmy. Będziesz obserwował

profesora Achajczyka i mecenasa Lennerta.

– To zdaje się... pański przyjaciel? – Zdziwiony tajniak odchylił nieco kapelusz i zaraz na wszelki wypadek poprawił fryzurę.

– Policjant nie ma przyjaciół... – zaczął Zyga, a w myślach dokończył: „...tylko znajomych i podejrzanych”. – Chcę wiedzieć, o czym będą mówili. Ty jesteś ładny chłopak, więc posiedzisz na sali. Fałniewicza poślę do hallu, a sam poczekam na piętrze. No! – ucieszył się, dostrzegając na postoju taksówkę. – Jest i pan Florczak! Wreszcie coś idzie jak trzeba. On też może się nam przydać.

* * *

Florczak rzadko kiedy utrzymywał dozwoloną czterdziestkę na godzinę, ale podczas szybkiej jazdy na Foksal – jak jeszcze wielu lublinian nazywało ulicę 1 Maja – zdążyli się umówić z Maciejewskim na następny wieczór. Taksówkarz miał czekać na rogu Krakowskiego i Kościuszki, żeby nie rzucać się w oczy klientom restauracji i gościom hotelowym.

– Rozliczymy się jak zwykle, tak, panie Florczak? – spytał Zyga, wysiadając.

– A czy ja się skarżę, panie komisarzu? – Szofer zwolnił hamulec i odjechał w kierunku dworca.

Dwaj śledczy weszli do komisariatu. Przy biurku za balustradą siedział młody posterunkowy i spisywał coś piórem z potwornie skrzypiącą stalówką. Przed nim kołysała się jak Żyd w bożnicy tłusta kobieta pod pięćdziesiątkę i powtarzała w kółko:

– Matko Boska, Matko Boska...

Mundurowy podniósł wzrok na wchodzących, pobieżnie otaksował ich wzrokiem, po czym wskazał ławkę pod oknem.

– Tam zaczekać. Zara skończę.

Zyga uznał, że komendant Sobociński miał jednak trochę racji co do jego wyglądu. Westchnął i wyciągnął z kieszeni swoją policyjną blachę.

– Ale my jesteśmy umówieni – mruknął z przekąsem.

– Przepraszam. – Posterunkowy odłożył pióro. Baba spojrzała zdziwiona na stojącego obok niej mężczyznę z kanciastą, nieogoloną gębą i złamanym nosem. Bezgłośnie powtórzywszy raz jeszcze: „Matko Boska”, zamilkła.

Policjant otworzył bramkę i wskazał przybyłym drzwi. Ciasny korytarz prowadził do kolejnych, które zastawiał wysoki, postawny mundurowy. Zyga podszedł do niego, nie chowając swojej blachy.

– Pan komisarz Maciejewski? – upewnił się policjant.

– A nie wyglądam? – burknął Zyga.

W niewielkim gabinecie rozparty na krześle siedział za biurkiem mundurowy z naszywkami aspiranta, kierownik komisariatu Szewczyk. Na środku pokoju Fałniewicz

podnosił właśnie przewrócone krzesło. Obok gramolił się na czworaki chłopak w kraciastej marynarce i nadprutym swetrze w jodełkę. Jego rozchełstana apaszka zamiatała pomalowane na brązowo deski podłogi.

– Co mu jest? – zapytał Maciejewski.

– Nic, panie kierowniku – wzruszył ramionami Fałniewicz. – Bardzo nieszczęśliwie potknął się i...

– Łamaga! – mruknął z dezaprobatą Zyga, przydeptując apaszkę wstającego chłopaka. Grandziarz znów prawie zarył nosem w podłogę. – I cóż tam wykapował?

– Niestety jeszcze nic – skrzywił się tajniak. – Ale godzina młoda...

Bandyta podniósł wzrok znad zniszczonego buta podkomisarza. Zobaczył osiłka z nieświeżą gębą i przetrąconym nosem. Już pomyślał, że ten to ostro się za niego zabierze, ale glina zaraz stracił nim zainteresowanie. Podał rękę aspirantowi i przysiadł na podsunętym mu krześle. Zapalił.

– Znaleźliśmy przy nim to. – Szewczyk nadział na ołówek sprzączkę paska złotego zegarka. – „Na dziesiątą rocznicę ślubu – Kochająca Helena” – przeczytał wygrawerowany napis. – Żonaty jesteś? – zagadnął chłopaka, którego Fałniewicz posadził właśnie na rozchybotanym stołku. – I to dziesięć lat?! Nawet Cygan nie żeni się tak wcześnie!

– Nazywa się jakoś? – spytał Zyga.

– Ignacy Kisło *alias* Mały, lat szesnaście, trzy klasy szkoły powszechnej, bezrobotny.

– Bezrobotny – powtórzył podkomisarz. – A zegarek z zasiłku?

– Nie mój kosior – stęknął niechętnie Mały. – Znalazłem, szłem oddać...

– I przed dzielnicowym uciekał, żeby mu go nie ukradł. – Fałniewicz poprawił płaszcz, niby przypadkiem trafiając chłopaka łokciem w ucho.

– Szłes oddać – ni to stwierdził, ni zapytał Maciejewski. – To tera ciekaw jesteś, kto go zgubił, co? Masz pecha, bo pewien gość, który dostał kosę w nerę. A gdzie znalazłeś? Na dzielnicy?

Kisło pokiwał kilka razy głową.

– To też niezwykle ciekawe, bo faceta zabili zupełnie gdzie indziej. Miał coś jeszcze? – zwrócił się do aspiranta.

Szewczyk wskazał leżące na biurku dwa banknoty po dziesięć złotych, trochę drobnych i nóż sprężynowy. Zyga skinął na aspiranta i razem odeszli pod okno. Przez okratowaną szybę widać było brudne podwórko z chuderlawym drzewkiem i przepełnionym pojemnikiem na śmieci.

– Na pańskie oko on? – zapytał podkomisarz.

– Nie, kolesie – stwierdził stanowczo Szewczyk. – Ale on dobrze wie kto. Dzielnica zawsze wie wszystko. Jak było włamanie do Monopolu Tytoniowego, kilka tygodni cały Kośminek palił egipskie przednie zamiast machorkowych. „Znalazłem”, „w sklepie się pomylili”... to ich śpiewka. Człowiek...

Aspirant chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu dzwonek telefonu.

– Do pana. – Podał słuchawkę Maciejewskiemu.

– Tak? – spytał Zyga.

– Serwus, Zyga, dwie sprawy – usłyszał głos Krafta. – Posłałem Grzewicza do lombardów i potwierdziło się. Jeżyk zastawił zegarek na Karmelickiej w środę, odebrał w poniedziałek. Lichwiarz zwrócił uwagę na jego portfel, forsa ledwie się w nim mieściła.

– No, no, wyrabia się – zauważył Maciejewski.

– Grzewicz? A tak. Poza tym wrócił Wilczek. Sprawdził ci tego świadka... – Gienek zaszeleścił papierami – Adama Gajca. Wypytywał o związki z Binderem i z Jeżykiem, ale na razie nic konkretnego. Chcesz szczegóły?

– Jak nic konkretnego, to nie. Coś jeszcze? Bo jestem zajęty.

– Nie, do jutra.

Maciejewski odłożył słuchawkę i znów przyjrzał się zatrzymanemu. Fałniewicz i Zielny przechadzali się za jego krzesłem, tak żeby bez obracania głowy naraz widział tylko jednego. Łobuzerskie spojrzenie chłopaka kontrastowało z jego po dziecinnemu pucołowatymi policzkami. Zyga dostrzegł, że z coraz większym trudem udaje dorosłego bandytę. Jedno celne zagranie i pęknie.

Podkomisarz obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– Możesz dalej strugać kretyna – powiedział. – Zaraz nam się znudzi i razem z jakimś mundurowym odwieziemy cię na dzielnicę. I podamy rączkę na do widzenia. Nie jesteś zbyt wymowny, więc trochę potrwa, zanim przekonasz kumpli, że nikogo nie wsypałeś.

– Na kolanach wrócisz na komisariat, jakby to była jakaś Jasna Góra – dodał aspirant. – Jeśli dasz radę...

Mały na początek bąknął, że zegarek wygrał w karty od kolegi sąsiada, a potem stopniowo wyciągnęli z niego, że jakiś wąsal nadał ferajnie mokrą robotę na Żmigrodzie, że brał w niej udział Kusy, czyli Staszek Bigaj. Jednak o morderstwie Bindera na Krakowskim Przedmieściu grandziarz nie miał pojęcia, reszta Kośminka też nie – tyle co z plotek. Mały sypał na całego – gadał o włamaniach do magazynów na boczniczy kolejowej, o pobiciach i kradzieżach, ale nie były to sprawy, które by Zyge obchodziły. Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie już naprawdę nic nie wiedział.

– No to na dołek szczeniaka! – Maciejewski wstał i podał rękę Szewczykowi. Ruszył do drzwi.

– Aha, bym zapomniał! – Zielny odwrócił się nagle do Małego. – Masz prawo złożyć skargę, jeśli ci nie pasował przebieg przesłuchania.

– A niby... na kogo? – zapytał ogłupiały grandziarz. Tajniak nachylił mu się do ucha i wskazał palcem Maciejewskiego.

– To don Juan Pedro de Gonzaga – oznajmił scenicznym szeptem – handlarz żywym towarem.

Wychodząc z gabinetu kierownika komisariatu, Zyga ledwo zdusił w sobie śmiech. Zielny naprawdę marnował się w policji.

* * *

Swierżawin podniósł wzrok znad strony kieszonkowego notesu pokrytego pospiesznym pismem pełnym zrozumiałych tylko dla niego skrótów. Na podłodze leżał rozłożony plan Lublina, na którym zostały naniesione atramentem uaktualnienia i dziesiątki liczb oraz dziwnych symboli.

Pukanie powtórzyło się.

– Pomyłka, ja nie zamawiałem nic do numeru! – zawołał Swierżawin, sięgając pod poduszkę, gdzie trzymał pistolet.

– To swój! – usłyszał z korytarza znajomy głos. Podeszedł do drzwi, uchylił je, potem niechętnie otworzył na całą szerokość.

– Nie byliśmy umówieni.

– Nie byliśmy umówieni?! – parsknął niezapowiedziany gość w jasnym płaszczu, pakując się do środka. Starannie zamknął za sobą drzwi. – Przychodzi krach giełdowy do prezydenta Hoovera, a prezydent mu na to: „Nie byliśmy umówieni”! Powstały nieprzewidziane okoliczności, panie Swierżawin.

Przybyły rozejrzał się po pokoju, przekroczył plan miasta, podniósł z krzesła mapę drogową i usiadł. Wyciągnął papierośnicę, zapalił, po czym zamarł na chwilę z zapałką w palcach, szukając wzrokiem popielniczki.

– Tam. – Swierżawin wskazał niewielkie mosiężne naczynie w kształcie starożytnego trójnogu. – Znow będzie mnie pan kusił większymi pieniędzmi kosztem większego ryzyka?

– A niby po co pan tu jest?! – warknął mężczyzna w jasnym płaszczu.

– Nie tym tonem! – Swierżawin zacisnął pięści.

– Pan wyraźnie zapomina, że tylko dzięki moim przyjaciołom nie siedzi pan na Montelupich. I że pańskie... honorarium zależy od powodzenia całości przedsięwzięcia. A jest ktoś, kto może je utrudnić.

– Dziennikarz?

– Nie, tym razem był przeciek z policji. Słuchaj pan! Jest pewien człowiek, który jeszcze dzisiejszej nocy zamierza się powiesić. Jednak trzeba mu trochę pomóc...

* * *

Maniek zapalił szluga na winkle Żelaznej i Krętej. Ledwie z kilku okien robotniczych kamienic lampy kopsały nieco żaru, reszta mieszkańców albo oszczędzała na nafcie, albo już spała, coby następnego dnia nie spóźnić się do roboty. Matka Mańka też nieraz darła gębę, żeby poszedł gdzie na kolej czy do cegielni, inaczej jak bandyci go nie zabiją, to sam skończy w kryminale. Ale on miał robotę – lekką, dobrze płatną i... przygodową. Do tego nie musiał

się martwić, że zaśni, bo nigdy nie trza było wstawać wcześniej niż koło południa.

Niespiesznie ruszył w głąb Krętej. Zaraz ogarnął go mrok, ale pośród okolicznych składów i parkanów poruszał się na pamięć. Żałował, że tylko wśród tutejszych. Gdy kilka dni wcześniej Kusy pokazał im to przejście na Żmigrodzie („Tu kirasz w bramę, przez podwórek, w piwnicę, po schodach w dół, dwa razy w lewo, na górę i lądujesz, kurwa, na Zamojskiej”), Mańka aż zatkało, że Bigaj jest tak oblatany nawet w śródmieściu.

Teraz chłopak minął magazyn, przy którym szarpnął się na łańcuchu stary kundel. Stróż zaraz dokuśtykał, uciszył psa laską i wpędził do budy.

– Dobry wieczór, panie Nowik – ukłonił się Maniek.

Inwalida zaburczał coś pod nosem, podnosząc rękę do znoszonej maciejówki.

Grandziarz doszedł do niskiej, zapadniętej prawie do okien kamieniczki, która po powodzi sprzed kilku lat wciąż jeszcze lekko cuchnęła stęchlizną. Brama do sieni jak zawsze była uchylona. Nikt jednak przed nią nie stał. Dopiero zajrzawszy do środka, chłopak dostrzegł ognik papierosa.

– Co, Graba, mrozu się boisz? – spytał Maniek, kiedy żar kolejnego macha oświetlił twarz siedzącego na schodach krępego oprycha ze szramą na policzku.

– A co? Śnieg padał, nie chcę gruźlicy złapać.

Podali sobie ręce.

– Prawie wszyscy już są – dodał Graba.

– A ty co na schodach? Ciec jesteś? – zakpił Maniek.

– Ciec nie ciec. – Krępy wzruszył ramionami. – Kusy Celkę maca, a mnie kurwica bierze.

Maniek poważnie kiwnął głową. Każdego nieraz szlag trafiał, że Bigaj brał sobie, co chciał. Tyle że tak było zawsze i szło przywyknąć. Zwłaszcza że koleśiom uczciwie odpalał dołę, a jak miał fantazję, to i co dorzucił. Jednak miłość jest miłość! Niby racją, że Celka i Graba pożarli się już przeszło miesiąc wcześniej, ale jak ci ktoś obrabia twoją byłą, zawsze cię kurwica bierze.

Przez wąską kuchnię zastawioną butelkami weszli do większej izby, w której stały dwa łóżka, stół, szafa, parę krzeseł i taboretów – każdy z innej parafii. Bigaj siedział na wyrku i drapał się chwilę po włochatej piersi. Potem klepnął Celkę w tyłek i zarechotał:

– No, dobranoc panience!

Zabrała palto i wyszła, unikając wzroku Graby. Maniek zauważył, że dziewczyna ma nową sukienkę w modną kontrafałdę. I pończochy... chyba jedwabne, jak lepsza kurwa.

– A gdzie Mały? – Kusy sięgnął po papierosa.

– Cholera go wie. Zapił gdzieś albo co – wzruszył ramionami Maniek. – Nie widziałem go dzisiaj. Co to za nowa robota? – spytał, siląc się na obojętny ton.

– Amerykańska. – Bigaj puścił oko do koleżków. Wskazał litrową flaszkę na stole. – Niech który rozleje. A Mały – charknął na podłogę – i tak zdatny kury macać.

Usiedli przy stole w sześciu: Kusy, Maniek, Graba, dwaj bracia Borkowie i Zdun.

– Rano żeśmy se pogwarzyli z Wąsalem... – zaczął Bigaj i w paru słowach opowiedział, na czym miała polegać jutrzejsza robota.

Maniek aż się zakrztusił wódką, kiedy usłyszał, że napadną na jakiegoś gościa z taksówki, która nadjedzie od strony nowej dzielnicy Dziesiąta, gdzie różni frajerzy z miasta stawiali sobie wille. Plan był, jak to u Wąsala, dobrze wykombinowany. Najpierw on minie ich bordowym autem (Maniek zaraz pomyślał: „Kurwa, jak wygląda bordowy kolor?!”, ale Kusy mówił to tak, jakby wiedział), dopiero potem zjawi się taksówka z klientem.

Na koniec Kusy sięgnął pod wyrko i wyciągnął starą walizę, a z niej owinięte w szmaty rewolwery.

– Spluwy?! – Zdun, który już od dłuższej chwili kręcił się niespokojnie na koślawym taborecie, omal nie połknął szluga. Stołek zaskrzypiał, jakby się miał rozlecieć. – Kurwa, Kusy, nie mój fach! Ja uczciwy złodziej jestem.

– A kto przedwczoraj chodził ze mną na mokrą robotę? – przypomniał mu Bigaj.

– Chodził, nie chodził, nie ja żem go dziabnął! – poderwał się Zdun, po czym dodał spokojniej: – Postraszyć frajera można kosą, nawet armatą, ale nie żeby... Ale, kurwa, Kusy, to jakiś niezły cwaniak. On nas umoczy.

– Za darmochę nie robisz – mruknął Maniek.

– A on sam co? Taki mocny i mojra złapał?!

Zamknęli się, kiedy Bigaj odstawił szklanke i też wstał.

– Nie podoba ci się, to spierdalaj! – warknął. – I módl się, koleżko, bo jakby co, będę wiedział, kto nas mendom sprzedał! Żebyś nie żałował... – Zakręcił bębenkiem rewolweru i odciągnął kciukiem kurek.

– No co ty, Kusy? Ja tak tylko... – Zdun usiadł i wypił. Jednak nie pamiętał, kiedy ostatnio wódka mu aż tak nie smakowała.

– Dobra. – Bigaj otarł usta. – Tera kończcie chłanie. A Wąsal mojra nie złapał, dziś sam idzie na mokrą. My mamy zrobić mu tłok.

– Nic żeś wcześniej nie gadał... – mruknął zdziwiony Graba.

– A bo i jest po co mleć ozorem? Wąsal mówił, że jeden frajer powiesi się dziś w nocy – zarechotał Kusy. – Mus tylko mu z deka pomóc...

Rozdział 5

13 listopada 1930 r., czwartek

Nawet boks nie sprawiał Maciejewskiemu przyjemności. Zwłaszcza taki boks! Rozumiał jednak, że ze skaleczoną ręką Lennertowi trudno lepiej walczyć. Gdy ten skrzywił się kilka razy, trafiając prawą rękawicą w gardę Zygi, podkomisarz przestał blokować i zbijać ciosy, robił tylko uniki. Żebyż to był choć pojedynek techniczny, ale nie jakaś szkółka pięściarska dla młodzieży gimnazjalnej! Dobrze, że trener Szymański poszedł na zaplecze sali i tego nie widział.

A podkomisarz miał wielką chęć komuś na serio przywalić!

– I co? Dotarło coś do ciebie po naszej rozmowie? – spytał naraz Lennert. Zmienił rytm, wszedł w dystans i zaatakował lewym sierpem. – Mówię ci, przyhamuj, bo za parę lat nie będzie z ciebie co zbierać. A tu kryzys idzie... Uch! – znów się cofnął. – Ostatni dzwonek, żeby złapać parę złotych. Za rok nawet glinom mogą poobcinać dodatki. Wiem, co mówię.

Zyga zacisnął zęby i wszedł w zwarcie. Poruszając tułowiem, walił raz za razem po żebrach. Czuł bijące z Lennerta gorąco, pot i wodę kolońską. Był wściekły jak drapieznik, któremu dano powąchać krwi.

Trwało to tylko chwilę. Zaraz mecenas doprowadził do klinchu i musieli się rozdzielić. Skrzywiony prawnik potrząsnął parę razy prawą pięścią.

– Co ty taki narwany dziś jesteś? – warknął.

Maciejewski miał chęć zapytać z kolei, dlaczego przyjaciel nic mu nie wspomniał o Achajczyku. Choć z drugiej strony – czy musiał? Skoro brał udział w finansowaniu prac na Zamku, to oczywiście, że łączyły go jakieś sprawy z profesorem. I nie jest Duchem Świętym, by wiedzieć, że Zyga interesuje się Achajczykiem!

– Przepraszam – mruknął Zyga.

– Co przepraszasz?! – krzyknął Lennert. – Boksuj, jeszcze nie pora na herbatkę!

Teraz już Maciejewski pilnował się, żeby oddzielić walkę od własnych myśli. A łączyły mu po głowie jak białe robaki podtuczone przed wędkowaniem! Cały ten tydzień, to śledztwo... niech to szlag! Nawet do Róży nie zadzwonił... Wszystko przestało się układać, gdy trafił na

Goldera.

„Bardzo to polskie – zreflektował się – zwalić wszystko na Żyda. Cholera, z każdym innym byłbym ostrożniejszy, a do niego poszedłem całkiem jak idiota. Czego się spodziewałem? *Aj, waj, zlituj się pan, panie władza?!*”

Krótkimi ciosami badał obronę Lennerta. W końcu ten dał się zmylić i opuścił gardę. Zyga natarł. Prawnik mógł zbić uderzenie, ale wolał się cofnąć o krok. Wyraźnie oszczędzał rękę.

– Stasiek, a ty znasz dobrze tego... – zaczął Zyga, ale nie zdążył dodać „Achajczyka”, bo nagle dostał prawą fangą w żebra.

– Szlag! – Lennert odskoczył i przez chwilę strząsał ból ze zranionej dłoni. – Może dokończymy następnym razem? Co powiesz na sobotę?

– Pewnie! Niech będzie sobota – mruknął Maciejewski.

* * *

Kiedy tylko podkomisarz – spóźniony ledwie pięć minut – wszedł do gabinetu, czekał już tam na niego Wilczek.

– Co tak wcześnie na odprawę? – zapytał Zyga.

Tajniak spojrział niepewnie na Krafta, potem znów na Maciejewskiego.

– No mów, co tam. Gajec przyuważył, że za nim chodzisz?

– Gorzej, panie kierowniku – westchnął Wilczek. – Ten Gajec się powiesił. Sam pan kazał, żeby dyskretnie, dlatego wczoraj tak naprawdę nie ustaliłem nic, prócz adresu i kilku znajomych. Zresztą nie było tego dużo, odludek. Dzisiaj miałem do tego wrócić, tylko że rano nie zjawił się w pracy i...

– Skąd wiesz?

– Był meldunek z Dwójki. Powiedzieli mi, jak przyszedłem na służbę.

– Kto tam pojechał?

Kraft zajrzał do papierów, które odebrał przy wejściu od dyżurnego przodownika. Jeszcze nie zdążył ich przerzucić.

– Nie zgadłbyś! – Pokręcił głową. – Tomaszczyk. Dwie godziny temu.

Maciejewski usiadł. To mu zupełnie nie pasowało – Tomaszczyk choćby z czystej złośliwości raczej poleciłby wyciągnąć Zygę z łóżka, niż samemu wziąć się za typowo kryminalną, rutynową robotę. A jeśli nawet nie Zygę, to któregoś z jego wywiadowców.

– Dlaczego on? – zapytał Krafta Maciejewski.

– Miał dyżur domowy – powiedział zastępca. – Zgodnie z grafiką. Do dyspozycji od szóstej rano był też Grzewicz. Fakt, mógł go kazać posłać, ale pojechał sam.

– Ano właśnie... – zastanowił się Zyga. – Z Grzewicza żaden Sherlock Holmes, ale Tomaszczyk jeszcze tego nie wie. No i wcale nie trzeba rozumu, żeby spisać prosty raport.

– Może komisarz Tomaszczyk lubi samobójców – zażartował Wilczek, drapiąc się po

swoim ospowatym nosie.

„Lubi samobójców” – powtórzył w myślach Maciejewski i nagle walnął pięścią w stół. Niebywale, musiał chyba zarobić w głowę od Lennerta, że dopiero ta uwaga Wilczka pomogła mu zobaczyć sens nowej układanki! A była przecież bardzo prosta! Tomaszczyk zgarnia Zakrzewskiego, Zakrzewski sypie, co widział Gajec. Słyszając to, Tomaszczyk pewnie poci się cały, bo wie o kimś, kto będzie bardzo niezadowolony z nieoczekiwanego świadka. Łapie za telefon i kilka godzin później Gajec ginie.

– Kto jeszcze wiedział, że go obserwujesz? – zwrócił się do Wilczka podkomisarz. Tymczasem w głowie jak trybiki jakiegoś mechanizmu przeskakiwały mu fakty i nazwiska: Binder, Achajczyk, Jeżyk, Golder, teraz Tomaszczyk... Tu maszyna się zatrzymała, w jej trybach wyraźnie brakowało paru zębów. Klozetowa pornografia z „Wykwintnej” nie wyjaśniała, kogo uprzedził śledczy polityczny. Achajczyka, Goldera?! Tomaszczyk najbardziej by pasował Maciejewskiemu do Jeżyka – to bez wątpienia byli ludzie z podobnej gliny, no ale z cenzorem nie dało się już pogadać inaczej, niż urządzając seans spirytystyczny.

– Kto wiedział?... – zastanowił się tajniak. – No pan, komisarz Kraft, ja... Więcej nikt, chyba nikt.

– Nikt?! – warknął Zyga. – Już ja przycisnę tego komunistę! – Złapał z wieszaka płaszcz i kapelusz.

– Ale o co chodzi? – zdążył tylko spytać zastępca.

– Jeszcze nie wiem. Będę za godzinę!

* * *

– Serwus, Józek. – Maciejewski rozpiął swoje okrycie i zsunął kapelusz na tył głowy. Drzwi celi zamknęły się za jego plecami.

Zakrzewski siedział na stolku przy starym stole, który zapewne służył więźniom jeszcze za cara. Pisał coś kopiaowym ołówkiem na arkuszu papieru kancelaryjnego.

– Serwus – kiwnął głową. – Miałeś dość zdziwioną minę, gdyśmy się minęli w komisariacie.

– Skrzydło wprawdzie północne, za to osobna cela... – Podkomisarz rozglądał się po ścianach jak gość oceniający dopiero co wynajęty pokój w hotelu. Wyrzał przez kraty. – O, z widokiem na synagogę! Dali ci nawet papier i ołówek. Sam widzisz, jacy jesteśmy humanitarni. W Sowietach jako polityczny już byś zbierał zęby z podłogi.

– Burżuazyjna propaganda! – warknął poeta. – Poczytaj sobie lepiej relacje George’a Bernarda Shawa.

– Stara rosyjska szkoła – skrzywił się Zyga. – Pokazali mu, co sami chcieli. Słyszałeś pewnie o wsiach potiomkinowskich? Ale ja nie na pogaduszki... – Podeszedł do stołu. – Co tam smarujesz?

– Nie chciałem gadać z Tomaszczykiem, więc kazał mi samemu spisać zeznanie. No to

mu podaruję moje manifesty poetyckie.

– Pokaż.

Wśród skreśleń, nabazgranych szybką kreską nagich kobiet i istic dadaistycznych mazajów Maciejewski odczytał kilka gotowych strof:

*jesteś pan dobrym polakiem
żona troje dzieci urząd
jakiż dla ciebie dalekie
me słowa ta cisza przed burzą*

*lecz kiedy z sercem ściśniętym
zadrżysz pod lufą browninga
zrozumiesz o czym skamlały
moje wierszydła.*

I dalej, napisane w rogu kartki, zapewne na użytek innego wiersza:

*z piasków z kośminka z bronowic
zobaczysz ruszymy razem
policja cię nie obroni
drżyj burżuazjo!*

– Do Pen Clubu to cię nigdy nie przyjmą – mruknął Zyga.

– A ty się tam dużo znasz! – machnął ręką Zakrzewski.

– „Browninga-wierszydła”? Albo ta „policja cię nie obroni”?! Nisko upadłeś, Józiu. Komuna mózg ci wyssała.

– Recenzować przyszedłeś? – spytał urażony poeta. Rzucił papiery i przeniósł się na pryczę.

– Dwie sprawy. – Podkomisarz przysiadł obok Zakrzewskiego. – Po pierwsze, przepraszam, że nie dałem rady cię stąd wyciągnąć. Ale jakim sposobem Tomaszczyk zdołał cię capnąć?

– Moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina – wałnął się w piersi aresztant. – Jak w warszawskim szlagierze o Felku Zdankiewiczu. – I zanucił, nieco przekręcając słowa:

*Położ się, Józiu, boś ty jest pijany,
Położ się Józiu, boś ty niewyspany.
Kładzie się Józek do snu kamiennego,
A kochanka jego do biura śledczego.*

Bajrum, tarira bajrum...

– Coś ci nazbyt wesoło, jak na areszt! – przerwał ostro Zyga.

Zakrzewski umilkł i patrzył przez chwilę wilkiem na podkomisarza, w końcu zapytał:

– O co ci chodzi? Kobieta na mnie nakapowała, nie twoja wina. A jeśli masz jakiś interes, to mowy nie ma. Jesteśmy kwita.

– Nie całkiem!

Maciejewski nagłym skokiem powalił poetę na pryczę i przycisnął go do ściany. Zakrzewski próbował bić na oślep, ale z twarzą wciśniętą w zakurzony koc nie mógł się ruszyć, tracił oddech.

– Ciekawi mnie twoje jakże celne skojarzenie, Józiu – ciągnął powoli wrednym tonem podkomisarz. – Nakapowała i szczęśliwa. A co ty nakapowałeś, że ci się tak gęba śmieje, co?!

– Ku...wa, Zy...a... – dyszał aresztant – co ty?

– Ja pytam: „Co ty?”! Co ty, królu złoty, nakapowałeś Tomaszczykowi? Wynosić się w cholere, przesłuchuję osadzonego! – wrzasnął, słysząc, że klawisz gmera przy drzwiach.

– Tak jest, panie komisarzu! – Pokrywa judasza spadła z cichym zgrzytem.

– Nic...sięgam – wydusił Zakrzewski.

– Nic? Jak sportsmen sportsmenowi?

– ...ak, ku...wa, udusi...

Maciejewski rozluźnił nieco uchwyt.

– Gajec nie żyje – powiedział. – Załatwili go dzień po naszym spotkaniu. Jeśli to ty chlapnąłeś o nim Tomaszczykowi...

– Zyga, weź się w łeb puknij! Najlepiej pałką... Ja bym sypnął Tomaszczykowi?! – Poeta był nie tylko wściekły, ale i autentycznie urażony.

– Dobra. – Podkomisarz puścił go i wstał. – A jesteś pewien, że nie wypsnęło ci się jego nazwisko, cokolwiek? Przypadkiem.

– Jestem doświadczony konspirator, wiesz przecież – powiedział z nutką dumy Zakrzewski.

Maciejewski pominął milczeniem, co sądzi o umiejętnościach konspiracyjnych lubelskich komunistów. Zbyt wiele słyszał od ojca i stryja o starym PPS-ie, aby zapewnienia redaktora „naszego sztandaru” mogły wyrzucić na nim wrażenie. No i wziął udział w jego zabawie w spiskowca na Krawieckiej.

– Może tak cię przemaglował, że całkiem zdurniałeś? – upewniał się Zyga.

– Sam żeś zdurniał! – zaperzył się aresztant. – Choć mnie przesłuchiwał kilka godzin, cały czas powtarzałem to samo. Sam słyszałeś. On: „Jak się nazywasz?”, a ja: „Dzierżyński”. I w tę mańkę, aż mu się znudziło. Wiem lepiej od ciebie, że albo ma się obmyślony kit i w niego się leci, albo cały czas w zaparte. A żeby o Gajcu? W życiu! Wtedy musiałbym się wyśpiewać, że byłeś ze mną, bo i tak by doszli.

– Lepiej nawet o tym nie myśl, Józiu. Niech cię Matka Boska broni! – poradził słodkim głosem Zyga. – Więc konkludując naukowo, nie ty?

– Nie ja. Pod hajrem.

Podkomisarz uśmiechnął się lekko. W ustach Zakrzewskiego ta knajacka przysięga brzmiała prawdziwiej, niż gdyby ją wypowiedział Zielny. Mimo że to poeta, a nie ulizany tajniak, studiował na lubelskim uniwersytecie i przez jakiś czas obracał się w wysnobowanych kręgach artystycznych, miał pod skórą, w bebechach, autentycznego łobuza. I jeśli zarzekał się, że „pod hajrem”, musiała to być szczerza prawda.

– Szlag! – warknął Maciejewski. „Więc wyciekło od nas” – dodał w myślach.

– Ale co ty, Zyga? – Poeta był tak zdziwiony, że na chwilę zapomniał o wcześniejszej urazie. – No chyba nie Tomaszczyk załatwił naszego Gajca?

– A to już, Józiu, nie twój interes. Najlepiej całkiem zapomnij o spotkaniu z Gajcem. Nie, żeby mnie kryć, to przyjacielska rada. Dla twojego bezpieczeństwa. Ręka? Wyjdiesz z pudła, dam ci rewanż na ringu.

– Ręka. – Zakrzewski wyciągnął dłoń. – Gdybyś jednak mógł coś zrobić w mojej sprawie... Fakt, cela pierwszorzędna, ale strasznie tu nudno.

– Pojęcia nie mam co, ale pomyślę. Tyle że znowu będziesz miał dług – dodał i załomotał w drzwi. – Strażnik!

Na więziennym korytarzu rozbrzmiały kroki klawisza. Szczęknięta otwierana zasuw.

* * *

Jeszcze z Zamku Maciejewski telefonicznie polecił Kraftowi ściągnąć na komisariat Fałniewicza i Zielnego, mimo że zgodnie z grafiką służbę zaczynali dopiero w południe. Kiedy dotarli, zamknął od wewnątrz drzwi gabinetu.

– Coś się stało, panie kierowniku? – spytał zaniepokojony Fałniewicz.

– Tu się ciągle coś dzieje – burknął Zyga. – Tu nie kaplica, tylko Wydział Śledczy. Wilczek, przypomnij sobie cały wczorajszy dzień. Godzina po godzinie. Z kim gadałeś, kto cię widział? Wreszcie jakim sposobem podkomisarz Tomaszczyk dowiedział się, że obserwujemy Gajca?

Tajniak wyliczył kierownika biura w cukrowni, dozorcę, a posiłkując się zapiskami w notesie, odtworzył nawet całą drogę na Piaski i z powrotem.

– Z nikim nie rozmawiałem o tej sprawie, panie kierowniku, jak Boga Kocham! – walnął się w piersi. – Wróciłem, napisałem raport i zaraz go oddałem komisarzowi Kraftowi.

– Panie kierowniku, może z Fałniewiczem przyciśniemy Dudarza? – zaproponował Zielny.

– A może ja wystosuję oficjalne zapytanie do Tomaszczyka? – popukał się w czoło Zyga.
– Wy dwaj pojedziecie ze mną na miejsce. Wilczek, do ciężkiej cholery, przecież was o nic nie oskarżam, ale musieliście popełnić jakiś błąd, nieostrożność... Jak zwał, tak zwał. No

więc?

– Panie komisarzu... – wtrącił się niepewnym głosem Kraft, zerkając nerwowo na tajniaków. – Pamięta pan, jak wczoraj do pana telefonowałem? Na Dwójkę – przypomniał. – Wtedy na chwilę zajrzał Tomaszczyk. Mógł usłyszeć.

Maciejewski przypomniał sobie tamte słowa. Ledwie kilka zdań, jednak padły w nich aż trzy nazwiska: Gajec, Binder i Jeżyk. Jeśli ktoś wie, czego szukać, aż nadto informacji...

Zyga już miał na końcu języka soczystą wiązanę, ale powstrzymał się przed obsobaczaniem zastępcy przy podwładnych.

– Wilczek, jesteś wolny. Zielny i Fałniewicz, czekajcie tu na mnie. Pan, panie Kraft... Pan niech lepiej na razie do mnie nie dzwoni.

Wybiegł i pognął korytarzem do pokoju, w którym ulokował się Tomaszczyk. Ten siedział przy biurku i pracowicie zapełniał arkusz papieru kancelaryjnego równym kaligraficznym pismem. Maciejewski zawsze uważał, że ludzie, którzy zbyt ładnie piszą, są podejrzani. Teraz był tego pewien.

– Od kiedy to, Tomaszczyk, znasz się na robocie kryminalnej? – natarł na śledczego. – Dlaczego jedziesz na miejsce zbrodni, a ja dowiaduję się o tym po fakcie?

– Piszę właśnie raport... – zaczął ten, poprawiając nerwowo okulary.

– I bardzo dobrze, że piszesz, bo za pół godziny chcę go widzieć na biurku. Skoro masz za mało roboty ze swoimi politycznymi i mieszasz się do naszej, to znaczy, że jednak mi podlegasz. Nie tylko operacyjnie! – krzyknął Zyga.

– Ale o co ci chodzi? Wytelefonowali mnie, to pojechałem. I jakie miejsce zbrodni? Facet się powiesił.

– I ty to stwierdziłeś dzięki swym kancelaryjnym kompetencjom?! – warknął podkomisarz.

Dwaj tajniacy polityczni, którzy byli w sąsiednim pomieszczeniu, powoli wycofali się na korytarz. Tomaszczyk odchrząknął i zdecydowanym ruchem nałożył skuwkę na wieczne pióro.

– Nie ja, lekarz. Wszystko będzie w raporcie. – Na skroniach wywiadowcy pokazały się sine żyły, ale zaraz na jego twarz wypełził śliski uśmiech. – Im dłużej będziesz mi przeszkadzać, tym później skończę.

– Pół godziny! – powtórzył Zyga i trzasnął drzwiami, aż zatrzęsły się futryny.

* * *

Gajec mieszkał przy Włociańskiej, tuż obok cukrowni. Służbowa kamienica z zewnątrz przypominała pałac jakiegoś łódzkiego fabrykanta, ale pomniejszony, zgodnie zresztą ze skalą lubelskiego przemysłu. W środku budynek nie miał już w sobie nic z rezydencji opisanych przez Reymonta. Zyga, Fałniewicz i Zielny weszli po betonowych schodach na pierwsze piętro. Było tam czworo drzwi, te należące do denata od razu poznali po pieczęciach

Wydziału Śledczego. Podkomisarz wyjął z kieszeni scyzoryk i zaczął go otwierać, gdy z sąsiedniego mieszkania wyjrzała kobieta koło pięćdziesiątki.

– A panowie co? – zapytała opryskliwie.

Fałniewicz zajrzał do notesu.

– Pani Godrzycka? Jesteśmy z policji, Wydział Śledczy.

– Przecież był już i jeden śledczy, i przodownik z komisariatu...

– Podkomisarz Maciejewski. – Zyga uchylił kapelusza. – W toku śledztwa zrodziły się pewne wątpliwości. Pozwoli pani zadać sobie kilka pytań?

– A co mnie tam szkodzi! – Wzruszyła ramionami. – Sam komisarz... Tyle że pranie robię! – zastrzegła.

– O, to ja panią rozumiem – zagadał z filmowym uśmiechem Zielny. – U nas w domu, jak matka brała się za wielkie pranie, to wszyscy chodziliśmy na paluszkach, nawet ojciec. Dużo pracy, no i jakie zamieszanie. Możemy, pani Godrzycka?

Jak zahipnotyzowana zrobiła dwa kroki w tył, gestem zapraszając ich do środka. Zielny z nadzwyczajną determinacją wytarł buty, na co kobieta uśmiechnęła się już całkiem miło. Maciejewski i Fałniewicz wymienili spojrzenia i przez ciemną sień pachnącą mydlinami weszli do zagraconego pokoju. Ze wszystkich mebli zwisały pióropusze paproci. W klatce na oknie zaćwierkał kanarek.

– Mąż pani jest starszym kancelistą? – Fałniewicz znów zajrzał do notesu.

– Nie dba ta cukrownia o doświadczonych pracowników – westchnął natychmiast Zielny, nim gospodyni zdążyła przytaknąć. – Nie za małe przydzielono państwu mieszkanie?

– A mówiłam! Mówiłam mężowi to nieraz. Pan władza też od razu zauważył! – ucieszyła się Godrzycka. – Siadajcie, panowie, bardzo proszę. – Pospiesznie sprzątnęła z krzeseł firanki czekające na swoją kolej do prania.

– Uprzejmie dziękujemy – skłonił się szarmancko Maciejewski, jednak kobieta patrzyła tylko na Zielnego.

– Kiedyś mieliśmy większe, a pewnie! Tyle że cukru robią coraz więcej, a nowych mieszkań nie ma. Pięć lat, jak zabrali nam służbówkę przy kuchni... O tam, w korytarzu były drzwi, za makatką! Zrobili nowe mieszkanie. Pan Gajec je zajmował i... – urwała.

– My właśnie w tej sprawie – wtrącił podkomisarz.

– A pewnie, pewnie – mruknęła, wracając do rzeczywistości, choć nie tak już twardej jak poprzednio. Najwyraźniej gadki Zielnego nastroiły ją życzliwiej do świata. – Tyle że ja wszystko powiedziałam jak na spowiedzi.

– Tak, oczywiście, ale jest jedna rzecz, bardzo ważna. Czy na pewno pan Gajec został sam, zanim targnął się na własne życie.

– No jak mówiłam temu panu... No po cywilnemu, co tu był... – Usiadła i odruchowo wygładziła serwetę. – Pan nie powala atramentem – zwróciła uwagę Fałniewiczowi, mimo że ten jak zwykle pisał w notesie ołówkiem. – Pan Gajec był pijany i hałasował na schodach.

Zresztą wszyscy tupali jak jakieś stado koni. Znaczący te pijaki, co go odprowadzili. A tu beton, proszę pana, niesie. Już miałam wyjrzeć i powiedzieć, żeby się uspokoili, bo to porządny dom. Urzędników, nie jakiegoś chamstwa, co przyjechało za robotą! No ale oni weszli i wyszli, a potem aż do rana była cisza.

– A skąd pani wnosi, że wyszli? – zapytał Fańiewicz. – Bo pani nie wyglądała na korytarz, czy tak?

– Tyle co przez judasza – wyjaśniła Godrzycka. – Nie zapalili światła na schodach, no ale słyszałam drugi raz kroki kilku ludzi.

– Zaś pan Gajec... – Maciejewski poprawił się na krześle. – On, pani zdaniem, miał powód do samobójstwa?

– Czy ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – Ale ostatnio wypić lubił, nie powiem.

– No tak, dziękujemy pani. – Zyga wstał. – Choć nie, jeszcze jedno: gdzie dokładnie pani była, kiedy usłyszała tych mężczyzn schodzących po schodach?

– No tu, w pokoju – odparła.

– W takim razie pozwoli nam pani na krótki eksperyment...

– Mamy teraz takie nowoczesne metody – wyjaśnił z poważną miną Zielny.

Podkomisarz dokończył:

– Zechce pani tu zostać i powie nam, ilu ludzi słyszała pani na schodach. Za chwilę wrócimy.

Kobieta kiwnęła głową.

Na korytarzu Maciejewski, nic nie mówiąc, popchnął swoich tajniaków w dół. Zielny stuknął lakierkami, a Fańiewicz walił rozchodzonymi półbutami jak słoń. Podkomisarz zaraz przywołał ich ręką.

– I jak, pani Godrzycka? – zapytał, uchylając drzwi. – Ilu nas schodziło?

Wyszła do sieni i spojrzała po twarzach policjantów.

– Jak to ilu? Panowie wszyscy.

* * *

– Po co to było, panie kierowniku? – zapytał Zielny, kiedy już Maciejewski zdarł pieczęcie i znaleźli się w mieszkaniu Gajca.

– Masz talent do gadania, to wgrzyź się w gramatykę, Zielny. – Zyga poklepał go po ramieniu. – Jest liczba pojedyncza i mnoga, tak? Jeden i dwa to różnica. Ale dwa i sto już żadna. Podobnie dla Godrzyckiej istnieje tylko jeden pijak na schodach i tłum pijaków na schodach. Tyle że trzeba było to sprawdzić.

Weszli do typowo kawalerskiego pokoju z zasłanym po wojskowemu łóżkiem, stołem, szafą, kredensem i regałem z kilkunastoma książkami na półkach. Kodeks karny Tagancewa stał upchnięty obok Dmowskiego i paru starych podręczników. W niewielkiej kuchni też panował porządek, ale świadczący raczej o jej nieużywaniu niż przesadnej dbałości. Żadnych

paprotek ani makatek, na ścianie wisiał jedynie krzyż.

– Już rozumiem, dlaczego Godrzycką szlag trafia, że zabrali jej tę izbę – mruknął podkomisarz. – Wyginęła roślinność.

Zielny miał wielką ochotę napomknąć coś o domu Maciejewskiego, jednak taktycznie się powstrzymał.

Kawałek sznura wciąż zwisał z haka na żyrandol, który teraz stał w kącie. Zyga wyrzął przez okno – dzikie wino pięło się aż pod dach po kratownicy z wąskich deszczulek, mógłby po nich zejść najwyżej kot, i to z tych chudszych. Za to na wprost parapetu wznosiła się okazała przyzma piachu, zapewne pozostała po budowie nowych komórek dla lokatorów postawionych na tyłach kamienicy. Dozorca właśnie ładował piach na taczki.

– Cholera! – odezwał się podkomisarz.

– Co, panie kierowniku? – zapytał Fałniewicz.

– Sprawa jest jasna. Gajec nie popełnił samobójstwa. Przyprawdzili go w kilku, ale został jeden. No sam powiedz, czy gdybyś był tak pijany, żeby do domu samemu nie trafić, dałbyś radę zdjąć żyrandol, i to cicho, bez jednego brzęknięcia? A potem powiesić się na haku? Może na kłamce! Morderca wlewa w Gajca jeszcze szklankę wódki, ten zasypia. Cóż za trudność dla wysokiego i trzeźwego chłopca zdjąć żyrandol, a potem wywindować człowieka?!

– No ale jak wyszedł? Ta sąsiadka by słyszała.

– Czytałeś przecież protokół, Fałniewicz! – zniecierpliwiał się Zyga. – Okno było uchylone. Facet skoczył na tę kupę piachu i zniknął. Idźcie spytać dozorcę, czy nie widział jakichś śladów rano.

Maciejewski został sam w pustym kawalerskim mieszkaniu, jednak stale czuł czyjąś obecność. I bynajmniej nie był to duch Gajca. Podkomisarz nie mógł przestać myśleć o Tomaszczyku i jego raporcie:

...W mieszkaniu denata prócz rzeczy osobistych znaleziono, co następuje:

a - 6 /słownie: sześć/ blankietów czekowych in blanco z podpisem: R. Binder /w załączeniu wraz z wyszczególnionymi nrami/;

b - 38 zł 12 gr /słownie: trzydzieści osiem zł dwanaście gr/ w gotówce;

c - opróżnioną w 3/4 butelkę wódki „Luksusowa” z odciskami papilarnymi denata;

d - liczne wydania gazety „Głos Lubelski” /legalnej, związanej ideowo z prawicową opozycją/.

Wobec powyższego oraz opinii lekarskiej potwierdzającej samobójczą śmierć przez powieszenie wydaje się prawdopodobnym, iż:

I. W nocy 9 na 10 bm. A. Gajec, człowiek niezrównoważony oraz sympatyk skrajnej prawicy /zeznania sąsiadki denata, F. Godrzyckiej, w załączeniu/ udał się do mieszkania red. „Głosu Lub.” R. Bindera, po czym zamordował go najprawdopodobniej z przyczyn różnic politycznych.

II. Dla odwrócenia podejrzeń sprofanował zwłoki przez m.in. pozostawienie okultystycznych cyfr na ciele ofiary.

III. Z mieszkania zamordowanego skradł podpisane czek.

IV. W nocy z 12 na 13 bm. po wypiciu w nieustalonym towarzystwie /zeznania F. Godrzyckiej/ znacznej ilości alkoholu /raport lekarski/ powodowany wyrzutami sumienia targnął się na życie, nie pozostawiając listu pożegnania...

Widać było, że sztukę prowokacji i inscenizowania faktów Tomaszczyk opanował perfekcyjnie. Na tym w dużej mierze polegała zresztą robota policji politycznej, gdy jeszcze istniała jako osobna służba. W jego raporcie prawie nic nie było prawdą, a jednak wszystko do siebie pasowało. Jeśli zaś cokolwiek dałoby się podważyć, na przykład to zdanie Godrzyckiej o „nieustalonym towarzystwie”, to tylko na korzyść tezy Tomaszczyka. Wyszłoby, że zataczający się Gajec wrócił do domu sam.

„A ja myślałem, że przysłali go mnie na złość!” – Zyga przypomniał sobie pojawienie się Tomaszczyka w jego wydziale tuż po morderstwie Bindera. Tak, miał patrzeć Maciejewskiemu na ręce, ale nie po to, żeby nabrudzić mu w papierach. Gra toczyła się o bardziej konkretną stawkę – o niedopuszczenie do wykrycia prawdziwego zabójcy, aby wielki szwindel na Zamku nie wyszedł na jaw. Dlatego Jeżyk – kiedy już przestał być potrzebny – nie nacieszył się długo forszą z łapówki, dlatego musiał zamilknąć Gajec... Jednak tym razem nie chodziło jedynie o prostackie zacieranie śladów! Zyga nie docenił tej wszy Tomaszczyka, a może raczej tych, którzy się nim posłużyli...

Choć i Maciejewski trzymał asa w rękawie – tylko on wiedział, że Gajec „miał swój własny bank w domu”, jak zdradził się po pijaku. A skoro „bank”, to musiało być w nim więcej niż 38 złotych 12 groszy.

Zyga rozejrzał się po mieszkaniu. Kryjówką nie mogła być półka z bielizną ani puszka po kawie zbożowej – to były raczej kobiece miejsca, a Gajec mówił o swoim schowku z charakterystycznym błyskiem w oku: „patrzcie, jakim cwany!”. Podkomisarz zaczął zaglądać pod meble, sprawdzać, czy krzesła nie mają obluźwionych nóg – robić to wszystko, co z pewnością nie wpadło do głowy Tomaszczykowi z jego brakiem kryminalnego przygotowania.

– Były ślady na piasku – oznajmił Zielny od progu. – Co pan, kierowniku? – zdziwił się, widząc podkomisarza rolującego dywan.

– Zamknijcie drzwi – powiedział Zyga, opukując podłogę.

Fałniewicz zdjął płaszcz i obaj tajniacy przyłączyli się do poszukiwań.

– Głębokie ślady – ciągnął Zielny. – Ktoś ciężki z dużymi stopami. Na tej przyźnie piachu, co pan mówił. Ale cieć lubi porządek, cholera. No i nie mamy żadnych dowodów.

– Trudno. Za to jesteśmy mądrzejsi. Cicho! – Maciejewski zastygł tuż obok nogi stołu. Zastukał jeszcze raz w podłogę. Klepka odpowiedziała echem. – Przesuwamy.

Trzy deszczułki trzymały się tylko na wcisk. Wystarczyło postawić na nich obcas, a potem wyjąć klepki palcami. Pod spodem na gołym betonie leżała wypchana szara koperta.

– Włóżcie rękawiczki – polecił Zyga. Dopiero potem sięgnął do skrytki.

Koperta była wypchana pieniędzmi. Rozłożyli na podłodze banknoty po dwadzieścia, pięćdziesiąt i sto złotych. W sumie nazbierało się tego ponad tysiąc.

– Oszczędny był – pokiwał głową Zielny. – Ale co to właściwie nam daje, panie kierowniku?

– Wam premie za mordy w kubeł – uśmiechnął się podkomisarz, odliczając po dwieście złotych dla każdego tajniaka. – A reszta to będzie hak... Najdalej za kilka dni sami zobaczycie. Ja biorę komisyjnie piętnaście złotych na fryzjera i drobne sprawunki. Idziemy na bal, muszę się wreszcie ogolić.

* * *

Maciejewski kazał dorożkarzowi stanąć przy wieży ciśnień niedaleko teatru i zanurzył się w Bernardyńską. Ten odcinek ulicy, wciśnięty między masywny pałac Parysów i wysoką kamienicę po drugiej stronie, tworzył coś na kształt kanionu albo rowu tektonicznego. Ale właśnie tutaj mieścił się niewielki męski zakład fryzjerski. Był istotnie męski, nie tylko ze względu na płeć klienteli. Jak u wszystkich fryzjerów unosił się tam zapach wody kolońskiej, ale ta część atmosfery zakładu, którą tworzą pracujący w nim ludzie, nie miała nic z mieszaniny lokajstwa, żigolactwa i pederastii, której Zyga nie cierpiał. Tu raczej czuło się ring, co zauważył jeszcze na studiach, gdy przed jakimiś zawodami wraz z Lennertem przyszli się ostrzyć i ogolić.

Kiedy usiedli obok siebie na fotelach, Maciejewski trafił pod rękę samego właściciela, a Lennert pomocnika. Naraz przyszły mecenas syknął głośno, bo brzytwa drasnęła go w ucho. Zaraz zerwał z siebie ręcznik i urażony wstał z fotela. A fryzjer obejrzał ranę z daleka, jak jakiś dawny cyrulik, i powiedział tylko:

– Eee, flaki panu szanownemu nie wypływają!

Zyga przypominał sobie tę historię za każdym razem, gdy mijał zakład. Już miał pchnąć drzwi, gdy pomyślał, że powinien porozmawiać z Sobocińskim o najnowszych odkryciach, a było już dwadzieścia po trzeciej i komendant wkrótce mógł wyjść. Maciejewski cofnął się od progu.

Do komisariatu dotarł w pięć minut. Komendant był jeszcze u siebie, świadczyła o tym

jakaś rozmowa, której odgłosy dobiegały zza drzwi gabinetu.

– Niech pan nie wchodzi – ostrzegła Zygę panna Jula, sekretarka. – Pan nadkomisarz ma... gościa.

Maciejewski spojrział na nią zdziwiony, ale dziewczyna mówiła całkiem serio. Zaciskała usta, jakby w obawie, że niechcący wyrwie się z nich na wolność jakaś bardzo służbowa tajemnica.

– Gościa? – wzruszył ramionami Zyga. Oparł się o biurko panny Juli, z przyjemnością patrząc z góry na jej kształtny karczek. Z wysoko upiętej fryzury spadało na niego tylko kilka lekko kręcących się kosmyków. – Pan komendant nie miewa gości, co najwyżej interesantów.

– A jednak niech pan poczeka. – Dziewczyna wskazała krzesło. – O, zaczyna krzyczeć! – zauważyła wyraźnie podekscytowana. – To nie potrwa długo.

– Ja mam zrozumieć?! – z wnętrza gabinetu zapiszczała altem oburzona kobieta. – Ja nie mogę zrozumieć! Powtarzam panu, że jakiś pirat drogowy przejechał w piątek po południu moją suczkę. Od razu zawołałam policjanta i co? I nic! Od prawie tygodnia słyszę, że a to morderstwo, a to inny napad. Wiem, że to poważne sprawy, proszę pana! Ale czy to znaczy, że jak jest poważna sprawa, to wszystkie inne odkłada się na bok? Już się zwykłych złodziei nie łapie? Jeśli nie obchodzą was moje straty moralne, to proszę przynajmniej przyjąć do wiadomości, że to była rasowa pekinka, medalistka! Jakiś wariat przejechał mi trzysta złotych! A to chyba jest poważna sprawa?

Podkomisarz z miejsca przypomniał sobie słowa Lennerta, że w niedzielę ugryzł go pekińczyk pani starościny. Uśmiechnął się pod nosem.

„Temat jak z Poego, pewnie i Grabiński nie miałby nic przeciw takiemu pomysłowi: pana mecenasu pies kąsa zza grobu! – pomyślał ironicznie. – Tak, Lennert zawsze miewał swoje małe tajemnice, jeśli chodzi o kobiety, ale nigdy nie kłamał. Nie w tak oczywisty sposób”.

Zyga wstał i zrobił nerwowe kółko po kancelarii. Sekretarka spojrzała na niego krzywo, bo przeszkadzał w podsłuchiowaniu.

– Skoro nie chce mi pan pomóc, trudno. Poproszę o interwencję męża...

Drzwi otworzyły się i wypadła z nich kobieta w modnym kapeluszu stylizowanym na czako i w beżowym, wywatowanym w ramionach płaszczu z wielkim futrzanym kołnierzem. Wyglądała w nim bardzo sztywnie. Maciejewski musiał przyznać – co jak co, ale kochanki Lennert zawsze dobierał starannie. Bo ta wyglądała ponętnie nawet teraz – mocno wzburzona i z zaciśniętymi ustami. Duże brązowe oczy, kształtny nos, brzoskwiniowa cera – można by pomyśleć, że dopiero co wróciła z wczasów w Juracie.

„Śliczna, bestyjka!” – pomyślał Zyga i zaczął się zastanawiać, dlaczego przyjaciel kłamał. Czy miało to jakiś związek z Achajczykiem? Czy w niedzielę doszło do czegoś, co Lennert chciał ukryć? Podkomisarz całkiem stracił chęć na zwierzenia przed Sobocińskim, zanim na nowo nie poustawia sobie wszystkiego w głowie.

– Przepraszam! – warknęła żona starosty, niemal taranując Maciejewskiego. Zyga zrobił

dwa kroki w tył, pod ścianę, ale i tak nie uniknął uderzenia torebką. Po chwili trzasnęły drzwi kancelarii.

– Kto to był? – spytał dla pewności podkomisarz.

– Nie wie pan? – zdziwiła się sekretarka. – Salwiczowa, żona starosty. Gdzie pan idzie? Chciał pan mówić z komendantem!

– Po takim gościu lepiej nie – uśmiechnął się konspiracyjnie Maciejewski i wyszedł.

Panna Jula pokiwała ze zrozumieniem głową. Nie dziwiła się, że wolał odłożyć rozmowę z Sobocińskim na mniej nerwową chwilę.

* * *

Zielny oddał szatniarzowi płaszcz i kapelusz, przygładził włosy przed lustrem w hallu. Fańiewicz obrzucił go z pozoru nieuważnym spojrzeniem. Siedział przy wielkiej popielnicy w jednym z foteli na wprost portierni. Rozwiązywał krzyżówkę, od czasu do czasu niby od niechcenia zapisując coś w notesie. Kiwnął głową na znak, że wszystko jest w porządku – podkomisarz zajął już stanowisko w korytarzu na pierwszym piętrze, w pobliżu pokoju Achajczyka. W restauracji „Europa” orkiestra grała miłosne szlagiery, ale na parkiecie kręciły się tylko trzy pary.

Wywiadowca wszedł i rozejrzał się po sali. Lennert siedział przy niedużym stoliku na cztery osoby na niższej galerii tuż przy parkiecie. Obok popijał koniak wyraźnie wzburzony profesor Achajczyk. Coś tłumaczył, gestykulując, ale mecenas zbywał go krótkimi zdaniem i życzliwym, wytrenowanym uśmiechem.

– Szanowny pan życzy sobie miejsce dla jednej osoby? – Jak spod ziemi przy tajniaku wyrósł kelner.

– Czy tamten jest wolny? – zapytał Zielny, wskazując stolik naprzeciw Lennerta i profesora po drugiej stronie parkietu.

– Jak pan rozkaże.

Wywiadowca zerknął do menu i z trudem ukrył przerażenie. Gdyby chciał spędzić tu wieczór prywatnie, musiałby się raczyć wyłącznie wodą sodową. Teraz niby miał w portfelu dwadzieścia złotych z funduszu operacyjnego, ale kiedy Maciejewski mu je dawał, skrzywił się przy tym niemilosiernie, jakby liczył, że jakaś reszta do niego wróci. No bo wiedzieli obaj – koleżeństwo koleżeństwem, jednak Zielny ani myślał tracić na robotę śledczą „spadku” po Gajcu. No chyba żeby Fańiewicz wyłożył połowę!

– Czy szanowny pan zechciał już coś wybrać? – Znów przypłynął kelner, widząc menu odłożone na brzeg stolika.

– Czarną kawę i plisnę – powiedział Zielny. Choć wszystkie ceny były astronomiczne, rumuński *ersatz* francuskiego koniaku aż tak bardzo nie straszyl. – Popierajmy sojuszników – uśmiechnął się do kelnera.

– Pan życzy sobie kawę brazylijską, egipską, turecką...

– Turecką. – Tajniak przypomniał sobie, że widział jej reklamę w którejś gazecie. – Czarną jak smoła.

– A może raczy pan ciastko do kawy? Jeśli wolno zarekomendować...

– Nie, nie – stanowczo pokręcił głową Zielny. – Potem jeszcze zobaczymy.

Kiedy został sam, dokładniej przyjrzał się sali. Zajęta była dopiero połowa stolików, ale goście z hotelu i z miasta wciąż się schodzili. Lennert coś tłumaczył profesorowi, lekko gestykulując dłonią. Achajczyk gładził, a może mierzwił brodę. Chyba przytakiwał, jednak odchylił się daleko na krzesło, jakby dawał do zrozumienia, że nie chce mieć z mecenasem nic wspólnego. Prawą dłoń oparł na barierce oddzielającej galeryjkę od parkietu tanecznego.

Przyszedł kelner z zamówieniem. Zielny od razu zapłacił i wyciągnął z kieszeni papierosy. Pudełko miało markę Gauloises i nikt nie musiał wiedzieć, że tajniak trzyma w nim znacznie tańsze polskie nile. Zapalił i zaczął sączyć kawę.

Do restauracji napływało coraz więcej gości. Choć był to zwykły wieczór w środku tygodnia, tu przemysłowcy i bankierzy z całego województwa jak co dzień opijali pomyślne negocjacje i uzgadniali kontrakty. Zielny zauważył też kilku dziennikarzy z „Expressu” i „Głosu”, którzy zajęli stolik w głębi, za orkiestrą, i zapewne sprzedawali sobie najnowsze plotki. Spojrzał na zegarek – za chwilę kończył się ostatni seans w pobliskim kinie „Corso”. Zgodnie z jego przewidywaniem nie minął kwadrans, jak weszło jeszcze ze dwadzieścia osób – głównie zamożnych studentów, którzy po filmie zaprosili dziewczyny do „Europy”, żeby im zaimponować.

Orkiestra łagodnie przechodziła z utworu na utwór od spokojnych wariacji pod kotlet do cygańskich romansów i tang. Na parkiecie krążyło już kilkanaście par, a rozmowa Lennerta i Achajczyka robiła się coraz bardziej nerwowa. Zielny zaczął szukać pomysłu, jak nie budząc podejrzeń, podejść bliżej. Wtedy wyłowił wzrokiem samotną pannę siedzącą nieopodal. Sądząc po kieliszkach, była tu z innymi osobami, ale jej towarzystwo gdzieś się ulotniło.

Zapiął marynarkę i podszedł do dziewczyny.

– Dobry wieczór. Proszę wybaczyć, nie jesteśmy sobie przedstawieni...

– O mój Boże! – zachichotała. Zielny poczuł od niej powiew perfum i szampana. Była najwyraźniej gotowa na mniej wersalskie maniery.

– Dokładnie to samo pomyślałem, kiedy zobaczyłem, że chwilowo siedzi panienka sama: „O mój Boże, muszę z nią zatańczyć!” – Tajniak uśmiechnął się promiennie. – A zatem mogę prosić?

Objął ją i poprowadził w tańcu w kierunku Lennerta i Achajczyka.

– Ojejku, pana znosi w tamtą stronę! – zawołała wesoło. – Wypił pan tylko na jedną nóżkę?

– Nic podobnego – odparł poważnie wywiadowca. – Zakręcam specjalnie, bo jestem... detektywem.

– Kim?!

– Detektywem. Muszę podsłuchać, o czym mówią przy tamtym stoliku. Bardzo proszę, możemy teraz nie rozmawiać?

Dziewczynę замуrowało. Patrząc niedowierzająco na Zielnego, bez słowa dała się prowadzić. O to mu chodziło. Założył, że panna najpewniej mu nie uwierzy, a tym, co będzie dalej, nie zaprzętał sobie głowy. Miał talent do chwilowego okręcania sobie ludzi wokół palca, daleko większy niż taki Maciejewski, choć brakowało mu cierpliwości do roztkliwiania się nad późniejszymi skutkami. Jak słusznie powtarzał kierownik, gdyby Zielny nie został policjantem, nadawałby się świetnie na oszusta matrymonialnego.

– Niech pan to jeszcze rozważy – mówił Lennert. – Panie profesorze, karty już rozdane. I pan, i ja, choćbyśmy chcieli... można wygrać albo przegrać... składam korzystną ofertę... w przeciwnym razie...

Tajniak znów zakręcił w tańcu bliżej stolika, niestety nie dosłyszał, co się stanie w przeciwnym razie, bo panna odzyskała mowę.

– Ojej, nie boi się pan? – szepnęła mu do ucha.

– Ja nie, ale panienka powinna – odparł rozdrażniony. – To... handlarze żywym towarem. – Nie był z siebie dumny, że powtarza już użyty dowcip, ale przynajmniej nie w tym samym towarzystwie. – Sprzedają piękne dziewczyny do Brazylii. Pisali o tym w gazetach.

– Pan jest straszny kłamca!

– A panienka tak ga... ślicznie się uśmiecha. Dziękuję za taniec – powiedział, bo orkiestra akurat skończyła grać.

Zielny odprowadził rozchichotaną dziewczynę do stolika. Jej towarzystwo – trzech dwudziestoparoletnich chłopaków i koleżanka – już czekało.

„Ich trzech na dwie. Niedobrze!” – pomyślał tajniak. Skoro jeden był bez partnerki, to z daleka pachniało nerwową atmosferą. I tak studenciaki muszą się prześcigać, kto przystojniejszy i bardziej męski, a tu im jeszcze wchodzi między wódkę a zakąskę obcy facet.

„W dodatku całkiem przystojny facet” – z pełnym przekonaniem uznał Zielny.

Uklonił się sztywno i wrócił do swojego kieliszka z resztką pliski. Zaczął właśnie rozważać, czy zbliżyć się do Lennerta w kolejnym tańcu i podsłuchać więcej, czy od razu przekazać informacje Fańiewiczowi. Tylko co właściwie miał?! Żadnych konkretów.

– Pan wybaczy – usłyszał nagle. Stał nad nim jeden z chłopaków od stolika, do którego przed chwilą odprowadził dziewczynę.

– Słucham?

– Pan wybaczy – student przysiadł się bezceremonialnie – ale tańczył pan z moją narzeczoną.

– Być może. Nie wspomniała nic na pański temat. Nie zapraszałem pana, więc proszę...

– Jeśli nie jest pan tchórzem, da mi pan jutro satysfakcję. – Chłopak nachylił się i wręczył Zielnemu wizytówkę. Jechało od niego nie tylko szampanem, w żyłach studenta musiało krążyć kilka kolejek wódki. Pewnie dlatego zniknął od stolika, bo przy barze trunki były

niedro tańsze. – O szóstej rano przed bramą do Ogrodu Saskiego.

– Nie będzie pan niewyspany? – uśmiechnął się tajniak, oglądając bilecik:

„Tomasz Koniecpolski, członek rzeczywisty Korporacji Akademickiej »Concordia«, ulica...”.

– Mogę nie spać dwie noce, a i tak nakłaść panu po twarzy. Pańska wizytówka?

Zielny miał wielką chęć podetknąć mu pod nos rewolwer: „To moja wizytówka”. Chyba widział coś takiego na filmie.

– Żałuję, ale nie spodziewałem się dzisiaj żadnych pojedynków. Nie dysponuję. Jestem... Andrzej Nowakowski, dziennikarz. Do zobaczenia rano.

– Tylko pamiętaj pan! – zagroził Koniecpolski, wstając.

– Jak mógłbym zapomnieć!

Ledwie pozbył się natręta, spojrzął ponad głowami tańczących na mecenasa i profesora. Potem znów zaczął szukać wzrokiem jakiejś dziewczyny, którą mógłby poprosić do tanga. Poprzednia była spalona, bo nie mógł brnąć w awanturę z jej amantem. Gdyby siedział nie w „Europie”, ale na przykład „Pod Strzechą”, na sali roiłoby się od fordanserek. Tutaj tajniakowi pozostało tylko jedno – przespacerować się brzegiem parkietu do baru i nadstawić ucha, kiedy zbliży się do Lennerta i profesora.

– Gdybym wiedział, że posuniecie się do... – mówił Achajczyk.

– Każdy się zabezpiecza... na miłość boską, proszę nie... pan jest tak samo odpowiedzialny. I nie tak głośno, bo... to pan pociągnął za ten sznurek... wie pan, co może się stać, kiedy...

Dalszego ciągu wywiadowca nie zdołał usłyszeć, bo z impetem wpadła na niego jakaś para.

– Potrafił mnie pan! – warknął młody człowiek, którego wcześniej widział obficie raczącego się winem przy stoliku w głębi.

– W takim razie bardzo przepraszam. – Zielny zrobił parę kroków, chcąc odejść, zanim obserwowani mężczyźni zwrócą na nich uwagę.

– Nie wystarczy mi pańskie: „przepraszam”? – Pijany zastąpił mu drogę, zostawiając swoją partnerkę na parkiecie. Stała teraz jak niepyszna, sama jedna pośród tańczących par.

– Dobrze. – Wściekły tajniak sięgnął do kieszeni po wizytówkę Koniecpolskiego, członka rzeczywistego „Concordii”, i wcisnął ją natrętowi. – Jutro o szóstej rano przed bramą Ogrodu Saskiego. A teraz idźże pan sobie, bo nie mam czasu!

Zerknął ku stolikowi na galeryjce. Achajczyk właśnie rzucił banknot na stół, po czym wstał. Zielny zaklął pod nosem i ruszył w stronę hallu.

Na środku parkietu zostali chłopak i dziewczyna. Ona coś mówiła, a on patrzył z rozdziawioną gębą na bilecik wizytowy. Wywiadowca uśmiechnął się na myśl, co będzie nazajutrz o szóstej rano przed parkiem, kiedy tych dwóch przyjdzie na umówione męskie spotkanie.

Nagle uwagę Zielnego zwrócił podniesiony głos profesora. Obok niego kiwał się jakiś pijany wąsal.

– Och, przepraszam pana szanownego najprzejmiej...

Wciąż trzymając w dłoni syfon tryskający wodą sodową, rękawem próbował wycierać ubranie Achajczyka. W efekcie oblał go jeszcze bardziej po spodniach i po butach.

* * *

– Groził mu – wysapał Fałniewicz, który w kilka sekund znalazł się na pierwszym piętrze.

– Kto? – spytał Maciejewski.

– Lennert.

– Lennert?! – powtórzył z niedowierzaniem Zyga. Dopiero teraz uświadomił sobie, że przyszedł tu raczej, by rozwiać swoje podejrzenia. Tymczasem zaczynały się potwierdzać.

– Tak przekazał Zielny, panie kierowniku.

– Zielny chyba coś popiep... – Podkomisarz urwał.

Przez chwilę miał wrażenie, że właśnie Lennert idzie korytarzem w ich stronę. Jednak nie, był to jakiś gość hotelowy: podobny z postury wysoki mężczyzna, ale starszy – pod czterdziestkę, i z sumiastym wąsem. Maciejewskiemu wydawało się, że już go gdzieś widział, tylko w jakich okolicznościach i kiedy – nie mógł sobie przypomnieć. Gość zajrzał na moment do swojego numeru, zabrał płaszcz i kapelusz, po czym znów ruszył ku schodom.

– A gdzie jest Zielny? – spytał Zyga.

– Poszedł za Lennertem.

Podkomisarz zerknął na drzwi pokoju profesora. Zdążył je dokładnie obejrzeć, w czasie gdy Zielny bawił się na sali, a Fałniewicz rozwiązywał krzyżówkę w hallu. Nawet przejechał kartką z notesu między drzwiami a futryną. Pokój był zamknięty na klucz, w środku nikogo. Zwyczajne drzwi, zwyczajna klamka, kałuża na wykładzinie przed progiem...

– A gdzie Achajczyk?

– Chyba w łazience. – Fałniewicz wzruszył ramionami. – Ktoś oblał mu całe spodnie.

– Kto?

– Nie wiem, panie kierowniku. Jakiś pijany. O, idzie! – syknął tajniak.

Zyga myślał, że Fałniewicz mówi o pijaku, ale wywiadowcy chodziło o profesora, który szybkim, wściekłym krokiem szedł korytarzem. Jego spodnie wyglądały tak, jakby wrócił z ulewnego deszczu. Maciejewski skierował wzrok w stronę okna na podwórze hotelu, gdy przez jego głowę przebiegło dziwne skojarzenie:

„Kałuża na podłodze i mokre spodnie...”

Coś było nie tak. Ale co i dlaczego? Nie miał pojęcia.

Spojrzał na plecy oddalającego się Achajczyka, potem spuścił oczy niżej.

„Kałuża! – zrozumiał nagle. – Od rana nie padało!”

– Panie profesorze! – zawołał.

– Powiedziałem, nie będę z wami rozmawiał! – warknął tamten ze złością, nawet się nie odwracając. Od pokoju dzieliło go już kilkanaście kroków.

– Stać, policja! – krzyknął Maciejewski, kładąc wszystko na jedną kartę. To mógł być błąd poważniejszy nawet niż próba przyciśnięcia Lipowskiego. Ale ta kałuża i te spodnie... Mogły nic nie znaczyć... Jeśli się pomylił, skończy jako krawężnik patrolujący ulice i co dzień będzie się przeklinać za to, że zaufał intuicji zamiast procedurom.

Achajczyk ruszył jeszcze szybciej, ale Zyga dopadł go, zanim tamten włożył klucz do zamka. Złapał profesora i rzucił go na ścianę.

– Jak pan śmie! Pan wie, kto ja jestem?!

Podkomisarz odebrał mu klucz i obejrzał. Był stalowy, z mosiężnym kółkiem i wygrawerowanym numerem 121.

– Proszę wybaczyć. – Maciejewski uspokajającym gestem położył Achajczykowi dłoń na ramieniu. – Policja kryminalna. Podejrzewam, że grozi panu...

– Wyście w tym mieście chyba wszyscy powariowali!

Zyga postąpił krok w stronę pokoju, ale wciąż nie wiedział, co zrobić. Nagle wpadła mu w oczy lampa stojąca na okrągłym stoliku przy schodach.

– Oby miał pan rację – powiedział cicho. – Fańiewicz, pilnuj. Nie wolno zbliżać się do drzwi.

Podbiegł do lampy, wyszarpnął sznur z gniazdka, a drugim gwałtownym ruchem wyrwał go z obudowy. Zerknął za siebie. Wściekły profesor rzucał gniewne spojrzenia na boki, a milczący Fańiewicz przyciskał go swoim masywnym cielskiem do ściany.

Maciejewski odetchnął głęboko i wrócił pod drzwi. Kabel trzymał w obu dłoniach.

– Cholera! – warknął pod nosem.

W domu wyłączał korki, kiedy przyszło mu zmienić żarówkę, w komisariacie wołał Wilczka, który miał pojęcie o elektryce.

Dwukrotnie obmacał dokładnie cały przewód, sprawdzając, czy pleciona izolacja nie jest nigdzie uszkodzona. Nie była, hotel dbał o swoje sprzęty. Maciejewski założył rękawiczki, opuścił wtyczkę w mokrą kałużę pod drzwiami, a drugi koniec zbliżył do zamka...

Jeszcze nim go dotknął, na podłogę posypał się snop iskier niemal jak ze spawarki. Światła w całym hotelu nagle przygasły, potem migotały niespokojnie przez dłuższą chwilę.

Podkomisarz spojrzął na profesora, zsuwając kapelusz na tył głowy. Obaj w tej jednej sekundzie spocili się od stóp do głów. Achajczyk otarł czoło chusteczką z butonierki, Zyga rękawem płaszcza.

– Dziękuję. – Profesor lekko skłonił głowę.

– Fańiewicz – odezwał się Maciejewski nieswoim głosem – sprowadź tu najpierw jakiegoś elektryka, a potem Zielnego. Niech znajdzie tego pijaka, który oblał profesora. Później leć na róg Kościuszki, Florczak miał tam czekać. A pan, profesorze, zechce mi odpowiedzieć na kilka pytań. Bo przyzna pan, że nie wygląda to na nieszczęśliwy przypadek.

– Podkomisarz doszedł już do siebie i dorzucił: – Bo co prawda mamy dziś trzynastego, ale nie piątek.

* * *

– Wąsal... – mruknął Maciejewski.

– Tak, on mieszka w hotelu – dodał profesor, wycierając spodnie ręcznikiem. – Był całkiem pijany. Myśli pan?...

Zyga powoli pokiwał głową. To się zaczynało układać w całość: zeznania tego Kisły z Kośminka, próba zabójstwa Achajczyka, no i ten facet, który minął ich na korytarzu. Wcale nie wyglądał na pijanego.

Maciejewski podszedł do telefonu, kazał połączyć się z komisariatem i zarządził poszukiwanie wysokiego, mocno zbudowanego mężczyzny z wąsami, lat około czterdziestu. Z pełną świadomością, że podany rysopis pasował do wielu bywalców nocnych lokali.

„Jeśli się przyłożą, nad ranem w wydziale będzie tłok jak w przychodni wenerycznej” – uzmysłowił sobie.

– Ostatnio widziany w jasnym płaszczu – dodał. – I ekipę z Urzędu Śledczego do Hotelu „Europejski”. Tak, wiem, że jest noc. Wykonać! – Odłożył słuchawkę. – A my mamy przynajmniej pół godziny na spokojną rozmowę – powiedział do profesora.

– Lubi pan wykłady historyczne, panie komisarzu? – Achajczyk usiadł wygodniej w fotelu. Podkomisarzowi nie podobało się jego opanowanie. Choć z drugiej strony profesor raczej miał interes w tym, aby być szczerym. I, dziwna rzecz, mimo wszystko sprawiał wrażenie uczciwego człowieka.

– Wykłady nieszczęśliwie. – Maciejewski zapalił papierosa.

– Ale Sienkiewicza pan czytał?

– Owszem, z dziesięć razy, jak chyba każdy w tym kraju.

– Więc łatwiej będzie panu zrozumieć przyczyny. Pamięta pan zapewne, że w 1656 roku Szwedzi przyszli do Lublina i Zamościa od północy, a potem wojska kozackie ze wschodu.

– Tak, tak, a Zamoyski z Zagłobą podarowali Karolowi Gustawowi Niderlandy. Proszę przejść do rzeczy!

– 11 października dotarły do Lublina wieści o podjazdach kozackich w pobliżu Zamościa – ciągnął Achajczyk, ignorując kpinę. – Tutejsi mieszczanie, w szczególności Żydzi, mieli świeżą pamięć o rabunkach szwedzkich. Dlatego gmina żydowska zawarła z kasztelanem na lubelskim Zamku pewną umowę. Jak byśmy powiedzieli językiem dzisiejszej ekonomii, założyli bank depozytowy...

Zyga słuchał początkowo obojętnie, potem z coraz większą ciekawością. Bo profesor tak rozwijał intrygę, że sam Sienkiewicz odpaliłby mu za nią ze trzydzieści procent swojego Nobla. Od pierwszych wiadomości o Kozakach do ich pojawienia się pod murami miasta minęły niespełna cztery dni, podczas których w tajemnicy zwożono na Zamek majątek

synagog, rabinów i co zamożniejszych starozakonnych kupców oraz lekarzy. Kasztelan wiedział oczywiście, że Lublin to nie twierdza zamojska, ale znał dobrze zamkowe podziemia, które jak wszystkie lochy pod miastem sięgały w głąb na więcej kondygnacji, niż liczyły sobie budynki. Tam właśnie zostały ukryte skarby.

– Kozacy bawili w Lublinie niecały tydzień i choć zagrabili w sumie dobra warte kilkaset tysięcy ówczesnych złotych, ich dowódcy musieli mieć świadomość, że to dziwnie mało jak na miasto targowe i trybunalskie – kontynuował Achajczyk. – 16 października podpalili synagogę, następnego dnia Zamek i gdy wreszcie odjechali, a Żydzi zwrócili się do kasztelana o zwrot powierzonego majątku, ten zapewne pokazał im tylko ruiny i przywalone tonami gruzu wejścia do lochów. Dóbr nie odzyskali. Czy sam kasztelan wycisnął umówiony procent, tego nie wiadomo. Natomiast Zamku nie odbudowano i popadał w coraz większą ruinę. Może pan o tym poczytać choćby u Krasickiego.

– Pamiętam, pamiętam! – przerwał Zyga. – „Ruina”, „szpetoty ohyda” i tak dalej... Więc chce pan powiedzieć, że ktoś znalazł wejście do tych lochów?

– Nie tak od razu. Wydaje się, że na sto pięćdziesiąt lat cała sprawa poszła w zapomnienie, zwłaszcza po pożarze w 1719 roku, kiedy Zamek spłonął doszczętnie. Stał się rudera grożąca zawaleniem i niczym więcej, a jednak starostowie Zamoyski, a potem Potocki inwestowali pewne kwoty, coś tam niby remontowali, coś kopali. Można powiedzieć: dla kaprysu, poszukiwania starożytności, ale czy rzeczywiście? Stanisław Staszic miał protegowanego: wynalazcę, lubelskiego Żyda nazwiskiem Stern. Być może uzyskał od niego jakieś informacje, bo gdy tylko powstał projekt, aby całe wzgórze zamkowe oczyścić, a kamienia użyć do szosowania dróg, on zainicjował szereg robót, aż w końcu sprowadził carską komisję, która zdecydowała, aby, wykorzystując resztki Zamku, zbudować tam więzienie. Czyż można wymyślić lepszy pretekst do poszukiwania skarbów ukrytych w fundamentach niż nowa budowa?

– Owszem, wykopaliska archeologiczne – stwierdził Maciejewski.

– Do tego też dojdziemy – kiwnął głową Achajczyk. – Więzienie postawiono, z dawnego Zamku zachowując tylko donżon i kaplicę, i najprawdopodobniej niczego nie znaleziono. Nie będę zajmował panu czasu opowieściami o polichromiach w kaplicy, pod pretekstem których i mnie tu ściągnięto, ale jedna rzecz jest ważna. Otóż w maju 1907 roku grupa więźniów uciekła z więzienia na Zamku przez kanał ściekowy. To była dość głośna sprawa, może nawet oblała się panu o uszy.

– Tak – przypomniał sobie Zyga. – Czytałem coś o tym. Bojowcy PPS-u i kryminalni. Chyba ze dwudziestu ludzi.

– Ponad czterdziestu – sprostował profesor. – Dwudziestu jeden kryminalnych i dwudziestu politycznych. Wśród nich byli ci bojowcy, którzy napadali na kasy kolejowe.

– Pamiętam, w Uhrusku i Dorohusku. Tylko co mają do tego carskie ruble?

– Pozornie niewiele, panie komisarzu, ale kto obrabia kasy, zwykle zna się na

pieniądzach. W tej historii istotni są zwłaszcza dwaj z nich: pewien szesnastoletni wówczas chłopak i uciekający z nim Waław Kostek-Biernacki.

– Komendant twierdzy brzeskiej? – zdziwił się Maciejewski.

– A jakże, piszą też o nim: „brzeski hycel”, „kat Centrolewu”, „wierny pies marszałka” i tak dalej. W wolnych chwilach pisarz. Wtedy byli w drugiej grupie uciekinierów. Weszli do kanału ostatni i tak jak pozostali dotarli na dno studni zamkowej, a potem stało się coś dziwnego. Czy pomylili drogę, czy zmienili zamiar, dość że zamiast iść w stronę rzeki, skręcili w boczną odnogę ścieku, odwalili nieco gruzu i odkryli jedną z kawern pod wzgórzem, niemal pod kaplicą. Zachowali się jednak przytomnie. Zamiast udawać poszukiwaczy skarbów, zabrali w kieszenie nieco monet i wkrótce dołączyli do reszty zbiegów. Dotarli do Nałęczowa, gdzie ukrywał ich Żeromski, a dzisiaj... No cóż, pułkownik Biernacki jest komendantem twierdzy brzeskiej, a tamten chłopak, Radosław Sierokrzewski, dyrektorem departamentu w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Ministerstwie właściwym w sprawach dziedzictwa narodowego! – dodał z przekąsem Achajczyk, po profesorsku unosząc palec. – Dlatego nie dziwiłem się, póki chodziło tylko o nadzór nad restauracją fresków, jestem wszak historykiem sztuki. Gdy jednak przyszło do wykopalisk, w dodatku realizowanych w najściślejszej tajemnicy i finansowanych przez przedsiębiorców-filantropów...

– ...spotkał się pan z Binderem – przerwał Zyga. – Dlaczego właśnie z nim? Nie było w Lublinie rzetelniejszych dziennikarzy? Zresztą taka sprawa! Po co szukał pan kontaktu z prasą w Lublinie, nie w Warszawie?

– Są dwie przyczyny. Pierwsza to prezes Lipowski, który zapewnił nas obu, że artykuł nie zostanie skonfiskowany. Że wyłoży na to środki. Nie jestem jednak człowiekiem interesu...

– Tak, i ja gdzieś to już słyszałem – skrzywił się Maciejewski. – Przepraszam, proszę kontynuować.

– Nie jestem człowiekiem interesu, więc nie dostrzegłem tej subtelnej różnicy, jaka jest między negocjacjami a właściwą umową. Lipowski jako nieoficjalny przedstawiciel finansowy gminy żydowskiej, która, sam pan wie, ma obecnie duże potrzeby w związku ze swoją uczelnią, mógł albo walczyć o odzyskanie dóbr, albo wynegocjować satysfakcjonujące... nazwijmy to: odszkodowanie. Okazało się ono tak bardzo satysfakcjonujące, że zmienił zdanie. A druga przyczyna jest taka, że Binder, panie komisarzu, był na swój sposób uczciwy. Uznałem, że może być dla mnie dobrą polisą, choć nie przewidziałem bezwzględności tych ludzi. Choć powinienem... Może mi pan wierzyć lub nie, ale szczerze boleję nad tym, że ten człowiek zginął przez moje informacje. Powinienem wyjechać za granicę, gdy tylko to się stało. Czy pan się domyśla, jakimi sumami mnie nęcono? Nie wiem, ile zarabiają oficerowie policji, ale przypuszczam, że gdyby zebrali pańskie zarobki aż do emerytury...

– Proszę nie kończyć, profesorze! – warknął Maciejewski. – Wyobrażam sobie, w czym

rzecz. I tym bardziej nie rozumiem, dlaczego pan nie wziął. Tak byłoby prościej i bezpieczniej.

– Cóż, nie oburza się pan... Też jest pan uczciwy. Proszę wybaczyć, nie porównuję pana w żadnym razie do Bindera! – dodał szybko Achajczyk. – Chcę tylko zauważyć, że pewnie każdy na pana miejscu tak właśnie by pomyślał, ale by tego nie powiedział. Oczywiście, przeszło mi przez głowę, że mogę wziąć pieniądze, zapewnić sobie spokój i środki do końca życia. Jednak poznałem nieco tych ludzi i dobrze wiem, że na tym by nie poprzestali. Mieliby mnie jak na widelcu i wynalęzliby sposób, żeby pograć, a siebie postawić poza podejrzeniem. Proszę pana, tu chodzi o kwoty, którymi każdy się udławi. Jeśli Żydzi w 1656 roku pozwolili sobie zrabować kilkaset tysięcy, to ile musieli ukryć? Dziesięć, dwadzieścia, a może i sto razy tyle! A przecież nie o wartość czystego złota tu idzie, te przedmioty mają dziś wartość muzealną! – Profesor podniósł głos. – Tu chodzi o setki milionów!

– Pan widział te kosztowności? Są tam nadal? – ożywił się Zyga.

– Widziałem część w kawernie obok fundamentów kaplicy. Wczoraj zostały wywiezione.

– Kto?! Mów pan!

– Skrzynie zabezpieczowali sam pan starosta i prawnik Towarzystwa Przemysłowców.

– Mecenas Lennert?! – Maciejewski zacisnął pięści, aż zbiełały mu knykcie.

– Mecenas Lennert – kiwnął głową profesor.

– Oczywiście oficjalnie nic pan nie zezna?...

– Po co miałbym robić panu taki kłopot? Dowodów nie ma, a my dwaj w najlepszym razie trafilibyśmy do Tworek.

– A o czym rozmawialiście dzisiaj?

– Cóż, Lennert namawiał mnie na przyjęcie... stosowniejszego honorarium. Chciał, abym z nim pojechał do domu, który kończy budować w tej nowej dzielnicy pod miastem...

* * *

Zyga omiół latarką filary kaplicy zamkowej. Dziesiątki wydrapanych imion i dat: 1863, 1905, 1926... Dał znak Fałniewiczowi i Zielnemu, wyszli razem z niezadowolonym klawiszem. Niechętnie wpuszczono ich na teren więzienia – strażnicy żądali rozkazów na piśmie. Otwarli drzwi, dopiero rozpoznawszy profesora.

– Tu. – Achajczyk oświetlił swoją latarką otwór w posadzce kilka kroków od ołtarza.

Maciejewski rozejrzył się raz jeszcze. W nikłych smugach elektrycznego światła wymalowane na ścianach draperie zdawały się marszczyć od wiatru, zewsząd patrzyły chude bizantyjskie twarze świętych – smutne i jakby zastraszone. Brodaty Achajczyk z odległości paru metrów wyglądał jak jeden z nich – tak samo wszystko wiedział, jednak ani myślał oficjalnie zeznawać.

Przebrani w wymięte fartuchy i w gumowych butach zeszli po drabinie do wąskiego, wilgotnego korytarza. Początkowo wiódł w bok, o ile Zyga dobrze rozpoznał kierunek – pod

dziejziniec. Potem tunel zakręcił i coraz bardziej pochyły prowadził ich w stronę zbocza wzgórza.

– Ostrożnie! – ostrzegł Achajczyk.

Podkomisarz poświecił pod nogi i przed siebie. Dwa metry dalej korytarz przecinało szerokie na niecały metr pęknięcie.

– Kto tu schodził?

– Ja i Lennert. Proszę potrzymać.

Achajczyk podał śledczemu zwój sznurowej drabiny, a koniec przyczepił do haka sterczącego w ścianie.

– Pan pierwszy, profesorze.

– Oczywiście – pokiwał głową Achajczyk. – Rozumiem pańską ostrożność.

Kawerna miała około trzech metrów wysokości. U dołu rozszerzała się nieco, tak że we dwóch mogli stanąć w niej całkiem swobodnie. Zyga zaczął przyglądać się ścianom, myśląc o niewidocznych odciskach palców, jakie by z nich zdjął, gdyby tę wycieczkę przewidział i przygotował się do niej. Choć z drugiej strony czego mogłyby dowieść? Towarzystwo Przemysłowców współfinansowało badania, więc jego hojni członkowie-dobroczyńcy musieli mieć prawo do oglądania wyników prac.

– Wzgórze zamkowe osiada – powiedział uczony – i bywa, że samo odsłania fragmenty lochów. Tak właśnie stało się tutaj. Gdyby spróbować zrobić tunel o tam, wzdłuż zbocza, zapewne znaleźlibyśmy coś więcej, ale to już prace górnicze, nie archeologiczne. Tutaj było siedem skrzyń częściowo przysypanych gruzem.

Maciejewski wodził latarką w ślad za światłem profesora. W końcu opuścił ją zrezygnowany. Nagle coś błysnęło mu na ziemi. Schylił się i podniósł przez chusteczkę srebrną monetę.

– Szóstak Wazy – machnął ręką Achajczyk. – Śmieć, choć w dobrym stanie. Kolekcjoner zapłaciłby jakieś pięćdziesiąt, góra sto złotych, jeśli byłby narwany.

Zyga obrócił monetę w dłoniach, rozważając chwilę, czy nie włożyć jej do kieszeni. Zwyciężył rozsądek – rzucił pod nogi.

– Skoro już zeszliśmy razem do piekła... – uśmiechnął się Maciejewski – to mam dla pana propozycję, profesorze. Zeznanie i tak musi pan złożyć, bez tego się nie obejdzie. Proszę się jednak nie obawiać, nie wszystko co padło między nami, musi też zostać na papierze. A przynajmniej w tej sytuacji...

* * *

Przodownik Wilczek mieszkał przy Kapielowej. W lecie to było całkiem miłe miejsce, po pracy mógł popływać w Bystrzycy albo pobliskim stawie. Za to jesienią – choć urwij się z nudów, nic do roboty, jedynie mała podrzędna knajpa na Przemysłowej. Nie znajdowała się jednak w wykazie lokali, które mogliby odwiedzać prywatnie policjanci. No i „Gospoda

Chrześcijańska” spory kawałek dalej, na Placu Bernardyńskim – tam wolno mu było chodzić, tylko nie miał po co.

Kiedy Wilczek wrócił ze służby, jak co dzień przebrał się w stare ubranie, przyniósł żonie węgla z piwnicy, zagonił dwójkę urwisów do odrabiania lekcji, po kolacji pograł ze starszym synem w szachy i tak zeszło do późnego wieczora. Zapalił jeszcze ostatniego papierosa i włączył cicho radio. W końcu położył się spać.

Było pewnie po drugiej w nocy, kiedy domowników obudziło głośne pukanie do drzwi.

– Co za cholera, Wójcik znowu pomylił drzwi czy co? – mruknął rozbudzony Wilczek i powłókł się do przedpokoju.

Na progu stał kierownik Maciejewski.

– Przejdziesz się do Lwowa – powiedział bez żadnych wstępów. – Policja stawia.

– Ale dlaczego do Lwowa, panie komisarzu?

– Bo do Paryża, Wilczek, już nie było biletów.

Tajniak zdziwił się, że podkomisarz szasta służbowymi funduszami. Jeszcze kilka dni temu objechał Grzewicza za skorzystanie z dorożki!

Nagle usłyszeli skrzypnięcie drzwi sypialni. Wyrzała z niej żona Wilczka w papilotach na głowie i niechętnym spojrzeniem obrzuciła Zyge.

– Dobry wieczór pani. – Ten uchylił kapelusza. – I przepraszam, że panią obudziłem.

– Alu, to pan komisarz Maciejewski – przedstawił nocnego gościa Wilczek.

– Pan komisarz? – zdziwiła się kobieta. Przysłoniła dłonią papiloty. – Coś się stało?

– Nic takiego – uspokoił ją Zyga. – Ale pani mąż musi natychmiast wyjechać służbowo w nagłej sprawie. Niech się państwo naradzą, czy nie trzeba czegoś kupić we Lwowie. Czekam w aucie.

Niecały kwadrans później Wilczek zbiegał z pierwszego piętra z małą walizką w jednej ręce i listą sprawunków w drugiej. Pod pachą uwierała go pospiesznie przypięta kabura z rewolwerem. Zatrzymał się na chwilę, żeby poluźnić paski. Zobaczył stojącą przed bramą taksówkę.

Samochód ruszył, jeszcze nim Wilczek zdążył zamknąć drzwi. Wcisnął się z trudem na tylną kanapę, na której stłoczeni jak śledzie siedzieli Zielny, jakiś brodaty facet w okularach, Fałniewicz, no i teraz on.

– To pan profesor Achajczyk. – Maciejewski wychylił się przez oparcie przedniego fotela i wskazał brodacza. – Wilczek, odwiezicie pana do Lwowa i będziecie uważać, żeby mu włos z głowy nie spadł, jasne?

– Tak jest.

– Dziś ktoś próbował zamordować pana profesora. Właśnie złożył zeznanie na komisariacie. To ważny świadek, rozumiecie? Nikt nie wie, gdzie jedziemy, ale strzeżonego... Sami rozumiecie, Wilczek.

– Tak jest, a czy...

– Więcej nie musicie wiedzieć – przerwał mu podkomisarz. – Unikać tłumu, nie odstępować na krok profesora, broń pod ręką. Jak u was z amunicją?

– Pełny bębenek i dziesięć zapasu.

– Powinno wystarczyć, ale macie jeszcze dziesięć. – Zyga sięgnął do kieszeni i podał tajniakowi garść naboń.

Auto przejechało tymczasem most i skręciło w Foksal.

– A tu, Wilczek – podkomisarz wcisnął śledczemu kilka banknotów – macie sto... dwieście złotych na wszelki wypadek. Nie musicie kwitować, tylko twarz na kłódkę, jasne?

– Tak jest, panie komisarzu – wyjąkał tajniak, miętosząc w dłoniach prawie miesięczne pobory, i to z dodatkiem służbowym.

Pan Florczak zahamował przed dworcem. Fańiewicz został w aucie, reszta wbiegła po schodach do budynku. Warszawa – Rawa Ruska – Lwów już sapał na pierwszym torze.

– Nie ma czasu, bilet kupicie u konduktora. – Zyga dał Wilczkowi jeszcze jeden banknot.

Rozejrzał się. Dworzec żył, choć prawie całe miasto już spało. W zaparowanym oknie ciepłej poczekalni podkomisarz dostrzegł przysypiającą babę, do której ukradkiem przysuwał się jakiś wyrostek. Odskoczył jednak, udając wyrwanego z drzemki, kiedy na ławce obok przysiedli dwaj rozmawiający o czymś żołnierze. Baba też otworzyła oczy. Skrzywiła się niezadowolona, że przeszkadzają jej spać – a zarazem zupełnie nieświadoma, że zawdzięcza im nienaruszone zawiniątko z pieniędzmi.

Na peronie nic się jednak nie działo. Do niemal jeszcze pustego osobowego do Chełma wsiadało jakieś starsze małżeństwo. Zasnutą parą z lokomotywy robotnik kolejowy opukiwał młotkiem koła wagonu pulmanowskiego pociągu pospiesznego do Lwowa. Jakiś zmęczony maszynista w rozpiętym szynelu wolnym krokiem szedł ku poczekalni.

– Niech pan pamięta o telefonie. – Maciejewski podał Achajczykowi rękę.

– *Gentlemen's agreement* – kiwnął głową profesor. – Do widzenia.

Zyga i Zielny poczekali, aż przebrzmi gwizdek zawiadowcy i wołanie konduktora: „Proszę wsiadać! Drzwi zamykać!”. Koła parowozu obróciły się kilkakrotnie w miejscu i z wysiłkiem szarpnęły skład. Zgrzytnęły zderzaki, pociąg ruszył, pozostawiając na peronie rzadniejący obłok dymu i pary.

– O jaką szło forszę? – zapytał Zielny i zaraz zastrzegł się zapobiegawczo: – Jeśli oczywiście można wiedzieć, panie kierowniku...

– Wołałem nie pytać, pewnie ze sto, może dwieście tysięcy...

– Do podziału? – zdziwił się tajniak.

– Nie, no skąd! Dla profesora.

– Dwieście tysięcy, panie kierowniku! – westchnął tęsknie Zielny. – Jakby co, od razu mówię, ja bym wziął.

– Pomarzyć można! Ale o tym, co słyszałeś, morda w kubeł, *poniał*?

– No pod hajrem, panie kierowniku! – Zielny zrobił urażoną minę.

Zyga zaśmiał się, przypominając sobie rozmowę z Zakrzewskim w celi i to, co wtedy pomyślał o swoim najlepszym śledczym.

– Idziemy! – rzucił Maciejewski. – Pan Florczak czeka.

– Jeszcze jedno, panie kierowniku – zatrzymał go tajniak. – Niech pan powie, kiedy pan wydobył z komendy fundusze dla Wilczka? I jakim cudem?!

– Jak to jakim? – uśmiechnął się podkomisarz. – Achajczyk dał. Tylko po co Wilczkowi o tym wiedzieć?

Rozdział 6

14 listopada 1930 r., piątek

O umiejętnościach szoferskich pana Florczaka krążyły w mieście legendy. Pozwolenie na prowadzenie auta uzyskał jako jeden z pierwszych w Lublinie. Choć początkowo miało ono tylko kategorię II B i wolno mu było jeździć wyłącznie starym Fordem T, wkrótce rozszerzył je na inne pojazdy: od motocykla po autobus. Ponoć startował bez większego powodzenia w jakimś rajdzie we Lwowie, ale głównym powodem jego sławy była opinia niezawodnego taksówkarza, któremu nigdy nie zdarzyło spóźnić się na dworzec, oraz wymagającego instruktora i egzaminatora nauki jazdy.

Gdy kursant przystępował do egzaminu na zawodowego szofera, pan Florczak, ledwie zajął miejsce z przodu obok kierowcy, nalewał lampkę koniaku i stawiał ją na podłodze obok dźwigni hamulca ręcznego. Kandydat patrzył zdumiony na jego poczynania, on zaś spokojnie klinował kieliszek listewkami, tak by się nie przesunął podczas jazdy. Później kazał jeździć od Czechówki po Bronowice, raz asfaltem, to znów po kocich łbach Starego Miasta lub niebrukowanymi ulicami przedmieść. Koniak w tym czasie podpływał ku górze naczynia, ściekał lekko oleistymi strużkami na dno i znów falował. Jeśli egzaminowanemu szło dobrze, pan Florczak mówił wreszcie: „A teraz prędko na dworzec!”. Kiedy auto stało już przed stacją, podnosił kieliszek i sprawdzał ręką, czy podłoga samochodu jest sucha. Gdy kandydat do fachu szoferskiego mimo szybkiej jazdy i kiepskich nawierzchni nie uronił ani kropli, wręczał mu lampkę ze słowami: „Na zdrowie, powinszować egzaminu”. Gdy nie – krzywiąc się, wylewał resztkę trunku za okno.

Pan Florczak gryzł się tylko, że jeśli któryś ze znanych sportowych mistrzów kierownicy otworzy w Lublinie szkołę nauki jazdy, jak to bywało w większych miastach, z pewnością odbierze mu uczniów. Aby zawczasu zabezpieczyć się przed stratami, zawarł nieformalną umowę z policją – lepszą niż polisa od odpowiedzialności cywilnej w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych. Ponieważ w komisariatach brakowało samochodów, a i większość mundurowych kierowców nie mogła się z nim równać, woził gliny swoim fiatem. W zamian nigdy nie dostawał mandatów, a w miarę możliwości podsyłano mu klientów.

– Dopóki któryś z pańskich uczniów nie wjedzie autem w szybę wystawową – zaznaczył tylko kiedyś podkomisarz.

– Oczywiście – zgodził się szofer.

A ponieważ witryny sklepów rozbijali co najwyżej chuligani, umowa obowiązywała już trzeci rok.

Kiedy odwieźli na pociąg profesora, pojechali na ulicę Przy Krzyżu. Taksówkarz zrozumiał z rozmowy tajniaków, że mieszkał tam jakiś znajomy Maciejewskiego. Na miejscu podkomisarz wysiadł z samochodu i dłuższą chwilę patrzył w ciemne okna na pierwszym piętrze. Potem zdecydował się zadzwonić do dozorca. Czekał kilka minut, nim cieć doczłapał i uchylił bramę.

– Czego? – warknął na widok gęby Zygi. – Wynoś się pan, bo wezwę policję.

Dopiero kiedy zobaczył blachę Maciejewskiego, szerzej otworzył drzwi. Zapytany o coś pokręcił głową i rozłożył ręce. Podkomisarz wrócił do auta.

– Cholera, nie ma go! – warknął. Był pewny, że mecenas nie zniknie z miasta i równie dobrze mógłby go rozpytać jutro. A jednak chciał to mieć za sobą, przekonać się ostatecznie, jak bardzo umoczonej jest jego przyjaźń.

– Może „Frascati”, panie kierowniku? – podsunął Zielny.

– Nie, Lennert tam nie chadza, raczej jakaś kochanka. Poczekajmy.

Florczak zgasił światła. Noc była wprawdzie dość ciepła, ale nieprzyjemna – wilgotna i mglista, bo choć wiał wiatr, nie zdołał rozpuścić chmur. Światło latarni, tak jak wcześniej reflektorów, ledwo przebijało się przez gęstą jak wata zasłonę, księżyc zniknął – miał za mało watów.

Zyga kilka razy wychodził na trotuar. Palił oparty o krzyż wyznaczający podobno dawne rogatki miejskie i nasłuchiwał, czy nie zbliża się jakiś wóz. Jednak mgła pochłaniała nie tylko światło, również dźwięki. Cisza aż dzwoniła w uszach. Patrząc na trzech policjantów, pan Florczak uznał, że jest podejrzanie cicho.

Minuty czekania ciągnęły mu się niemiłosiernie. Taksówkarz chętnie by poczytał gazetę przy latarce, ale podkomisarz kazał ją zgasić. W końcu Maciejewski nie wytrzymał.

– Jedź pan, panie Florczak. Zrobimy rundkę po mieście.

Kierowca odetchnął z ulgą. Spojrzał na zegarek i zdziwił się – dochodziła dopiero trzecia. Był przekonany, że stali tu co najmniej od godziny, nie kwadransa. Wolno podjechał do skrzyżowania i skręcił w prawo, w stronę teatru. Nagle gdzieś z tyłu, chyba z Szopena, wyjrzało światło reflektorów, a za chwilę szofer zobaczył bordowego Peugeota 201 – prawdziwe cacko, choć przymałe na taksówkę. Jego kierowca chyba chciał skręcić w tę samą stronę co oni, ale raptownie przyhamował, jakby się zawahał.

Pan Florczak też zdjął nogę z gazu. Przez moment dwa samochody stały jak dwa obce sobie psy – niepewne, czy zacząć ujadać, czy merdać ogonem.

– Robi mi drogę czy jak? – mruknął zdziwiony taksówkarz. – Ma pierwszeństwo. A

miejsca na pluton wojska...

Zaburczał silnik i peugeot ruszył.

– No to za nim, panie Florczak! – rozkazał głośno podkomisarz.

W omiecionym reflektorami taksówki bordowym aucie na pół sekundy pokazała się sylwetka kierowcy. Zyga mógłby przysiąc, że widzi Lennerta, jednak przeczyły temu sumiaste wąsy. Tablicy rejestracyjnej nie zdołał dojrzeć.

– No już! Za nim! – powtórzył Maciejewski.

– Jak w amerykańskim filmie! – zaśmiał się Zielny.

– Tak właśnie, amerykańskim – przytaknął z przekąsem Zyga. – *Let's go, mister Florczak!*

* * *

Kierowca peugeota najpierw przemknął szerokimi i pustymi Alejami Zygmuntowskimi w stronę robotniczej dzielnicy Bronowice, minął niewielki park miejski i osiedle. Potem skręcił ostro we Wrońską przylegającą do lotniska obok fabryki samolotów Plagego i Łaskiewicza. Później zwolnił, telepiąc się na niebrukowanym Majdanie Tatarskim. Jadący za peugeotem pan Florczak drżał o resory swojego fiata.

– To na nic, zatrzymujemy go – stwierdził podkomisarz. – Da pan radę go wyprzedzić?

– Tu? No bez żartów! – prychnął Florczak, raz po raz to dodając gazu, to zdejmując nogę z pedału, bo koła zaczynały buksować na coraz bardziej błotnistej uliczce.

Wreszcie dojechali na jako tako utwardzony tłuczonym kamieniem odcinek drogi między wiejskimi domkami. Za płotami rozszczękały się kundle, obudził się nawet jakiś kogut. Bordowe auto przed nimi znów skręciło w prawo, w stronę miasta. Za ogrodzeniem wyłonił się oświetlony latarniami hangar i dwa stojące przy nim fokkery „siódemki” – jeden w zielonych barwach lotnictwa wojskowego, drugi najwyraźniej dopiero co złożony, jeszcze bez żadnych oznaczeń.

Pan Florczak dodał gazu. Wjechali między place budów Nowego Kośminka i spokojne skupiska podmiejskich domków z ogródkami. Peugeot kierował się do nowego mostu na ukrytej za sadami rzeczce Czerniejówce. Wreszcie gdy dotarli już do willowej dzielnicy Dziesiąta, auto wyrwało do przodu, pędząc szeroką ulicą Bychawską w stronę śródmieścia. Fiat Florczaka nie miał z nim szans. Obłok spalin peugeota ginał we mgle, opary tłumiły nawet warkot silnika oddalającego się samochodu.

– Szlag! – Zyga walnął się pięścią w udo. – Jedź pan na najbliższy komisariat.

– Dobra, to najlepiej kolejowy. – Florczak odetchnął z ulgą. Najwyraźniej ta nocna wyprawa miała się ku końcowi, a wóz był cały.

Mijali coraz wyższe kamienice wciśnięte między niewielkie fabryczki, krótkie przecznice urywające się po kilkunastu metrach i prowadzące wprost w kartoflisko. Wreszcie po lewej pokazała się szersza ulica Nowy Świat i bocznicą kolejowa. Peugeot zostawił ich daleko w

tyle, ale na komisariat przy dworcu było blisko.

Reflektory taksówki zajrzały już w głąb wiaduktu pod torowiskiem, omiotły potężne słupy wyłożone glazurą, gdy nagle po prawej zobaczyli kilka biegnących postaci. Z ciemnej ulicy Garbarskiej przy drożdżowni usłyszeli strzały, jeden z pocisków z gwizdem poszedł rykoszetem po bruku. Fiatem zarzuciło.

– Dostał pan? – Podkomisarz złapał taksówkarza za ramię.

– Kurwa, a bo ja wiem? – sapnął Florczak.

Jeszcze nim zahamował z piskiem opon, Zielny stanął na stopniu auta i wystrzelił w powietrze.

– Stój, policja! – Wymierzył w jeden z cieni przemykających w świetle reflektorów. – Stój, bo strzelam!

Zyga wyskoczył z samochodu, odbiegł parę metrów. Nacisnął spust, jednak za późno – pocisk z przenikliwym piskiem odbił się od parkanu drożdżowni. Bandyci byli już po drugiej stronie ogrodzenia.

– Tam, panie kierowniku! – wskazał ręką Fałniewicz.

Bychawską biegło ku nim dwóch policjantów. Starszy zdejmował z ramienia karabin, młodszy dmuchnął w gwizdek.

– Wydział Śledczy, podkomisarz Maciejewski! – zawołał do nich Zyga. – Wezwijcie posiłki. Auto, ludzi, pistolety maszynowe. Ścigamy podejrzanych o morderstwo.

– Ale my jesteśmy z Dwójki – wysapał starszy z mundurowych, kiedy dotarli do taksówki. – Leć, Janek! – polecił młodszemu. – To kawałek drogi, panie... panie komisarzu...

– Czyście zdurnieli?! Fałniewicz, zajmij się tym – warknął Zyga i ruszył wzdłuż parkanu.

– Do komisariatu kolejowego, już! – wrzasnął tajniak. – Drogi służbowej wam się zachciało!

Młodszy policjant zawrócił, zaczął wspinać się na nasyp. Przeskoczył niezgrabnie tory i zniknął w mroku.

– A wy za mną! – polecił Fałniewicz starszemu posterunkowemu, odbezpieczając rewolwer.

W tym momencie zobaczył, że Florczak wyciąga spod siedzenia solidną łyżkę do opon i też zmierza w stronę drożdżowni.

– A pan co? – wydusił zdziwiony tajniak.

– Mam tu tak sam stać jak głupi? – Oburzył się taksówkarz. – Karoserię mi podziurawili.

– Tak jest, stój pan jak głupi, panie Florczak. Bo kierownik mi nogi z dupy powyrywa.

Wywiadowca popędził w głąb Garbarskiej. Zza parkanu dobiegły go odgłosy dwóch strzałów, ale nikt nie krzyknął ani nie upadł. Jedna z desek ogrodzenia była odsunięta. Mundurowy właśnie przepychał się przez szczelinę. Tajniak, spojrzawszy najpierw w otwór, potem na swój brzuch, schował broń i złapał się dłońmi szczytu parkanu. Usłyszał przykry dźwięk dartej tkaniny i odpryskującego guzika.

– Cholera! – mruknął. Podciągnął się na rękach.

Maciejewski przykucnął kilka metrów od ogrodzenia przy stojącej na ceglach, pozbawionej kół przyczepie samochodowej. Zielny, lekko wychylony z drugiej strony przyczepy, obserwował teren. Posterunkowy właśnie wyłaził z dziury w płocie, podpierając się karabinem.

Fałniewicz zrobił parę głębokich oddechów i przeskoczył. Zanim wylądował na nierównym bruku pokrywającym plac fabryczny, kątem oka dostrzegł rozbłysk wystrzału zza rogu nowego budynku rektyfikacji. Zielny i podkomisarz odpowiedzieli ogniem. Bandyta zdążył się jednak schować.

– Znajdźcie telefon! – rozkazał Zyga mundurowemu, kiedy do nich dołączył. – Może tam, w administracji. – Wskazał budynek przylegający do Bychawskiej.

Policjant skinął głową i pobiegł.

– Niżej głowa! – wrzasnął za nim Zielny.

Jednak mundurowy, najwyraźniej zobaczywszy jakiś ruch po drugiej stronie fabryki, wyprostował się jak na strzelnicy i przyłożył karabin do ramienia.

– Schył się! – krzyknął Maciejewski.

Za późno. Padł strzał, policjant wypuścił broń i skulony zwałił się na ziemię.

– Kurwa mać! – warknął podkomisarz. – Oślaniajcie mnie.

Po chwili we trzech byli już nad leżącym. Ten trzymał się za bok, poruszał nogami, jakby jechał na niewidzialnym rowerze i jęczał:

– Jezusie Nazareński, Jezusie Nazareński!

Światło odległej latarni odbiło się słabo na otwieranych drzwiach starej drożdżowni. Usłyszeli skowyt wyłamywanego zamka, zgrzyt zawiasów i kłapanięcie.

Zyga przycisnęła rannego do ziemi. Obmacał mu ranę.

– Tylko draśnięty – stwierdził. – Idziemy. Ma któryś latarkę?

– Przecież szliśmy na bal... – bąknął Zielny.

– Trudno, zatańczymy po ciemku.

Pobiegli schyleni wzdłuż budynku, przystając przy każdym z trzech okien sutereny, które dzieliły ich od schodów przy głównym wejściu. Fałniewicz ominął platformę wiszącego pod dachem dźwigu załadunkowego, doskoczył do brzegu ganku ogrodzonego metalową poręczą i wycelował w górę, w kierunku drzwi. Zielny i Maciejewski śmignęli obok niego i wskoczyli na schody z drugiej strony. Podkomisarz pierwszy zajrzał do środka.

Na wprost zobaczył jakiś wielki i ciemny kształt. Od dwu innych, stojących nieco dalej na prawo, odbijało się światło latarń przy Bychawskiej. Rozpoznał stalowe kadzie, które zapewne służyły do namnażania drożdży. Ten jakże pożyteczny proces zgorszyłby każdego bimbrownika, polegał on bowiem na tak intensywnym karmieniu i napowietrzaniu tych niewidocznych gołym okiem grzybów, że zamiast produkować alkohol, zajmowały się wyłącznie własnymi potrzebami. Teraz, o świcie, kadzie stały jak martwe.

Zyga wsunął się głębiej do hali i przywarł do ściany. Zielny doskoczył do pierwszego zbiornika, wystawiając rękę z rewolwerem. Fałniewicz był już w drzwiach. Nasłuchiwali.

Nagle szczeknęły przełączane kontakty i policjantów oślepił niespodziewany blask. Światło rozlało się po całej hali, a kadzie odbijały je jak soczewki, raziły w oczy niczym lampa na biurku śledczego.

Podkomisarz klęknął i wymierzył na ślepo. Dobiegł go odgłos strzału, ale kula zagrała tylko na metalowej pokrywie którejś kadzi, brzęknęła rozbita rykoszetem szyba. Minęło kilka sekund, zanim Maciejewski odzyskał wzrok na tyle, aby rozpoznać ludzkie sylwetki. Przetoczył się po betonowej posadzce przesyconej lekkim odorem siodu, kwasu i etanolu.

Huknęło sześć wystrzałów z różnych kierunków, ale żaden bandyta nie trafił. Choć byli przygotowani, lampy oślepiły ich tak samo jak tajniaków.

„Któryś tu pracuje albo pracował?” – uzmysłowił sobie Zyga. Dostrzegł wysoką postać ubraną w jasny płaszcz, która zniknęła w drzwiach na klatkę schodową.

– Tam jest! – zawołał. Podniósł się na kolana i strzelił.

Za późno, bo uciekający zdążył wybiec. Maciejewski wstał, ale wtedy z łoskotem otwarły się przesuwane wrota do sąsiedniego pomieszczenia. Zyga dojrzał trzy lufy.

– Padnij! – krzyknął do swoich wywiadowców, którzy już ruszali ku schodom.

Fałniewicz instynktownie odskoczył za kadź. Uderzył w nią barkiem, aż głucho zadźwięczała. Zielny był za daleko. Zawahał się, czy paść plackiem na brudną posadzkę – o pół sekundy za długo. Ktoś strzelił i wywiadowca, nie zważając na ubranie, z wysiłkiem zaczął się czołgać w stronę stalowego zbiornika.

– Panie kierowniku, Zielny dostał! – krzyczał Fałniewicz. – Zielny dostał!

Porozumieli się krótkim ruchem głowy. Kiedy ranny tajniak był już bezpiecznie ukryty za kadzią, Zyga skoczył na prawo, w stronę ściany frontowej, Fałniewicz ku tylnej. Podkomisarz w biegu raz po raz naciskał spust, aż opróżnił bębenek. Dopiero gdy ramię w ramię z tajniakiem siedzieli za kolejną metalową beką, nadstawił ucha. Nikt nie strzelał, zabręczało tylko rozbijane okno i ktoś zeskoczył na bruk, na dziedziniec fabryki. Maciejewski pospiesznie opróżnił magazynek z łusek i wepchnął po omacku trzy ostatnie naboje, jakie zostały mu w kieszeni. Przed nimi ktoś jęczał, pełznąc po posadzce.

Doskoczyli. Zyga przydeptał rannemu bandycie palce, aby nie mógł sięgnąć po leżący tuż obok rewolwer. Fałniewicz, trzymając swoją broń wyciągniętymi daleko w przód rękami, omiół wzrokiem pomieszczenie, do którego wpadli.

Stała tu jedna, za to olbrzymia kadź, a jej szczyt niknął w otworze w suficie. Z brzucha tej ogromnej beki wychodziła płatanina mosiężnych rur, które biegły ku głównej hali.

– Wracaj do Zielnego, nic już nie zwojujemy – rozkazał Maciejewski. Nie zważając na jęki i przekleństwa, przykuł postrzelonego do jakiegoś sterczącego ze ściany uchwyty, po czym kucnął obok rozbitego okna. Na zewnątrz nie było nikogo.

Wtem coś go tknęło i błyskawicznie odwrócił się z bronią gotową do strzału.

Za wielką kadzią dostrzegł dużo mniejszy kocioł, a na nim – wciąż ściskając grubą na dwa palce rurę, póležał jeszcze jeden bandyta. Zyga doskoczył do niego, jednak tamten nie wykonał żadnego ruchu. Popchnięty lufą rewolweru upadł na posadzkę. Z rany na piersi z cichym bulgotem wypłynęło nieco krwi.

Maciejewski podbiegł do Zielnego. Fańiewicz pomógł mu już usiąść i zatamował postrzał swoją chustką do nosa.

– Bładź jego stara mać, panie kierowniku... – wymamrotał Zielny. – Tu... Nowa marynarka... Prawie sto złotych dałem...

– Nie martw się, popielata. Do trumny na nic. Zresztą nas w mundurach chowają.

– Tajniaków też?

– Też. A pomyśl, jak ja będę wyglądał z koalicijką i Krzyżem Zasługi!

– Jak... Jak strażak w Boże Ciało, panie kierowniku!

– No, będziesz żył, Zielny. Widziałeś, który to był?

– Tam, zza tego baniaka. – Wywiadowca wskazał ręką wielką kadź, za którą leżał teraz trup bandyty. – Kurwa, panie kierowniku, jak kula trafi, to zawsze się wie skąd.

– Dobra. Fańiewicz, mów do niego.

Maciejewski znów poszedł do drugiego pomieszczenia, stanął nad trupem i wyjął z kieszeni chustkę. Podniósł przez nią rewolwer martwego bandyty i zbliżył się do drugiego, przykutego do ściany. To był młody chłopak, może dwudziestoletni, ale już zdążył dorobić się na pysku szramy od noża. Podkomisarz opróżnił do koperty bębenek podniesionego rewolweru, potem włożył broń w rękę rannego.

– No to dostaniesz co najmniej za usiłowanie zabójstwa policjanta na służbie – powiedział. Mocno zacisnął mu dłoń na kolbie i spuście, po czym ostrożnie schował dowód rzeczowy do kieszeni płaszcza. – Nie powiem, co zrobią ci za to klawisze w areszcie, bo cię ominie niespodzianka. To co, sypiesz współników czy chcesz, żebym ci tam pogmerał paluchem? – zapytał z uśmiechem, dotykając postrzelonego ramienia bandyty.

– Zobaczysz, glino, mam dobrego papugę. On cię zeżre!

– Ta? A świadków też masz?

Zyga wcisnął palec nieco głębiej. Ranny przez pół minuty wył jak pies na łańcuchu, a potem zaczął mówić tak dużo i szybko, że nawet Fańiewicz nie nadażyłby z notowaniem.

* * *

Było tuż po piątej, kiedy niemal kompletny skład nocnej zmiany lubelskiej policji rozbiegł się po ulicach Kośminka, szukając bordowego peugeota. Nieliczni przechodnie, którzy dopiero co wstali do pracy, ledwie wychodzili z bramy, zaraz byli legitymowani i spisywani. Jeśli któryś miał pecha nosić wąsy, mundurowi stanowczo prowadzili go na róg Garbarskiej i Długiej, gdzie stała więźniarka, a przy niej ćmił papierosa za papierosem podkomisarz Maciejewski.

Zielnego i rannego posterunkowego zabrała karetka. Fańiewicz pobiegł telefonować, a postrzelonego bandytę pewnie zszywali bez znieczulenia w ambulatorium na Zamku. Zyga przechadzał się wściekły pod niewielkim sklepem ARTYKUŁY SPOŻ. I RÓŻNE, którego właściciel co chwila niepewnie wyglądał z okna na pierwszym piętrze.

Aresztowany, Maciej Grabik *alias* Graba, zdążył wyśpiewać całkiem sporo, zanim – już zgodnie z procedurami – przejęli go mundurowi. W jego zeznaniach też pojawił się tajemniczy wąsal w jasnym płaszczu, którego Maciejewski przez moment widział na własne oczy. Jak poprzednio, przy cenzorze, to on nadał robotę ferajnie z Kośminka – tym razem mieli na Bychawskiej załatwić jednego gościa jadącego taksówką z walizką pełną forsy z przedmieścia Dziesiąta. Facet jednak się nie pojawił, no a jedyna taksówka, którą dostrzegli, wiozła gliny...

– Dokładniej, jak wyglądał ten wąsal? – wypytywał Grabę podkomisarz.

– Niby jak frajer, ale kiedy dostał kosą po łapie, to walnął jak bokser. No dziany taki, panie władzo. Ja żem go nigdy tak całkiem z bliska nie widział.

„Kiedy dostał kosą po łapie, to walnął jak bokser” – powtórzył w myśli Zyga. Znow stanął mu przed oczami Lennert opowiadający o niedzielnym pogryzieniu przez pekińczyka Salwiczowej.

– Kiedy to było? No gadaj!

– W niedzielę w nocy. Puść pan! – zwinął się bandyta, próbując uwolnić ramię.

– Nie tak prędko. A ile żeście zgarnęli w poniedziałek? Odświeżę ci pamięć: frajer dźgnięty kosą na Żmigrodzie pod burdelem...

– Nie wiem, nie ja żem liczył. Ale w kieszeni za parkanem miał kilo forsy. Dwudziestki, nawet setki... Nie ja robiłem na mokro! Chciałem tylko skubnąć frajera. Zaiwaniał przez miasto taki dumny, jakby mu dała Kasztanka marszałka. Sam się prosił, panie władza.

Że Jeżyk wziął łapówkę – to było całkiem pewne. Tylko po co łąził po nocy z pieniędzmi za pazuchą? Widać woda sodowa całkiem mu poszła do głowy.

– A na Włociańskiej to co? – zagrał bluffem Maciejewski.

– Nie, no jak Boga kocham, że nie! Na Włociańskiej to ja żem tylko tycował w bramie. Na górę to on tam poszedł z innymi. Ja uczciwy złodziej jestem. Prawdę mówię, żebym zdechł!

– To też da się załatwić... A kto był z nim bliżej? No kto?! – Zyga wsadził mu pół palca w ranę.

– Bigaj Stanisław... Kusyyy!!! – zawył bandyta. Potem zemdłał, albo dobrze udawał, i Zyga zakończył przesłuchanie.

Teraz rzucił na bruk niedopałek sokoła. Papieros syknął, upadając na wilgotną ulicę, i zgasł. Nagle, właśnie gdy sięgał po następnego, usłyszał policyjny gwizdek, a na Długą wtoczył się bordowy peugeot. Patrząc wprost na tablicę rejestracyjną, Zyga miał już całkowitą pewność, że to wóz mecenasa. W środku było czterech mężczyzn. Kiedy auto się

zbliżyło, zobaczył, że za kierownicą siedzi... Lennert z wąsami.

„Wąsał farbowany!” – pomyślał wściekle Maciejewski i wpadł do kabiny więźniarki.

– Ruszaj! – rozkazał kierowcy. – Zastaw drogę.

Szofer w ciągu kilku sekund oblał się zimnym potem, szarpiąc raz po raz rozrusznik. Jednak silnik tylko pojękiwał i nie chciał zaskoczyć.

– Szmelc, cholera, szmelc, panie komisarzu! – złościł się policjant, próbując uruchomić wóz.

Zyga wyskoczył z szoferki.

– Lennert, stój! – krzyknął, wybiegając na środek ulicy. Celował między elektryczne ślepia auta, ale lufa rewolweru drżała. Tymczasem ktokolwiek siedział za kierownicą bordowego peugeota, zmienił bieg i auto zawarczało głośniejsze, rzucając się wprost na podkomisarza.

Maciejewski dwukrotnie wystrzelił w powietrze.

– Lennert, stój! – znów wrzasnął, celując w maskownicę na pysku samochodu.

Sam nie wiedział, kiedy nieświadomie przyjął pozycję bokerską – zacisnął lewą pięść i wysunął ją do przodu, przed prawą uzbrojoną w rewolwer. Czuł, że rękawiczka lepi się do spotniałej dłoni.

– Lennert, stóóój!!!

I znalazł się na bruku, niemal wpadając nosem do cuchnącego rynsztoka. Auto przemknęło obok.

Zyga nie miał pojęcia, w jaki sposób zdołało go potrącić i odrzucić na bok. Zrozumiał wszystko, dopiero gdy przekręciwszy głowę, zobaczył leżącego za nim Fałniewicza. Kiedy ten potężny tajniak zdołał doskoczyć i zepchnąć go z drogi pojazdu, w emocjach nie zdążył zarejestrować.

– Nic panu nie jest, kierowniku? – spytał Fałniewicz, podnosząc podkomisarza.

– Nie wiem... Mam ci dziękować czy cię opieprzyć?

– Dziękować. Ściągnąłem wóz z wojewódzkiej. Tam. – Wskazał ręką róg Równej, z której wyjechał potężny czarny CWS Kareta.

– Brawo, Fałniewicz! – Maciejewski podniósł zabłocony kapelusz i wcisnął go na głowę.
– Do auta!

Wskoczył na siedzenie obok szofera, Fałniewicz skinął na jednego z mundurowych z pistoletem maszynowym i obaj usiedli z tyłu. Kierowca, zażywny przodownik z puciołową twarzą, od razu wcisnął pedał gazu.

CWS z impetem skręcił w Garbarską. Maciejewski musiał obiema rękami uchwycić się siedzenia, Fałniewicz wpadł na mundurowego, który cicho zaklął. Peugeot zyskał spory kawałek – Zyga dojrzał go przy moście na Czerniejówce. Szofer przyhamował przed torami, potem znów dodał gazu.

– Kudreła – przedstawił się.

Tymczasem małe auto Lennerta gładko przeskoczyło most i na chwilę znikło za skrzyżowaniem ulicy. Pojawiło się znowu, kiedy CWS wjechał na prosty odcinek drogi i kamienice przestały zasłaniać im widok.

– Szlag, nie przypomniałem, żeby zawiadomili posterunek na Dziesiątej! – warknął Fałniewicz.

– Nie skręci na Dziesiątą, to byłoby za proste... – Zyga podrapał się w głowę pod kapeluszem.

– Tak jest, panie komisarzu – poparł go Kudrela. – Jak nie jest głupi, będzie chciał nas wykiwać przed wiaduktem – dodał niezmiennym flegmatycznym tonem, podczas gdy jego ręce niczym automat wykonywały szybkie manewry kierownicą.

Koła zahuczały głośno na moście, potem szofer nieco przyspieszył. Byli jakieś pięćdziesiąt metrów za ściganym autem, pędząc równolegle do torów. Na nasypie zagwizdał głośno parowóz ciągnący kilka wagonów wyładowanych burakami cukrowymi, z ulicy uskoczył w bok robotnik kolejowy w spodniach czarnych od smaru. Kierowca włączył syrenę.

– I teraz uważaj pan, co będzie, panie tajniak – mrugnął do lusterka. – Dwadzieścia złotych, że wytnie nam numer. Stoi?

– Jak strzelec na warcie – zgodził się Fałniewicz.

Maciejewski zerknął na niego kątem oka. Wywiadowca musiał być bardzo zdenerwowany, skoro wpadł w ton żartów Zielnego. Potem Zyga skupił się na drodze przed sobą.

Peugeot zjechał nieco na prawo, jakby chciał sobie zapewnić większy promień skrętu w kierunku Dziesiątej. Nagle, gdy był tuż przed prawie prostopadłym do Garbarskiej tunelem pod torami, błyskawicznie odbił w lewo i zarzuciwszy tyłem, zniknął pod wiaduktem.

– O skurwysyn! – z uznaniem pokręcił głową Fałniewicz.

– Dupę mamy grubszą, ale też umiemy nią ruszać. – Kudrela raptownie przyhamował przed skrzyżowaniem i jednocześnie zaczął kręcić kółkiem. Wóz przechylił się, kawałek przejechał bokiem, pisk opon zagłuszył nawet policyjną syrenę. Po chwili auto stanęło przednim zderzakiem na wprost tunelu. Kierowca wrzucił pierwszy bieg i znów ruszył.

Mały peugeot próbował powtórzyć podobną sztuczkę za wiaduktem, wjeżdżając pod ostrym kątem najpierw na ciasny Plac Bychawski niedaleko kina „Venus”, a potem w szeroką Aleję Piłsudskiego. Tu uciekający mieli więcej szczęścia. Jakiś gazeciarz, robotnik spieszący do pracy i baba z bochenkiem chleba pod pachą zawczasu uskoczyli z drogi. Jednak spłoszony koń przeciągnął dorożkę niemal na środek jezdni, zanim woźnica zdołał go opanować. CWS musiał ostro hamować, ale i tak omal nie wjechał prosto na szkapę.

Kudrela wrzucił wsteczny i klnąc pod nosem, zakręcił mocno kierownicą.

– Wyłączcie syrenę! – krzyknął mu do ucha Zyga, spoglądając przez okno na oszalałe z przerażenia zwierzę.

Z ruchu warg dorożkarza dało się wyczytać całą litanię o matce, żonie i licznych dewiacjach obu szoferów, jednak w końcu zawrócił jakoś swojego konia do krawężnika.

– I ja cię, fajansiarzu, też – mruknął przodownik za kółkiem.

Kiedy z wyciem syreny wpadli na pustą jeszcze aleję ku czci marszałka, bordowe auto wchodziło już w kolejny zakręt.

Tu jednak CWS pokazał, co potrafi. Pojemniejszy silnik pracował na pełnych obrotach i dystans między samochodami malał z każdą chwilą. Fałniewicz pedantycznym ruchem zdjął kapelusz i położył go sobie na kolanach. Odkręcił w dół szybę, wychylił się z rewolwerem w garści.

– W opony – nakazał Maciejewski. – Chcę go żywego-

– Nie trzeba, niech pan patrzy, panie podkomisarzu! – ucieszył się kierowca, wskazując ręką w stronę rzeki.

Do wąskiego drewnianego mostu na Bystrzycy od śródmieścia zbliżał się ostrożnie ciężarowy berliet. Wiatr szarpał brezentowym daszkiem nad szoferką, a przytrzymujące go linki sprawiały wrażenie, jakby zaraz miały się zerwać. Jadący ciężkim wozem starszy mężczyzna osłaniał oczy, najwyraźniej podmuchy zimnego jesiennego powietrza idące znad wody niemal go oślepiały.

Bandyci nie mieli dokąd uciekać. Z przodu most zaraz zablokuje im ciężarówka, z tyłu policja. A po bokach żadnej, choćby najmniejszej przecznicy, tylko rozmiękle po deszczach łąki.

Zażywny przodownik za kółkiem CWS-a odprężył się, przyhamował. Już zamierzał ustawić auto w poprzek jezdni, gdy nagle stało się coś, czego nie przewidzieli.

– O kurwa! – jęknął Zyga.

Kierowcy peugeota nie zabrakło zimnej krwi. Widząc, że nie ma innej drogi, wcisnął wściekle klakson i wpadł na most. Choć wydawało się to murowanym samobójstwem, bandyci dobrze wykorzystali swą jedyną szansę. Prerażony szofer berlieta ocknął się i wrzucił wsteczny bieg. Mimo że stara ciężarówka nawet do przodu nie miała prawa jechać szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę, zdążył ją nieco cofnąć. Małe bordowe auto przesmyknęło się tuż przed zderzakiem berlieta.

Chwilę później zrobił to samo policyjny CWS, musiał jednak wjechać na chodnik i wytracić prędkość.

– Przytomniak, psiakrew! – warknął Kudrela.

Zaraz przyspieszył, zmienił bieg i samochód zaczął się wspinać pod górę stromej ulicy. Mniej pojemny silnik peugeota radził sobie z tym gorzej. Dystans był coraz mniejszy.

Fałniewicz znowu wychylił się z rewolwerem, ale klnąc pod nosem, szybko schował głowę do środka. Z kamienic przy Dolnej Panny Marii i Strażackiej wychodzili już spieszący do pracy ludzie. Tajniak wolał nie ryzykować strzelaniny.

– Pojedzie na Nałęczów – powiedział z przekonaniem Maciejewski. – Będzie chciał nas

tam wsadzić na któreś drzewo.

– Ja przynajmniej tak bym zrobił – kiwnął głową szofer.

* * *

Peugeot wjechał na prostą jak strzelił szosę kraśnicką. Swierżawin wściekle zakręcił kierownicą. Wiedział już, że policyjny szofer nie da się wziąć na byle numer. Ale był zadowolony, że wyciągnął wnioski z historii ze zburzoną cerkwią i w swoim pokoju w „Europejskim” spędził wiele godzin pochylony nad planem Lublina, aż nauczył się go na pamięć niczym taksówkarz. Inaczej nie zdołałby dotrzeć na roгатki miasta.

Teraz nieco odetchnął – mapę drogową i kolejową miał w głowie od dawna, w końcu to była część jego zawodu.

Skreślił raptownie na Nałęczów, licząc, że uda mu się wpakować gliny na drzewo albo zgubić na przejeździe kolejowym. Potem planował porzucić auto, przeczekać jakiś czas choćby w stogu słomy i wskoczyć do pierwszego pociągu towarowego jadącego w stronę Warszawy. Nieraz wychodził cało z podobnych opresji, licząc tylko na opiekę boską i łut szczęścia.

„Tylko co się właściwie stało?! – myślał, manewrując kierownicą, żeby nie zgubić resorów na wybojach. – Profesorek, job jego mać!”

Jeszcze dziesięć godzin temu wszystko szło zgodnie z planem. Żadnemu glinie nawet do łba nie wpadło, że w nocy z soboty na niedzielę Swierżawin odwiedził redaktora Bindera, a potem najspokojniej w świecie zameldował się w „Europejskim” pod nazwiskiem Zagorski. Zresztą gdyby zwietrzył coś podejrzanego, nie brakowało ani innych hoteli w Lublinie, ani innych fałszywych dokumentów w kieszeni Swierżawina.

Sprawy trochę skomplikowały się w środę. Zabezpieczenie transportu z wykopalisk na Zamku poszło sprawnie. Tuż po dziesiątej w nocy ciężarówka z napisem: W. GRELAK – PRZEPROWADZKI, obładowane żydowskim złotem wyjechały szosą warszawską. Wtedy Swierżawinowi niespodziewanie doszła kolejna robota na Włociańskiej. Zwykle niechętnie zawierał nowe znajomości, jednak gdy chciał, umiał niemal błyskawicznie pozyskać przyjaźń przygodnie poznanych ludzi, zwłaszcza niezbyt rożgarniętych jak ten Gajec. Mierzili go tylko ci knajacy, na których tak nalegał jego obecny szef. Ale zrobił swoje i zdążył jeszcze na przedstawienie do kabaretu na Szpitalnej. Pokazał się też w kilku nocnych knajpach, dał suty napiwek fordanserce „Pod Strzechą” i wrócił nad ranem do „Europejskiego”, udając nie mniej wstawionego niż reszta gustujących w życiu nocnym hotelowych gości.

Za to w czwartek wszystko szło jak po maśle. Co prawda Achajczyk nie dał się kupić, ale taki wariant został przewidziany. Podczas gdy profesor pracował w zamkowej kaplicy, Swierżawin zdążył odegrać rolę elektryka, a potem – w „Europie” – pijanego niezgułę. Idąc do pokoju, zobaczył gliny przed numerem Achajczyka, więc nawet się nie przebrał, tylko upchał po kieszeniach fałszywe paszporty i swoje notatki, po czym od razu ruszył na miasto

na wszelki wypadek pogłębić swoje alibi.

W teatrze wieczorny spektakl dawała „plejada warszawskich komików i aktorów charakterystycznych” – jak można było wyczytać z afisza. Jednak Swierżawin przekonał się już nieraz, że mało co wypada tak pretensjonalnie i prowincjonalnie jak gościnne występy stołecznych artystów trzeciego sortu. Zresztą jeśli ktoś bywał w takich teatrach jak Maryjski, Stanisławskiego albo Bolszoj!... Dlatego właśnie wyszedł, nie czekając końca pierwszego aktu.

Za to kabaret „Frascati” na Szpitalnej po raz wtóry pokazał klasę. Nie występowała wprawdzie ta zgrabna tancerka, którą przyuważył poprzednim razem. Za to siedząc tuż przy scenie z przodu sali – tak by wiele osób mogło go zapamiętać – mógł stwierdzić, że i pozostałym girlsom niczego nie brakuje. Wykonywały właśnie bardzo zabawny numer o ułanach, wysoko podnosząc nogi niczym rasowe klaczki, kiedy Swierżawin poczuł, że ktoś klepie go w ramię.

Odwrócił się i dostrzegł tego Polaczka, swojego utrapionego zleceniodawcę.

– Wreszcie pana znalazłem. Wyjdźmy do hallu – zażądał tamten.

Swierżawin zerknął na zegarek. Minęło pół do drugiej – przedstawienie dobiegało końca, a zbliżała się pora na mniej artystyczną, choć równie interesującą część nocy. Spojrzał jeszcze z pewnym żalem na tancerki kłusujące po scenie w kusych spódniczkach i mundurowych kurtkach pełnych fantazyjnych akselbantów. Upił ostatni łyk szampana i rzucił banknot na stół.

Kiedy znaleźli się przy oknie obok wyjścia, szef warknął mu do ucha, nie siląc się na pozory kindersztuby:

– Spierdoliłeś robotę! Achajczyk żyje, a w hotelu pełno policji.

– Nie pasali my razem gąsek, proszę szanownego pana – zauważył Swierżawin – więc grzeczniej. Nie jesteśmy zresztą w mordowni. Policję sam widziałem, ale to nie świadczy, że...

– Tym razem świadczy – przerwał mu rozmówca.

– Co zawiodło? – spytał rzeczowo Rosjanin.

– To w tej chwili równie mało ważne co pańskie nienaganne maniery! – prychnął zleceniodawca. – Musi pan dokończyć to, co zaczął. Sprowadziłem panu auto, stoi przed teatrem. – Wskazał ręką za szybę, gdzie bordowy peugeot zdawał się świecić jak burdelowa latarnia.

– To ma być auto do roboty?! – prychnął Swierżawin. – Pan zwariował! Równie dobrze możesz mnie pan obwiesić bombkami jak choinkę.

– Nie rozumie pan? – Rozmówca złapał go za kłapy marynarki. – Skoro Achajczyk żyje, to policja wie o mojej roli w... naszym przedsięwzięciu. Pan ich odciągnie, a ja... ja coś wymyślę. Odciągnie pan! I dlatego taki samochód jest w sam raz.

– Nie podoba mi się ten plan. – Rosjanin jeszcze raz rzucił okiem na peugeot. Błyszczał

się jak sobaczyj kutas, ale wyglądał na porządny, zrywny i szybki wóz. – Jeśli pan nie kła... nie myli się, powinienem znaleźć profesora.

– Jeśli ja wpadnę, możesz pan pogwizdać na swoje honorarium. I kryć nikogo też nie zamierzam. – Mężczyzna rozluźnił krawat. – A poza tym pana też mogą już szukać. Pojeździsz pan po mieście i jak będzie pan miał ogon, odciągnie go pan za opłotki. I... – Zleceniodawca uśmiechnął się półgębkiem. – I wróci pan Bychawską, koniecznie przejeżdżając obok rogu Garbarskiej. To ważne. Wie pan, gdzie to jest?

– Wiem. Co dalej?

– Tam ktoś się nimi zajmie. Myślę, że nie przestraszy się pan wystrzałów. Potem proszę skrócić w Garbarską i pomóc chłopakom. No a gówniarze będą pewni...

– ...że to ich tajemniczy wąsaty szef – odgadł Swierżawin. – Tak, tak – dodał, widząc zdziwioną minę szefa. – Nie docenia mnie pan. Jestem już kilka dni w waszym zapyziałym mieście, a to dla mnie dość, by wiedzieć, o czym rozmawia przy wódce tutejsza granda. I przypuszczam również, że nie pokazywał się im pan za dnia ani przy dobrym świetle...

– Jak pan dalej będzie taki bystry, damy sobie radę. No rusz się pan, nie ma czasu!

– *Poniatno*. Daj pan kluczyki.

I teraz Swierżawin dociskał gaz do dechy, pędząc w stronę Nałęczowa. Wciąż nie rozumiał, w jaki sposób Achajczyk zdołał się wymknąć. Jego myśli krążyły własnymi drogami, nie podsuwając żadnych wniosków. Przypomniawszy sobie nawet, że przed trzydziestu laty matka sprząła go, gdy zagadał się z chłopakami z sąsiedztwa i wpadł do cerkwi kilka minut po tym, jak pop zaczął odprawiać mszę. Tak, spóźnił się również w ostatnią niedzielę...

– Siedź na dupie, gówniarzu! – warknął Swierżawin do jednego z grandziarzy, który właśnie otworzył szybę i wystawił za okno rewolwer. Młodemu bandycie łapy aż drżały z podniecenia.

– Zdejmę szofera i się rozkracza! – zarechotał chłopak. – A co? Założy się pan?

– Założę się, że jak auto podskoczy, to możesz władować kulę w nasze tylne koło. W najlepszym razie zmarnujesz nabój, a drugiego nie wysrasz. Zapamiętaj sobie, *swolocz*, strzela się wtedy, kiedy ma się szansę trafić.

* * *

Szosa nałęczowska biegła na zachód, to wspinając się pod górę, to opadając. Była pusta, tylko bezlistne drzewa wyłaniały się z porannej mgły tuż na poboczu, chwilami niebezpiecznie blisko omijającego wyboje samochodu. Kudrela kłął pod nosem, kiedy ścigany peugeot zniknął za zakrętem, dzięki małym rozmiarom sprawniej lawirując między dziurami w nawierzchni pamiętającej jeszcze cara. Jednak na prostych odcinkach CWS szybko dopędzał bordowe auto.

– Macie mapę drogową? – zapytał Maciejewski.

– W schowku – odparł kierowca, nie odrywając wzroku od szosy.

Trasa była oznaczona czerwonymi kreskami: „droga poboczna, w większości wypadków zdatna także dla automobilistów”, jednak okazała się taka tylko w teorii. Albo w „mniejszości wypadków”. Pod Tomaszowicami wpadli na całkiem rozjechany odcinek, żwir chrzęścił pod kołami, a wóz co chwila podskakiwał, osuwając się w koleiny. Kierowca znów włączył syrenę. Przemknęli przez wieś ponad czterdzieści na godzinę odprowadzani wściekłym ujadaniem kundli. Napatoczył się też miejscowy policjant na rowerze, ale nim odstawił swój wehikuł pod płot i ściągnął przewieszony przez plecy karabin, oba auta zdążyły go minąć.

Zyga studiował mapę, próbując przewidzieć, co zrobią uciekający.

– Wąwolnica, tam pewnie odbije w lewo na Niezabitów. Na szosę puławską nie będzie się chyba pchał. Cholera, warto by zawiadomić tamtejszy posterunek. Wrócić do wsi? – zapytał szofera.

– Lepiej zatelefonować ze stacji w Motyczu. Jak się uwiną, może zdążą zablokować szosę. No bo co? Zestawić dwie furmanki i będzie!

– Zdążą albo i nie. Dobra, dalej!

Za Tomaszowicami zaczęły się kolejne ostre zakręty omijające wysokie skarpy wąwozów. Nawierzchnia była jednak lepsza i przyspieszyli do prawie siedemdziesięciu na godzinę. Silnik CWS-a warczał na wysokich obrotach. Zyga siedział wciśnięty w oparcie, powstrzymując mdłości.

– Może teraz spróbować, panie kierowniku? – Fańiewicz wyrzał przez okno i przymierzył się do strzału. Mundurowy z pistoletem maszynowym też opuścił szybę po swojej stronie. Do auta wtargnęło ciężkie, wilgotne powietrze i przejmujący chłód.

– Nie, nie chcę miazgi na szosie – powiedział Maciejewski.

Zza kolejnego zakrętu wyjechali na prosty odcinek drogi. Po lewej pokazał się nasyp z torami kolejowymi, gdzieś przed nimi była już blisko niedawno zbudowana stacja w Motyczu. Nagle przez warkot silnika przedarł się gwizd parowozu.

– Jasna cholera! – zawołał kierowca. – Widzi pan?

Nieco na prawo przed nimi, od Warszawy i Puław, mgła wyraźnie gęstniała. Nie, podkomisarz też dostrzegł, że to nie była mgła, ale kłęby dymu z lokomotywy. Peugeot rozpaczliwie wyrwał do przodu, widać jego kierowca również zauważył, że to ostatni moment, aby przeskoczyć tory, nim dróżnik opuści szlaban.

– Nawet jak on zdąży, my nie przelecimy – pokręcił głową szofer. – Bez szans, panie komisarzu.

– Fańiewicz! – Zyga wykręcił głowę do tyłu. – Jak przyhamujemy, wyskakuj i wołaj do dróżnika, żeby dzwonił do Wąwolnicy. Cholera! – przypomniał sobie. – Budka po drugiej stronie torów!

Już było widać biało-czerwony wolno opadający drąg. Pociąg zbliżał się do stacji...

Nagle peugeot podskoczył na wyboju i wytracił nieco prędkość. Niby niewiele, może pięć, może dziesięć kilometrów na godzinę, ale kierowca uciekającego samochodu musiał

dostrzec, że nie zdoła przemknąć przed lokomotywą, nawet jeśli staranuje opuszczony szlaban. W dodatku coś źle zadziało w mechanizmie rogatki. Zamiast iść równo w dół, drąg przeskoczył kilka trybów i zachwiał się niczym wędka podczas brania – tak zdążył o tym pomyśleć Maciejewski.

Bordowe auto zatrzymało się z piskiem opon i wyskoczył z niego mężczyzna w jasnym płaszczu. Pędem rzucił się w stronę jadącego pociągu.

– Z wozu! – wrzasnął Zyga, naciskając klamkę. – Stój, policja! Bo będę strzelał! Stój, Lennert!

CWS zablokował drogę. Kudrela zaciągnął ręczny i stanął z pistoletem w ręku na szerokim stopniu tuż za kołem zapasowym. Mundurowy puścił krótką serię w powietrze. Fańiewicz już biegł w kierunku peugeota, mierząc w tylne okno auta.

– Uwaga! – ostrzegł tajniaka Maciejewski. – Lennert ma broń!

Bandyci, którzy pozostali w wozie, jakby zgłupieli. Dopiero po chwili dotarło do nich, że szef ich wystawił, a sam chce wskoczyć do pociągu i uciec. Któryś otworzył drzwi...

Znów zagwizdała przenikliwie lokomotywa. Maciejewski dostrzegł schyloną sylwetkę człowieka, który już sięgał ręką do poręczy wagonu trzeciej klasy.

– Lennert, rzuć broń! – krzyknął podkomisarz.

Wąsal odwrócił się i oceniwszy, że zdąży jeszcze wskoczyć do pociągu, przyklęknął z pistoletem w wyciągniętej ręce. Strzelił dwa razy.

Kudrela pierwszy odpowiedział ogniem, osłaniając mundurowego z automatem, który biegł skulony wzdłuż torów. Fańiewicz stał w rozkroku na wysokości tylnych kół peugeota, celując w szybę od strony pasażera. Podkomisarz chciał ścigać uciekającego, ale musiał pomóc tajniakowi. Podbiegł do peugeota, zajął pozycję po skosie przy lewym kole z tyłu auta.

– Rzucić broń! Ręce do góry! – krzyknął.

Kątem oka zarejestrował, że kilkunastu pasażerów pociągu ciśnie się do okien. Jakaś idiotka nawet podsadzała dziecko. A ścigany, stojąc już na stopniu wagonu, znów strzelił.

– Szlag! – warknął Zyga. – Uważać na pociąg! Policjant z pistoletem maszynowym upadł w zeschnięte badyle obok torowiska.

„Dostał!” – pomyślał podkomisarz.

Jednak nie, po chwili mundurowy przyklęknął i puścił dwie krótkie serie. Wąsalowi w jasnym płaszczu pistolet wypadł z ręki, mężczyzna wyprostował się, potem wygiął do przodu, jakby chciał koniecznie obejrzeć ostatni wagon...

– Leenneert! – wrzasnął Zyga. Rzucił się w jego stronę, ale zawrócił. Musiał ubezpieczać Fańiewicza.

Wąsal spadł ze stopnia na torowisko, stoczył się z nasypu. W tej samej chwili drgnęła klamka peugeota. Otworzyły się wcięte ponad tylnym błotnikiem drzwi i z auta wyszło dwóch mężczyzn popędzanych krzykami Fańiewicza.

– Skąd macie wóz? – Zyga przyskoczył do nich.

– Ukradłem. – Wzruszył ramionami wyższy.

Ręka Maciejewskiego zadrżała. Miał chęć walnąć bandytę kolbą rewolweru.

– Na kolana! – warknął.

– Jestem, mogę przejąć! – Zyga usłyszał za plecami głos Kudreli.

Podkomisarz kiwnął mu z wdzięcznością głową i pobiegł w stronę torów. Mundurowy stał tam z opuszczonym automatem i ocierał pot z czoła.

* * *

– Chciałem tylko pociągnąć mu po nogach, panie komisarzu... – zaczął tłumaczyć policjant, ale Zyga go nie słuchał.

Powoli podszedł do ciała. Jasny płaszcz niby płachta płótna wyraźnie odznaczał się pośród szarych, wyschniętych badyli – ostów czy pokrzyw, cholera wie, co za zielsko obrasta wysypane tłuczonym kamieniem torowiska! Mężczyzna leżał na brzuchu, niecały metr od lewej ręki Maciejewski dostrzegł pistolet.

„Lewej!” – skojarzył. Znał Lennerta z ringu i lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, że nie był mańkutem.

Doskoczył do niego i dotknął ręką szyi. Denat! Przyklęknął, szarpnął trupa za kołnierz i obrócił.

Martwy miał zamknięte oczy, a całą twarz – która uderzyła przy upadku o kamienie – zalaną krwią. Nie sposób było rozpoznać rysów. Zwracały uwagę tylko sumiaste wąsy jak, nie przymierzając, u marszałka Piłsudskiego. Zyga wyciągnął rękę i szarpnął za nie raz, drugi...

– Co pan robi, panie komisarzu? – zapytał zdziwiony policjant z automatem.

– To nie on – wyszeptał zaskoczony Maciejewski. Pociągnął za wąsy po raz kolejny i znowu, jeszcze mocniej. – Prawdziwe! To nie Lennert.

– Nie bardzo rozumiem, panie komisarzu...

– Wołajcie wywiadowcę Fałniewicza.

Odwrócił się od ciała. Zobaczył, że z peronu niewielkiej stacyjki patrzy na niego kilka osób. Dróżnik, niepewny, czy w tej sytuacji może podnieść szlaban, wolno przekroczył jedną szynę, potem drugą...

– Jestem, panie kierowniku – sapnął Fałniewicz.

Maciejewski spojrział na tajniaka.

– Ci z auta skuci? – zapytał.

– Tak jest, skuci. A ten... Zaraz...

– Poznajesz? – Zyga wstał.

– Zielny by wiedział lepiej, ale... – Fałniewicz zawahał się. – Tak, to chyba ten sam, który oblał Achajczykowi ubranie. Zaraz!

– Ano właśnie! – Maciejewski podrapał się w czoło. – Czy to nie ten gość z

„Europejskiego”, który nas minął w korytarzu? Pamiętasz, tuż przed przyjściem profesora?

– On – kiwnął głową tajniak. – Wprawdzie morda jak rąbanka, ale to on, panie kierowniku.

Podkomisarz zaczął przeszukiwać kieszenie trupa i co chwilę wyciągał kolejny paszport albo dowód osobisty. Nawet nie otwierając ich, podał dokumenty Fałniewiczowi.

– Idę zatelefonować.

Z opuszczoną głową ruszył wzdłuż torów. Wszystkie podkłady były tak samo brudne, zaimpregnowane kurzem, smarem, nieczystościami z ustępów w wagonach pasażerskich. I wszystkie powtarzalne, tak że mijając je, mógłby zasnąć na stojąco. Ale Maciejewski nie potrafiłby w tej chwili usnąć nawet w świeżej pościeli, bo jego kryminalna układanka właśnie się rozsypała. Skoro to nie Lennert udawał węsala, skoro istniał prawdziwy węszał, to o co w tym wszystkim chodziło? Może zbyt lekkomyślnie zaufał Achajczykowi?...

Doszedł właśnie do przejazdu. Podniósł wzrok na dróżnika i odruchowo wyjął z kieszeni policyjną blachę, choć wcale nie było to potrzebne. Przecież kolejarz widział, że jest z nimi mundurowy.

– Jest tu telefon? – zapytał Zyga.

– Tylko wewnętrzny, kolejowy, panie władzo. Taki normalny u zawiadowcy, ale zepsuł się wczoraj.

– Kolejowym da się wywołać Lublin?

– I Lublin, i Puławy, co pan władza uważa – uśmiechnął się dróżnik.

– Weźcie wozy na pobocze, no i tych tam – polecił Zyga Fałniewiczowi, a sam zapalił papierosa i ruszył za kolejarzem.

Podczas gdy ten kręcił korbą aparatu, Maciejewski rozejrzał się po ciasnym wnętrzu budki. Oplątywały ją poskręcane ze sobą druty prowadzące do kryształkowego detefonu. Tanie radio słuchawkowe zostało jednak podłączone do wzmacniacza własnej roboty, a ten z kolei do starej, upstrzonej przez muchy tuby od gramofonu. Płynął z niej nieco zniekształcony głos:

...dzinach porannych miała miejsce strzelanina na przedmieściach Lublina, która zakończyła się brawurowym pościgiem samochodowym przez ulice miasta. Auto policyjne na sygnale opuściło roгатkę warszawską i ruszyło za uciekającymi bandytami szosą na Nałęczów i Kazimierz Dolny. Jak okazało się, przestępcy zbiegli Peugeotem 201, który został uprzednio skradziony znanemu w Lublinie prawnikowi, pełnomocnikowi Towarzystwa Przemysłowców, Stanisławowi Lennertowi. Tenże, zmierzając pieszo wczesnym rankiem na umówione spotkanie w biurze jednej z fabryk na przedmieściu Piaski, rozpoznał swoją własność ruszającą spod pobliskiej kamienicy. Próbuując odzyskać skradzione auto, w efekcie śmiertelnie postrzelił z rewolweru jednego z bandytów, innego natomiast znokautował celnym ciosem bokserskim i oddał półprzytomnego w ręce władz. Policjanci szczerze gratulowali panu Lennertowi odwagi i niezłomnej postawy, a my dowiedzieliśmy się nieoficjalnie, że pan

mecenas w czasach młodości był pięściarskim wicemistrzem okręgu i ten jakże męski sport uprawia do dziś. Jak tego dowiódł...

– Mam Lublin, jak pan prosił – powiedział dróżnik, ale Zyga machnął niecierpliwie ręką, żeby nie przeszkadzał.

...Była to telefoniczna relacja naszego korespondenta wysłanego do Lublina, przypomnijmy, w związku z zagadkowym morderstwem tamtejszego dziennikarza. Tu mówi Polskie Radio Warszawa. Za chwilę muzyczny kwadrans z trio skrzypcowym z...

– Jezus Maria! – pokręcił głową kolejarz. – Co za gość!

Maciejewski nic nie powiedział. Papieros zgasł mu w ustach.

* * *

Zyga wszedł do gabinetu komendanta, jeszcze raz czytając raport Tomaszczyka. Nie miał wątpliwości, że jedną kopię już obracał w swych krótkich, pulchnych palcach starosta Salwicz, a inne redaktorzy gazet. Tak więc powstała oficjalna wykładnia wydarzeń z mijającego tygodnia. Ludzie zaś są tylko ludźmi – bardziej wierzą pierwszej wiadomości niż drugiej. Zwłaszcza że druga byłaby dużo bardziej skomplikowana...

Maciejewski wyrzucał sobie, że nie docenił tej szui z dawnej policji politycznej. Liczył że co? Huknie na Tomaszczyka i ten się wystraszy? Osiągnął tyle, że podczas gdy wystawiał się na kule i omal nie skończył w rowie, wszystko zdążyło się już rozegrać z błogosławieństwem urzędniczych pieczęci i Polskiego Radia. Lennert został bohaterem, a nieszczęsny idiota Gajec psychopatycznym zabójcą politycznym, prowincjonalnym Eligiuszem Niewiadomskim bez piątej kleпки. Brzmiało to logicznie i wszystkim pasowało – dziennikarzom, bo nadawało powszednim brudom wręcz filmowego poloru, a starostwu, bo było słuszne politycznie.

– Jest pan – kiwnął głową nadkomisarz Sobociński.

– Przepraszam, panie komendancie. Chciałem jak najszybciej wysłać do Warszawy odciski tego zabitego szefa bandy. W naszej kolekcji takich nie ma. No i jego liczne nazwiska. U nas nie był notowany – dodał Maciejewski.

– Proszę siadać.

Nie patrząc na Tomaszczyka, Zyga zajął miejsce naprzeciwko niego. Śledczy polityczny odchrząknął i pedantycznym gestem wyrównał plik papierów przed sobą.

– Jak już mówiłem panu komendantowi, czuję się w obowiązku zgłosić zastrzeżenia dotyczące ostatnich zajęć. Nie wiem, czy podkomisarz Maciejewski... – nerwowo poprawił okulary – powinien być obecny podczas...

– Pan podkomisarz Maciejewski powinien być obecny. Zwłaszcza pan podkomisarz Maciejewski – powiedział z naciskiem Sobociński. – Zabrakło mu czasu na napisanie formalnego raportu, więc tym bardziej musi zabrać głos.

Tomaszczyk znów odchrząknął. Zyga miał chęć spytać, czy boli go gardło, ale się opanował. Splótł ramiona na piersi i słuchał.

– Panie komendancie – znów zaczął Tomaszczyk – ja, oczywiście, zdaję sobie sprawę, że według podkomisarza Maciejewskiego, a może i pana, spadłem tu z księżycy. Ale też posiadam pewne doświadczenie w służbie policyjnej i to, co się tutaj dzieje, jest dla mnie nie do pojęcia. Jak to możliwe, że w akcji są ranni i zabici, że zabity zostaje główny podejrzany, bez zeznań którego nie mamy szans, aby dojść do prawdy? No i ten skradziony peugeot! Właściciel sam wyręcza policję, dając w mordę złodziejowi, ale przynajmniej jest skuteczny. O podobnej skuteczności zapewne marzą i niektórzy z nas... – zawiesił głos i posłał znaczące spojrzenie w stronę Maciejewskiego. – Niestety efektem ich działań jest jedynie tanie efekciarstwo. A właściwie drogie efekciarstwo, bo cała lubelska policja musi świecić przez to oczami. No i cud prawdziwy, że podczas pościgu nie było cywilnych ofiar, bo sam pan komendant rozumie...

– Wystarczy – przerwał mu nadkomisarz. – Wszyscy rozumiemy wymowę faktów, a na pańskie komentarze przyjdzie czas potem. Co pan na to, podkomisarzu Maciejewski?

Zyga podniósł głowę i rozejrzał się po gabinecie. Piłsudski groźnie marszczył brwi na portrecie obok godła, Sobociński nerwowo postukiwał skuwką pióra w blat biurka, Tomaszczyk triumfował.

– Obawiam się, że nic. – Zyga znów spojrzał na marsową minę marszałka na ścianie, a potem w oczy Sobocińskiego. – Nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz przyjdzie mi się poddać ocenie pana komendanta. Niezwłocznie spiszę raport i dostarczę go na pańskie biurko. Na pańskie, bo jeśli chodzi o to, co myśli o mojej pracy pan Tomaszczyk, to sądzę, że... – znów zerknął na portret – że parafrazując Piłsudskiego, on może kury szczać prowadząc, a nie śledztwa mnie uczyć!

– Won! – wrzasnął nadkomisarz. – Obaj poszli won! Panie Maciejewski, raport za godzinę! A pan, Tomaszczyk... też lepiej nie pokazuj mi się na oczy.

* * *

Pałac papierosa na korytarzu, Zyga widział, jak Lennert chodzi po dziedzińcu komisariatu, oglądając swoje auto ze wszystkich stron. Kiedy wracali do Lublina w trzy wozy – CWS, peugeot i karetka więzienna – Maciejewskiemu przypadło prowadzić samochód mecenasa, bo prócz przodownika Kudreli on jeden miał papiery kierowcy. Tyle było po drodze drzew, w które mógł przygrzmocić i chociaż zdefasonować karoserię...

Lennert jeszcze raz obszedł swoje bordowe cacko. Wyraźnie zadowolony nawet podał rękę mundurowemu, podpisał kwity i tyłem wyjechał za bramę.

Maciejewski zmasakrował niedopałek w spluwacze. Gdy zwłoki w jasnym płaszczu okazały się jedynie rzekomym trupem Lennerta, Zyga zaczął przemyśliwać, czy czasem prawnik – choć z pewnością jakoś zamieszany w aferę z wykopaliskami na Zamku, nie jest w niej tylko pionkiem. W dodatku pionkiem wystawionym do zbiccia. Ale to mu nie pasowało, znał przecież swojego przyjaciela i wiedział, że do takiej roli się nie nadaje. Kiedy jednak

Maciejewski usłyszał o nim w radio, a zwłaszcza gdy zobaczył, jak promienieje, odbierając swój samochód, pozbył się wątpliwości. Sam kiedyś chodził z podobnie zadowoloną gębą – kiedy to on, a nie Lennert, został mistrzem okręgu. Teraz i mecenas miał powody do satysfakcji – nie co dzień nadarza się okazja wykiwać całą policję. A przynajmniej prawie całą...

– Panie komisarzu... – usłyszał za plecami głos Grzewicza. Odwrócił się i zobaczył, że tajniak najwyraźniej zamierza go obciążyć jakimiś kwitami.

– Nie teraz.

Wszedł do gabinetu. Przez chwilę Zyga kusilo, żeby zamknąć drzwi na klucz.

– Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić... – Kraft odsunął papiery.

– Dziękuję, Gienek, ale po co ten tragiczny ton? – uśmiechnął się podkomisarz. – Jeszcze nikt mnie nie wyrzucił z roboty. Gdzie jest Fańiewicz?

– Czekaj. – Kraft wskazał ścianę, za którą urzędowali wywiadowcy kryminalni. – Co z raportem?

– Nic, przekazałem staremu. Jutro z rana odprawa całego kierownictwa z miasta. Ty też czuj się zaproszony. A jeśli naprawdę chcesz mi pomóc... – Maciejewski zawiesił głos.

– Tak?

– Wyciągnij gdzieś Tomaszczyka. Obojętnie pod jakim pozorem, ale ma zniknąć z za swojego biurka na jakiś kwadrans. A potem bądź tak dobry...

– ...i zaraz o tym zapomnij? – zapytał zastępca.

– Ano właśnie – zatarł ręce Zyga.

– W porządku. – Kraft wstał. – Fańiewicz da ci znać, jak będzie czysto. Choć jest jeszcze jedna sprawa! – przypomniał sobie. – Wiesz, kto będzie kończył sprawę Bindera?

– Nie wojewódzka? – zdziwił się Maciejewski.

– Wojewódzka, ale nie z naszą prokuraturą. Jutro przyjeżdża z Warszawy delegowany sędzia śledczy. Hryczuk?... Hryński?...

Zyga zacisnął pięści. Słyszał tylko o jednym sędzim śledczym o podobnym nazwisku i była to ostatnia osoba, którą miał ochotę spotkać. Lub raczej od 1920 roku stale myślał, że bardzo chciałby go spotkać, tyle że nie w robocie, a raczej w ciemnej uliczce.

– Może Hryniewicz? – zapytał.

– Tak właśnie! – Gienek uderzył dłonią o biurko. – Hryniewicz. Może to jakaś szansa?

– Na to nie licz – bąknął Maciejewski.

Gdy został sam, ze złością kopnął stolik ze starą maszyną do pisania. Zachręściły metalowe czcionki, odskoczył w bok wałek. Zyga zaczął krążyć po pustym gabinecie. Odruchowo pomacał się po prawej wewnętrznej kieszeni marynarki. Miał tam ostatniego asa – szarą kopertę z „banku” Gajca. Po raz kolejny prześledził w myślach sposób, w jaki postanowił rozegrać to ostatnie rozdanie.

– Czysto – szepnął Fańiewicz, otwierając drzwi.

– Wóz albo przewóz – mruknął pod nosem Maciejewski.

* * *

Było po czwartej, kiedy Zyga i Fałniewicz wyszli razem z komisariatu. Tajniak postawił kołnierz, ale to nic nie pomogło. Przenikliwy ziąb brał się nie tyle z wiatru, co z wilgoci i niewyspania.

– Może wstąpimy gdzieś do knajpy? – zapytał Fałniewicz.

– Nie, chcę z tobą poważnie pogadać. Możemy jechać do mnie, tylko mam burdel.

– Ja mieszkam niedaleko, na Konopnickiej – zaproponował tajniak.

Przeszli obok banku Goldera w stronę teatru. Patrząc na starą wieżę ciśnień na placu obok, Maciejewski przez chwilę pożałował, że nie postarał się o pracę w takiej na przykład Warszawie, o co nieraz suszyła mu głowę Zofia. Fakt, miałby większe szanse spotkać Hryniewicza, ale jak widać, i Lublin nie był wolny od takich niebezpieczeństw. W dodatku tu, gdzie by się nie ruszył, też natrafiał na miejsca, które nie kojarzyły mu się najlepiej. A niby ponadstutysięczne miasto na wzgórzach, można powiedzieć: mały Rzym...

W milczeniu skręcili w Okopową, tam od jednego z ulicznych sprzedawców wystających pod szpitalem wojskowym Zyga kupił papierosy i zapalki. Przeszli Orlą zabudowaną niewielkimi kamieniczkami z fantazyjnie powyginanymi na secesyjną modłę balustradami balkonów. Maciejewski odnotował z zadowoleniem, że przynajmniej ta uliczka z niczym mu się nie kojarzyła. Nie przypominał sobie nawet żadnego poważnego przestępstwa, które miałyby tu miejsce.

– O, jesteście. – Fałniewicz wskazał bramę i weszli po drewnianych schodach na drugie piętro.

Kiedy Zyga znalazł się w mieszkaniu tajniaka, nagle zapomniał o swoich niewesołych myślach i całkiem zdębiał. Zdawało mu się, że zna na wylot nie tylko miasto, ale przede wszystkim swoich wywiadowców. A już na pewno by się nie spodziewał, że zaskoczy go czymkolwiek ten mrukliwy, skrupulatny Fałniewicz.

Tymczasem większą część ściany w jego niedużym mieszkaniu zajmowało wielkie akwarium. Miało niemal rozmiary wanny i pływało w nim kilka spasionych kolorowych ryb. Najokazalsza z nich była nawet podobna do swojego właściciela – czerwona na pysku, z takimi samymi grubymi wargami.

– Niech pan usiądzie, panie kierowniku. – Tajniak wskazał krzesło. – Kawy?

– Poproszę – powiedział Zyga, nie odrywając oczu od akwarium. – Cholera, Fałniewicz, na tę dużą w pięć minut można by złapać niezłego szczupaka!

– To karaś chiński, rasowy welon, panie kierowniku – obruszył się tajniak. – Przywiozłem go aż z Królewskiej Huty.

Maciejewski spróbował wyobrazić sobie Fałniewicza, jak telepie się ze Śląska w wagonie osobowym, a w rękach cały czas ściska słój z karasiem. Pewnie wyskakiwał na co którejs

stacji, żeby zmienić mu wodę. Nie, tego faceta w roli rybiej niańki Zyga w żaden sposób nie potrafił sobie wyobrazić.

Welon podpłynął bliżej szyby. Wtedy dopiero podkomisarz dostrzegł długi, rozdwojony ogon, który bardziej przeszkadzał, niż pomagał w pływaniu. Jako wędkarz Maciejewski był przyzwyczajony do ryb o zupełnie innych kształtach – bardziej podobnych do całej dłoni niż zwiniętej w pięść. Ale w tej, choć wyglądała pokracznie, było coś sympatycznego. Poruszała się tak, jakby chciała dać komuś w mordę. I cały czas marniała pyskiem, być może powtarzając bezgłośnie: „szlag, szlag, szlag” lub „cham, cham, cham”. Co chwilę srała albo próbowała wyrwać jakąś roślinę.

Po kilku minutach Fałniewicz wrócił z kawą.

– Mnożą się? – spytał Zyga, sądząc, że może tajniak dorabia rasowymi welonami do skromnej policyjnej pensji.

– Ikre składają, tylko że nie mam czasu zajmować się narybkiem. Zjadają. Ale tak popatrzeć sobie można... Uspokaja.

– Ja łowię, to też uspokaja. Jednak ja z czym innym. Słuchaj, Fałniewicz... Papierosa?

– Co się stało, panie kierowniku? – zapytał wreszcie tajniak.

– Jeszcze nic takiego, ale się stanie. Miałem powiedzieć wam obu, tyle że Zielny w szpitalu... Nie musi nic wiedzieć. Słuchaj, Fałniewicz, jutro ktoś wyleci z wielkim hukiem: Tomaszczyk albo ja. Jeśli Tomaszczyk, to w ogóle nie ma o czym gadać. A jak ja, to dla pełnej jasności: żadnych głupot! Mnie nie pomożecie, sobie możecie zaszkodzić. I to nie byłby dla mnie żaden interes. W końcu, jeśli wylecę, zawsze dobrze mieć znajomości na policji.

Parząc sobie palce od szklanki, wypił potężny łyk kawy. Fałniewicz podał paskudną, ale za to mocną.

– Nie zapytasz, co możesz dla mnie zrobić? – mruknął Zyga. – Komisarz Kraft zapytał.

– To jasne, że jeśli coś mogę, kierowniku... No to zrobię, jasne.

– Nic specjalnie trudnego, za to bardzo ważne. Jutro musisz być w komisariacie najpóźniej wpół do dziewiątej, godzinę przed odprawą kierownictwa. Tomaszczyk pewnie zjawi się koło dziewiątej. Nie może mieć czasu, żeby przejrzeć papiery przed odprawą. Choćbyś miał naszczać na dywan, nie daj mu przejrzeć tych cholernych akt.

– Załatwione. – Fałniewicz potężnym łykiem opróżnił prawie pół szklanki.

Maciejewski nachylił się ku niemu.

– Gdyby jednak nie wyszło, od razu z tym do mnie, sam nic nie kombinuj. A potem zniknij wszystkim z oczu, jasne?

– Panie kierowniku, obrażać mnie pan może w robocie, ale nie u mnie w domu. Skoro powiedziałem, że załatwione, to załatwione. Kielicha?

– Ale tylko jednego. Chcę jeszcze sprawdzić, jak się miewa Zielny.

* * *

Pod wieczór w szpitalu św. Wincentego było pusto i spokojnie. Maciejewski wolno szedł po schodach, obracając w dłoniach niezapalonego papierosa. Z westchnieniem schował go z powrotem do paczki. Szpital powitał podkomisarza białą kafelków, smrodem spirytusu, chemikaliów i trudną do określenia wonią bólu. Jej najbardziej nienawdził.

Przyspieszył kroku, mijając piętro oddziału chorób płuc, na którym umierała Zofia. Tu szpitalne upiory straszyły go najdotkliwiej. Widział ją wówczas tylko raz, z daleka, gdy kazał mu przyjść sam sławny doktor Arnsztajn wezwany na konsultację.

– Kwestia godzin – powiedział. – Mógłbym przenieść pacjentkę do siebie, do szpitala żydowskiego. Mamy nowocześniejszą aparaturę. To da się zrobić, ale nie warto, nie w tym stanie. Niech pan idzie do niej.

– Ja?! – warknął wtedy Zyga. – Niech tamten idzie.

– Tamtego jutro będą chować. W życiu nie widziałem równie rozległych zmian gruźliczych. – Doktor zakaszłał w zwinętą dłoń.

Maciejewski nie rozumiał, co Arnsztajn chce mu przez to powiedzieć. Dopiero po chwili do niego dotarło, że to nie było znaczące chrząkanie. Doktor na moment stracił oddech.

– To nic, to nic... – wydusił w końcu lekarz. – Niech pan do niej idzie, bo będzie pan tego żałował całe życie. Wiem, co mówię.

– A co pan, doktorze, taki moralista?! – wybuchnął Maciejewski. – Czy to nie prawo mojeszowe każe kamienować nierządnicę?

Arnsztajn wbił w niego zmęczone, przekrwione oczy.

– Niech pan nie udaje większego Żyda ode mnie! Nie mówię teraz jako jej lekarz, ale... pański.

– Przepraszam, nie chciałem urazić pana doktora – zreflektował się Zyga, ścisząc głos.

– To... nerwy. Dziękuję za wszystko, ale... nie, tak postanowiłem.

– Jak pan sobie chce! – burknął rozdrażniony lekarz, podając rękę na pożegnanie. – Proszę zatelefonować z rana.

Maciejewski przez szybę w drzwiach rzucił wtedy okiem na wynędzniałą żonę. Kiedyś ładna, owalna twarz przypominała mu trupa czaszkę obciągniętą cienką skórą. Wargi szeptały coś bezgłośnie, włosy lepiły się do czoła.

Wyszedł, ale wrócił jeszcze w nocy. Okno szpitalnej sali było już ciemne, a on stał i w nie patrzył. Czy gdyby wszystko ułożyło się na odwrót, gdyby to on uciekł z inną, ona by mu wybaczyła? Nie, na pewno nie! Zofia – wzór cnót chrześcijańskich, bezdietna Matka Polka, która co niedzielę ciągała go do kościoła?! I która, uznawszy chyba, że Maciejewski jest nie do odratowania, odeszła ze znanym lowelasem, oficerem tutejszego baonu pancernego. Bardziej nie mogła zrobić mu na złość, wiedziała, jak nie cierpiał wojskowych! Ale póty dzban wodę nosi... Doktor Arnsztajn też niedawno zmarł na gruźlicę...

Myśli podkomisarza przerwało głucho stukanie w posadzkę. W końcu korytarza kuśtykał

nieporadnie o kulach jakiś człowiek w piżamie. Podkomisarz zerknął za okno. Światła latarni nieco rozpraszały jesienny mrok. Zobaczył oficynę, gdzie niegdyś mieścił się szpital choleryczny dla chrześcijańskich kobiet i niewielki ogród – dawny cmentarz przykościelny.

Pchnął drzwi chirurgii.

– Proszę pana, to nie pora odwiedzin.

Odwrocił głowę. Z dyżurki wyszła zakonnica w białym habicie i czepku. Była chuda i wysoka jak gotycka katedra i tak samo surowa, jeśli sądzić po jej minie.

– Przepraszam, siostrze – uchylił kapelusza – tu leży mój kolega, policjant. Jestem podkomisarzem, to ja dowodziłem akcją, kiedy postrzelili go bandyci. Nie mogłem przyjść wcześniej, a koniecznie muszę go zobaczyć. Bardzo proszę.

Pokiwała głową. Brzegi jej czepka zakołysały się jak skrzydła.

– Nie jest pan pierwszy – oznajmiła.

Maciejewski posłał jej zdumione spojrzenie.

– Pana też nie powinnam wpuścić, ale skoro już pan tu jest... Pięć minut, naprawdę, i to tylko dlatego, że nie ma siostry oddziałowej. Sala numer pięć.

– Rozumiem. I dziękuję siostrze.

Idąc wielkimi krokami do wskazanych drzwi, żałował, że nie kupił czekoladek. Po nieprzespanej nocy, szaleńczym pościgu i draństwach tego dnia czułby się dużo lepiej, gdyby miał teraz bombonierkę pod pachą. Pal sześć Zielnego! On i tak wolałby wódkę, jednak mogąc je wcisnąć siostrze, poczułby się jakby lżejszy.

„Miękniesz” – wyrzucił sobie i nacisnął klamkę.

Zielny w białej szpitalnej koszuli i opatrunkach znów wyglądał jak Valentino w „Synu Szejka”. Brakowało mu tylko kufii na głowie, jednak o brylantynie nie zapomniał. Siedział uśmiechnięty i rozmawiał o czymś z młodą, zgrabną dziewczyną, której spod kapelusza wyglądały gęste, kasztanowe włosy. Kiedy odwróciła się i odruchowo poprawiła okulary, Zyga ze zdziwieniem rozpoznał pannę Jadwigę, maszynistkę z komisariatu.

– Dobry wieczór – mruknął.

– Dobry wieczór, panie komisarzu – odpowiedziała równie zaskoczona.

– Dobry wieczór, panie kierowniku. Już wszystko wiem – zaczął paplać Zielny. – Panna Jadzia przyniosła więcej nowin niż Polska Agencja Telegraficzna. Że też mnie tam nie było!

– Taki jesteś radosny, jakbyś to umyślnie wykombinował!

– A jak! – roześmiał się tajniak. – Nie zabili, karmią, myją, medal przypną. Nie ma to jak dać się postrzelić. – Nagle spowaźniał i spytał szeptem: – A czy coś nie tak, panie kierowniku?

– Skąd, Zielny?! Wszystko doskonale. Złapaliśmy zabójców Gajca, a ten cały wąsal zastrzelony. Trochę szkoda, no ale najważniejsze, że sprawa zamknięta.

– Proszę panów, nie wolno tak głośno mówić, tu są chorzy. – W drzwiach pokazała się zakonnica. – I miało być pięć minut – przypomniała, zerkając na zegarek.

– Tak, tak, przepraszam. – Dopiero teraz Maciejewski zwrócił uwagę, że po przeciwnej stronie sali, za parawanem ktoś poruszył się na łóżku. – Już idziemy. Powiedz jeszcze, potrzebujesz może czegoś?

– Panna Jadzia wszystko mi przyniosła: owoce, kompot, gazety... Tylko palić, cholera, doktor nie pozwala.

– No i dobrze. Musisz oszczędzać na krawca. Trzymaj się, Zielny.

– Do widzenia, panie kierowniku.

Maszynistka wstała i podała rannemu dłoń. Zyga nie miał już wątpliwości, kto oprócz owoców i kompotu przyniósł kwiaty, które stały na szafce nocnej obok łóżka tajniaka.

– Przyjdę jutro, panie Tadiusiu – obiecała szeptem.

– Będę czekał, niecierpliwie czekał, panno Jadziu. – Pochylił się, na ile pozwalały opatrunki, i cmoknął ją w rękę.

Milcząc, zeszedli na dół. Dopiero gdy stanęli pod bramą szpitala, Maciejewski dał upust swojemu zdziwieniu:

– Co pani w nim widzi, panno Jadwigo? Może to i ranny bohater, ale w sumie prosty chłopak.

– Za to przystojny, panie komisarzu – odparła.

Maciejewski bezwiednie dotknął swojego połamanego nosa.

– Fakt, istny Valentino – mruknął.

A potem pomyślał, że skoro nie miał czekoladek którymi mógłby obdarować wyrozumiałą zakonnice, pozwoli sobie na równie kosztowny gest.

– Wezmę dziś dorożkę, panno Jadwigo. I chętnie odwiozę panią do domu, bardzo proszę.

Rozdział 7

15 listopada 1930 r., sobota

Kiedy Maciejewski otworzył oczy, zobaczył, że jest przykryty całkiem czystą kołdrą, zaś po jego prawej – a nie jak zwykle lewej ręce – znajduje się okno. W dodatku przysłonięte białą, delikatną firanką i z pelargonią na parapecie. Obok Zygi leżała jakaś dziewczyna o ciemnobrązowych, lekko falujących włosach i kształtnym, choć ciut za długim nosie. Dopiero zauważywszy okulary na nocnym stoliku po jej stronie, rozpoznał w niej pannę Jadwigę.

Pościel była świeża i gładka, zbyt świeża i gładka! Zyga nieznacznie odkrył kołdrę, zsuwając się z łóżka. Panna Jadwiga drgnęła przez sen. Długa koszula nocna z ciepłej flaneli odkryła pół łydki i nieco zjechała z ramienia. Maciejewski musiał przyznać, że dziewczyna miała naprawdę ładną skórę pokrytą jasnymi, rzadkimi piegami, ale nie wzbudzała żadnej ekscytacji. Zupełnie inaczej niż Róża, która rano, zmęczona miłością, z lekko podkrążonymi oczami, wydawała się jeszcze bardziej ponętna niż wieczorem umalowana, świeżo wyperfumowana. Bo jakie uczucia wzbudzała w nim Zofia, starał się to wyrzucić z pamięci. Okrył ostrożnie dziewczynę i wstał.

Był w spodniach bez paska, w rozpiętej pod szyją koszuli i w skarpetach, w których na szczęście nie zdążyła przetrzeć się dziura na pięcie.

Wyrzwał przez okno.

„Chmielna!” – Rozpoznał budynek szkoły dla gospodyń po przeciwnej stronie ulicy, wyschnięte badyle zarośli nad płynącą leniwie Czechówką i mały staw, przy którym siedział z wędką jakiś stary Żyd. Spojrzał na zegarek – dochodziła siódma.

– To miał być tylko miły gest – mruknął do siebie z dezaprobatą.

Nie zamierzał bawić się w donżuana. Mniej już nawet chodziło o Zielnego – kto jak kto, ale on najlepiej powinien rozumieć, że kobiety tak jak bilety Narodowego Banku Polskiego z samej swej natury przechodzą z rąk do rąk. Zwłaszcza że romans tajniaka z panną Jadwigą był najwyraźniej w początkowej, niezobowiązującej fazie. Bardziej martwiło podkomisarza, jak ten incydent może wpłynąć na pracę Wydziału Śledczego, czy maszynistka nie zechce wykorzystywać sytuacji, do której... Właśnie, jak do niej doszło?! Nie pamiętał.

Brak snu i zmęczenie, przy którym człowiekowi urywa się film, podziałały na Zygę lepiej niż flaszka na czczo. Długo zbierał myśli, a mimo to przypomniał sobie tylko ten moment, gdy panna Jadwiga, wysiadając z dorożki, powiedziała, że Maciejewski źle wygląda i czy nie wstąpiłby na filiżankę kawy...

„Opium dodała?!” – zaśmiał się w duchu.

Jego marynarka wisiała na oparciu krzesła przy owalnym, przykrytym wyszywanym obrusem stole. Obok pustego wazonu leżała kabura z rewolwerem i przypięte do niej skórzane szelki.

Zyga ubrał się, wtedy na desce do prasowania zobaczył swój krawat – pedantycznie złożony. Poniżej, na dywanie, stały buty. Kapelusz dostrzegł na haku wbitym w ścianę obok parawanu dzielącego małą wynajętą klitkę panny Jadwigi na część łazienkową i tę gościnną. Rozejrzał się za swoim okryciem. Zauważył je na wieszaku zaczepionym o niedomknięte skrzydło drzwi szafy. Po płaszczu najwyraźniej ktoś kilkakrotnie przejechał szczotką, usuwając co większe plamy błota.

Maciejewski wiązał właśnie krawat, kiedy spod łóżka dobiegł go dźwięk budzika. Był jeszcze gorszy niż jego – niepodobny do telefonu, raczej do dzwonka w szkole. Czytał w dzieciństwie „Wspomnienia niebieskiego mundurka”, gdzie Gomulicki rozwodził się nad melodią szkolnych dzwonek. Sam nie pamiętał żadnej związanej z nimi metafizyki. No może poza ich wyjątkowo złośliwym brzmieniem, gdy pierwszą lekcją miała być łacina.

– Dzień dobry... – powiedział do przecierającej oczy dziewczyny – panno Jadwigo... – dodał niepewnie. Cholera, może już byli po imieniu!

– Dzień dobry, panie komisarzu – odparła, sięgając po okulary. Po chwili okryła się szerszej kołdrą. – Proszę się odwrócić.

Zaszeleściła pościel. Zyga zobaczył w lustrze stojącym przy toalecie pod oknem, jak ręka dziewczyny sięga po coś leżącego po lewej stronie łóżka.

– Przepraszam panią, ale przez ostatni tydzień prawie nie spałem – zaczął. – Czy może mi pani przypomnieć, co ja tu robię?

– Zasnął pan w dorożce, więc pomyślałam, że jak napije się pan kawy... Sądziłam, że jeśli dam jeszcze koniak, to poczuje się pan lepiej. Tymczasem... Boże, jak pan chrapał! – zachichotała całkiem wdzięcznie. – A tu jak pan widzi, jest tylko jedno łóżko... Może już pan patrzeć.

Stała przed nim młoda kobieta w przydeptanych kapciach, w grubym szlafroku i z włosami wołającymi o grzebień. Zydze nie wiedzieć dlaczego, przypomniały się prostytutki, które wraz z Zielnym zerwali we wtorek z łóżek wcześniej rano, a więc o jakże nieprzyzwoitej dla tych pań porze. Panna Jadwiga była wyraźnie zmieszana całą tą dwuznaczną sytuacją.

„Typowe! – pomyślał ze złością. – Zaprasza obcego faceta, a rano się rumieni! Zofia też się pewnie na początku wstydziła, kiedy tamten... – znów przypomniał sobie zmarłą żonę. – Dobrze przynajmniej, że między nami naprawdę nic nie było”.

– Zje pan coś? – zapytała panna Jadwiga.

Nie padło ani słowo o leżącym w szpitalu Zielnym, a podkomisarz miał coraz większą ochotę na jajka na miękko. I to było bardzo niebezpieczne. Groziło udomowieniem, przyzwyczajaniem, kolacją i niepotrzebnymi komplikacjami.

– Dziękuję za wszystko, ale muszę iść – postanowił, uprzedzając jeszcze głupsze myśli, jakie mogłyby mu przyjść do głowy. – Jest pani aniołem, panno Jadwigo. Do zobaczenia. – Szarmancko ucałował ją w rękę i wyszedł.

Już na ulicy Maciejewski kopnął ze złością w drzwi szkoły gospodarstwa domowego. Był piekielnie głodny. Tymczasem z powodu własnych skrupułów zrezygnował ze śniadania u panny Jadwigi, a szkolną jadłodajnię – podobno karmiącą naprawdę smacznie i tanio – otwierano dopiero o ósmej. A nie zamierzał tu stać i czekać ponad pół godziny. Sąsiedzi maszynistki na pewno mieli by wtedy temat do ciekawych plotek.

Na śniadanie zapalił więc papierosa i poszedł w stronę komisariatu. Minał szpital weneryczny świętego Józefa, przed którym mimo tak wczesnej pory kręcił się niespokojnie jakiś student. Zajrzał na postój taksówek, licząc, że może pogada z panem Florczakiem, ale stało tam tylko jedno auto, a szofera nie znał. W końcu w małym sklepiku na Cichej kupił dwie bułki i mleko. Właśnie wyszło słońce, więc usiadł z tym wszystkim na ławce na Placu Litewskim. Zaraz z dachu poczty wypatrzyły go gołębie. Sfrunęły całym stadem, lecz kiepsko trafiły. Zyga ani myślał się z nimi dzielić.

* * *

Dzień był chłodny, ale robił się coraz bardziej słoneczny. Maciejewski stał w otwartym oknie gabinetu i popijał dym papierosowy obrzydliwą herbatą. Zwykle nie palił przy Krafcie, który rzucił papierosy rok temu, gdy urodziło mu się czwarte dziecko, zresztą znowu córka. Gienek więc oszczędzał.

Jednak tego ranka Zyga musiał czymś zająć ręce i przytłumić nerwy. Niestety ledwo uspokoiła go trochę nikotyna, na Krakowskim Przedmieściu rozwrzeszczeli się gazeciarze:

– „Eeexpress Lubeeelskiii”! Prawnik pobił bandytę! „Eeexpress Lubeee...”

– „Kuuurier”! Wyjaśniona zagadka morderstwa redaktora Bindera! Nagroda policji dla mecenasa Lennee...

– „Głooos”! Osiem stron za dwadzieścia groszy! Zwolnienia w cegielni na Czechówce. Osiem stron „Głosu”!

Na biurku Zygi wszystkie te gazety leżały już od godziny przyniesione wraz z poranną pocztą. Jednak nie miał najmniejszej chęci ich czytać. Pociuszające było jedno – limit sensacji aż do końca roku został wyczerpany. I jeśli go nie zwolnią ze służby, do najbliższego święta narodowego daleko, więc będzie mógł odpocząć, zajmując się zwyczajnymi napadami bandyckimi, kradzieżami w sklepach i fabrykach, porachunkami nożowników urozmaiconymi co najwyżej trupem pływającym Bystrzycą.

Spojrzał na pierwsze strony miejscowych gazet. Z liczących się brakowało jedynie żydowskiego „Lubliner Tugblat”, z którym gazeciarze biegali tylko po Starym Mieście i Lubartowskiej.

– Denat miesiąca – mruknął podkomisarz. – Albo i roku.

Już chciał odsunąć pachnące farbą płachty jak najdalej od siebie, ale nawyk zwyciężył i Zyga zaczął je przeglądać. Trąbicznik pierwszy łyknął wygodną dla starostwa wersję śmierci Bindera i „Kurier” zamieścił nawet jego zdjęcie. Maciejewski był pewien, że je zobaczy jeszcze nieraz ekshumowane przy okazji co większych politycznych awantur między zarządem komisarycznym miasta a prawicową opozycją. Tyle że raczej w „Głosie”, gdy nowy redaktor naczelny okrzepnie i przestanie się trząść, że zamkna mu pismo.

Kraft popatrzył na Zygę krzywo, jednak nic nie powiedział.

Podkomisarz przebiegł wzrokiem nagłówki „Expressu”. Tak, bez wątpienia Lennert samotnie stawiający czoła rosnącej przestępczości był lepszym tematem niż jakiś tam martwy od tygodnia sympatyk Dmowskiego. Artykuł o bohaterskich wyczynach mecenasa zaczynał się na pierwszej stronie i kończył na trzeciej. Dalej całą czwartą zajmowała wielka reklama Kasy Kredytowej Towarzystwa Przemysłowców Lubelskich. Napis wielkimi literami zachęcał:

...Przyjmuje wkłady w złotych
i dolarach, załatwia akredytywę, inkaso
i wszelkie czynności w zakres
bankowości wchodzące...

Maciejewski, czytając między wierszami, mógł sobie jednak dośpiewać znacznie więcej:

...a w czas kryzysu ratuje
przed bezrobociem dziennikarzy,
jak również tych funkcjonariuszy
oraz urzędników publicznych,
którzy w swojej służbie kierują
się świadomością, że nie każda
prawda nas interesuje.

Nie miał pojęcia, ile może kosztować wykupienie całej strony. Domyślał się tylko, że dla przyjaciół Lennerta całkiem niedużo, a gazecie pozwalało to przeżyć co najmniej kilka numerów dłużej.

Podkomisarz zgasił papierosa i wygładził odstający kołnierzyk pomiętej koszuli. Czekala go jeszcze bitwa z Tomaszczykiem.

* * *

– Czego mi w kółko głowę zawracacie?! – usłyszał Zyga, idąc na odprawę. To

Tomaszczyk darł się na Fałniewicza.

– Ale panie komisarzu, rękę bym sobie dał uciąć! Mówili o nielegalnym strajku – upierał się tajniak.

Tomaszczyk ścisnął pod pachą swoją teczkę i ruszył w stronę gabinetu komendanta. Fałniewicz odprowadził go wzrokiem, po czym mrugnął do Maciejewskiego.

Ten kiwnął głową. Dochodziło wpół do dziesiątej.

* * *

Odprawa trwała już prawie godzinę. Tym razem Sobociński chciał zająć się wszystkimi sprawami, które zeszyły na boczny tor kosztem Bindera, a potem Jeżyka. Wreszcie postanowił definitywnie zamknąć samobójstwo Gajca. Tomaszczyk sięgnął po teczkę.

Ledwie jednak ją otworzył, na podłogę wypadła szara koperta, a z niej posypały się banknoty. Kierownicy komisariatów zamilkli, nawet Sobociński odłożył zdziwiony pióro.

– A tego chyba nie było w wykazie dowodów rzeczowych – pierwszy odezwał się Zyga.

Tomaszczyk zupełnie zdębiał. I zrobił najgłupszą rzecz, jaką tylko mógł zrobić – zaczął zbierać pieniądze, zostawiając na nich ślady własnych linii papilarnych.

– Panie komendancie – znów wtrącił Maciejewski. – Proszę o zgodę na zabezpieczenie tej koperty jako dowodu. Mam powody przypuszczać, że znajdują się na niej odciski tego samobójcy, Adama Gajca. Na banknotach również.

Tomaszczyk wyprostował się. Nadal milczał, ale jego twarz była coraz bardziej purpurowa. Aspirant Szewczyk z III Komisariatu pierwszy zrozumiał, co się święci. Wstał i stuknął obcasami.

– A tak – mruknął Sobociński w stronę mundurowych. – Panowie są wolni.

Dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi, Tomaszczyk odzyskał głos.

– To prowokacja, panie nadkomisarzu! – wykrzyknął. – Wystawianie na szwank powagi i funkcjonowania Urzędu Śledczego!

– Mów pan po ludzku, a nie jak z gazety – warknął komendant.

– Przecież u Gajca znaleziono mniej niż pięćdziesiąt złotych.

– A kto podpisał raport z przeszukania? – spytał Zyga. – Chwileczkę... – Sięgnął po jego papiery. – „A. Tomaszczyk”. Sprytnie! Drobne na stół, gruba forsa do kieszeni. Chyba skądś to znamy, prawda, panie komendancie?

Nadkomisarz nie zareagował. Cały czas patrzył wściekłym wzrokiem na szarą kopertę.

– Panie komendancie, przysięgam... – zaczął Tomaszczyk.

– A na co mi pańskie przysięgi! – wybuchnął Sobociński. – Całe kierownictwo miejskiej policji widziało, jak z teźki sypie się pańska półroczna pensja. Jak chcesz pan to wytłumaczyć?

– To prowokacja...

– Czyja, do ciężkiej cholery?! – Nadkomisarz walnął otwartą ręką w stół. – Może ja

oszczędzałem tylko po to, żeby pana skompromitować, co?

– Panie komendancie – znów wtrącił się Zyga. – Z dodatkowych zeznań znajomych Gajca wynikało jasno, że miał oszczędności. A podczas zabezpieczenia miejsca zdarzenia podkomisarz Tomaszczyk nie znalazł ani pieniędzy, ani książeczki PKO. Więc gdzie są pieniądze? No chyba oczywiste, że widzimy je przed sobą.

– Milcz pan! – warknął komendant. – Nie życzę sobie w tym miesiącu ani jednego skandalu więcej! Panie Tomaszczyk, tam jest maszyna do pisania. – Komendant wskazał przeciwległą ścianę. – Siadaj pan i pisz oświadczenie. Jeden egzemplarz zostanie u mnie, drugi zabezpieczy podkomisarz Maciejewski...

– Ale jakie oświadczenie? – spytał Tomaszczyk. Kropla potu spłynęła mu po nosie, ale nawet jej nie poczuł, tylko tkwił skamieniały za stołem.

– Co pan?! Zwyczajnie. Że przywłaszczył pan sobie dowód rzeczowy niewykazany w raporcie, że dobrowolnie się pan przyznaje, żałuje i tak dalej. Bardzo mnie ucieszy, kiedy pan wreszcie zniknie z mojego komisariatu. Kiedy tu pana nie było, wszystko szło jak należy.

– I dla jasności, Tomaszczyk – Zyga wymierzył w niego palec niczym lufę rewolweru – ja tę moją kopię porządnie zabezpieczę. Ale ani w biurze, ani u siebie w domu. Niech ci nie sprytnego po głowie nie chodzi, ja nie jestem Gajec.

– Proszę mi nie przerywać! – huknął komendant. – Trzeci egzemplarz oświadczenia otrzyma drogą nieoficjalną pański przełożony. Co z nim robi, nie moja sprawa. Może go pan błagać albo co innego, wszystko mi jedno.

– Odmawiam! Kategorycznie odmawiam! – Tomaszczyk zerwał się z krzesła. Kolejna kropla potu spłynęła spod oprawek okularów na policzek.

– Woli pan, żebym nadał tej sprawie bieg oficjalny? Nawet jeśli się pan wybroni, robotę pan straci, to pewne.

Słuchając tych słów wypowiedzianych rzeczowym głosem Sobocińskiego, Tomaszczyk wyglądał coraz bardziej żałośnie. Jak uznał Zyga, nigdy jeszcze aż tak bardzo nie przypominał wrednego nauczyciela łaciny przyłapanego – dajmy na to – na składaniu nieprzyzwoitych propozycji uczennicom. Maciejewski wolałby go co prawda widzieć na ławie oskarżonych, ale jako doświadczony policjant wiedział, że to był rozsądny kompromis.

Nagle Tomaszczyk spojrzał uważnie na Zyge, jakby go zobaczył pierwszy raz w życiu.

– Podrzuciłeś! – warknął.

– Jak śmiesz?! – Podkomisarz wstrzymał oddech. Udało się, natychmiast poczerwieniał i nikt nie mógłby mu zarzucić, że nie z oburzenia.

– Właśnie! – ryknął komendant. – Jak pan w swojej sytuacji śmie jeszcze oskarżać oficera policji o nieskazitelny przebieg służby?! Oficera, któremu ja sam, rozumiesz pan... – walnął pięścią w biurko, aż z drżących ust wystrzeliły mu na blat i papiery kropelki śliny – ...któremu ufam jak samemu sobie. Wbij pan to sobie do głowy i pisz, do cholery, pókim dobry, kurwa-je-mać! – wypluł przekleństwo, poderwał się i takim gestem, jakby chciał

dodać: „paszoł won!”, ponownie wskazał Tomaszczykowi mniejsze biurko z maszyną do pisania w kącie pokoju. – Papier i kalka w szufladzie – objaśnił Zyga.

* * *

– A teraz wynoś się pan! – warknął Sobociński. – Na dobre.

Tomaszczyk bez słowa opuścił gabinet. Maciejewski zabrał ze stołu swoją kopię oświadczenia i wstał.

– To jeszcze nie koniec pańskich kłopotów – zatrzymał go komendant. – Niech pan siada. Zyga spojrzał zdziwiony na Sobocińskiego. Komendant zagryzł wargi i pokiwał głową.

– Idą ciężkie czasy – mruknął.

– Ma pan komendant na myśli kryzys gospodarczy?

– Mam na myśli ciężkie czasy dla pana, podkomisarzu Maciejewski. Tolerowałem pańskie... nazwijmy to: ekstrawagancje. W teatrze wybacza się je primadonnom, a na komisariacie dobrym śledczym. O ile zwierzchnik też jest prawdziwym policjantem, a nie tylko urzędnikiem.

– Bardzo to w panu cenię – bąknął coraz bardziej zaskoczony Zyga. – Chyba nie ma pan większych zastrzeżeń...

– Wyłącznie mniejsze – przerwał mu komendant. – Jednak nie to jest przyczyną pańskich kłopotów. Krótko mówiąc, żegnamy się. Za dwa tygodnie muszę się stawić w Rzeszowie. Krzywdy niby nie zrobili, panie Maciejewski, też będę komendantem powiatu. Tam Ukraińcy, agenci bolszewicy, więc co się ma dobry oficer nudzić w spokojnym Lublinie, nie uważa pan? Tak mi powiedzieli.

– A kto na pana miejsce? – spytał z niepokojem Zyga. Na chwilę w jego głowie pojawiła się absurdalna myśl, że może on. Choć nie, to byłoby nieprawdopodobne.

– Nadkomisarz Makowiecki, komendant z Białej Podlaskiej.

– Nie znam, panie komendancie – pokręcił głową śledczy.

– To pan pozna, i to dobrze. Inspektorzy piszą, że wzorowy oficer, ale między nami: sukinsyn.

– Bardzo mi przykro, panie nadkomisarzu.

– Już niedługo będzie panu jeszcze bardziej przykro. Niech się pan, na miłość boską, przestanie spóźniać na służbę i zacznie przyzwyczajanie ubierać. Boks jakoś ujdzie.

– Tak jest.

– A jakby było źle, niech pan pisze. Spróbuję pana przenieść do Rzeszowa.

* * *

Podkomisarz długo patrzył na telefon, zanim podniósł słuchawkę i wykręcił 5-15.

– Dzień dobry, ambulatorium? – zapytał, choć nie było to konieczne. Odebrała ta sama kobieta o wiecznie opryskliwym głosie, z którą miał przykrość nieraz rozmawiać. – Proszę

poprosić do aparatu siostrę Różę Marczyńską.

Dziś go jednak zaskoczyła, bo zmieniła ton i powiedziała prawie słodko:

– Już idę, proszę poczekać.

Nie minęło pół minuty, kiedy doleciał go gdzieś w tle śmiech Róży.

– Halo? Róża Marczyńska przy aparacie.

– Dzień dobry, tu Munio.

Kraft, który właśnie jadł kanapkę, omal się nią nie zadławił.

Podkomisarz stanął tyłem, żeby na niego nie patrzeć, i kontynuował:

– Nie masz pojęcia, co to był za koszmary tydzień, za to dziś zapraszam cię na kolację.

Co ty na to?

W ambulatorium Kasy Chorych na Hipotecznej najwyraźniej coś musiało się stać. Róża dłuższą chwilę nie odpowiadała, za to słyszał jej stłumiony głos gdzieś obok słuchawki.

– Halo? – Odchrząknął. – Źle słyszę.

– Muniu, nie gniewaj się, ale nie dzisiaj. Bo ja wiem, może po niedzieli... Teraz chłody i jest tylu pacjentów, a ja tak łatwo się męczę! – powiedziała to ot tak, lekko, jakby się cieszyła z nawału pracy. – Zadzwoń na pewno. – I odłożyła słuchawkę.

– Fatalnie – odezwał się Gienek, przełykając kęs. – Źle rozegrane. Zamiast przeprosić, że nie dzwoniłeś, ty jeszcze łaskawie wyznaczasz jej audiencję.

– A co ty możesz o tym wiedzieć? – skrzywił się Zyga.

– Więcej niż myślisz. Jestem w małżeństwie prawie dziesięć lat i nigdy się z żoną nawet nie pokłóciłem. Zresztą jak nie wierzysz, to zapytaj Zielnego.

– Bardzo dowcipne – mruknął Maciejewski i zabrał się do pracy.

Przez resztę dnia telefon milczał. Podkomisarza tak to drażniło, że sprawdzał kilkakrotnie, czy jest sygnał centrali. Przemknęło mu też przez głowę, żeby spotkać się z Trąbiczem i wypytać go, czy może coś wie o związkach starostwa ze sprawą Bindera i tymi żydowskimi skarbami. Redaktor wciąż musiał mieć znajomych w magistracie. Zyga uznał jednak, że jeśli nawet, to na zbyt niskich stanowiskach. Poza tym obiecał Trąbiczowi, że nie będzie robił z niego informatora. Przez moment zastanawiał się także, jak by wyreklamować od wojska Zakrzewskiego, lecz prędzej znalazłby jakieś dojskie na uniwersytecie niż w Powiatowej Komendzie Uzupelnień. Cóż, wojsko go nie lubiło i z wzajemnością.

Aparat zaterkotał dopiero po czwartej – tuż po tym, jak Kraft poszedł do domu i Zyga zastanawiał się, czy nie postąpić tak samo.

– *Inspectoratul de poliție... Lublin?* – usłyszał. – *Comisar... Maciejewski?*

– *Da, Maciejewski. Eee... nu română, pardon. Sprechen Sie deutsch?*

– *Nu... Polonia, Lublin?... Poștă București...*

Po chwili rumuński urzędnik pocztowy przekazał komuś słuchawkę i śledczy poznał głos profesora:

– Halo, tu Achajczyk. Jestem w Bukareszcie. Dzwonię, jak pan prosił.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym. Zważywszy na okoliczności, oczywiście. W każdym razie pana człowiek wsiadł już do powrotnego pociągu. Mało rozmowny, ale sympatyczny.

– Cieszę się. – Zyga poznał po głosie, że Achajczyk jest wyraźnie rozluźniony, nerwy mu opadły. Sam nie mógł sobie jeszcze pozwolić na podobny luksus. Przełożył słuchawkę do drugiej ręki i odruchowo zerknął na drzwi. Były zamknięte, mimo to ściszył głos. – Jeśli jednak wolno mi coś panu doradzić, panie profesorze...

– Tak? Słucham.

– Niech pan uda się gdzieś na egzotyczne wykopaliska. Do Egiptu albo lepiej Meksyku.

– To raczej pewne – powiedział Achajczyk. – Ale... – zawiesił głos – właściwie panu nie podziękowałem. Chciałem rzec: czym mógłbym się zrewanżować?

– Istotnie, jest coś takiego... – Teraz to Zyga urwał na moment. Przed niespełna dwoma dniami nie sądził, że będzie musiał o to prosić.

– Tak, słucham. Halo, jest pan tam?

– Jestem. Panie profesorze, skoro wyjechał pan dość daleko od naszej praworządnej ojczyzny, czy mógłbym dostać pańskie zeznania na piśmie? Tym razem jako moją polisę ubezpieczeniową. I wyłącznie w tym celu. Halo?

– Zaskoczył mnie pan – odparł po chwili Achajczyk. – Cóż, niechętnie, jednak jestem panu to winien. Tylko jeśli pan myśli o polisie ubezpieczeniowej, to chyba nie na adres komisariatu ani nie na domowy? Czy w ogóle może pan mówić swobodnie z tego aparatu?

– Podejrzewam, że jeszcze mogę. Co do adresu... – Maciejewski zastanawiał się przez kilkanaście sekund. – Ma pan czym pisać? Tak? Stefania Kapranowa, Lublin, ulica Rury Jezuickie...

Gdy już odłożył słuchawkę, zaklął pod nosem, że przyjdzie mu zapłacić babie co najmniej pięć złotych za przysługę. Ale wiedział, że w takiej sprawie mógł jej zaufać. Przestrzegała kodeksu przedmieścia – plotkować można, kapować nigdy w życiu. A poza tym nie umiała czytać.

* * *

Maciejewski nie miał pomysłu, co zrobić z resztą soboty. Cały ten długi tydzień odzwyczaił go od tego, że można wyjść z komisariatu o wpół do piątej po południu i nie mieć potrzeby nigdzie gonić. No bo skoro flaszka w piwnicy chłodziła się od przeszło siedmiu dni, to jeszcze kilka godzin wytrzyma. Postanowił zachować się jak wielu innych – wstąpić gdzieś na kawę i ciastko. „Europa” budziła zbyt świeże skojarzenia, więc zajrzał do cukierni Semadeniego.

W środku pachniało dobrą moka, jednak w rogu sali jakiś przejęty pryszczaty gimnazjalista z zapalem deklamował swoim kolegom:

Pani widzi w drobnostkach zaraz ton psychodramy...

Chwile życia są kruche i słodkie, jak chrust.

Czy dlatego, że my się, par exemple, nie kochamy,

Nie możemy całować swoich oczu i ust?

A ja chcę dzisiaj pieścić Pani piersi bez bluzki,

Chcę być dziko bezczelny i mocny jak tur.

Pani dużo ma w sobie z rozpalonej Zuluski,

Pani usta się śmieją i mówią: toujours!

Nieliczni jeszcze goście cukierni, prawie sami mężczyźni, uśmiechali się, słysząc dowcipne erotyczne strofy. Maciejewskiemu ta scena również wydała się zabawna. Tyle że – jak sądził – w przeciwieństwie do reszty obecnych poznał wiersz, który jego samego olśnił prawie dziesięć lat wcześniej. Choć tekst nie został skonfiskowany przez cenzurę, z powodu autora za samo jego publiczne czytanie należało się co najmniej ostrzegawcze zaproszenie na komisariat. Bruno Jasiński przed rokiem zrezygnował bowiem z polskiego obywatelstwa i robił karierę literacką w Sowietach.

Zyga znów włożył kapelusz, choć ledwie przed chwilą umieścił go na wieszaku. Wyszedł na ulicę.

Krakowskie Przedmieście wypełniało się ludźmi wracającymi z pracy. Przy kiosku u wylotu Krótkiej podkomisarz wygrzebał z kieszeni trzydzieści groszy i kupił dopiero co przywieziony ze stacji „Przegląd Sportowy”. Zaczął pospiesznie przeglądać gazetę, ale ktoś zredagował mu ją jakby na złość. Przed dwoma tygodniami ponad pół numeru było o piłce, w tym piękny artykuł wstępny o meczu Polska-Czechosłowacja. Resztę niemal wyłącznie zajmował boks, a tenis sprawiedliwie upchnięto na ostatnią stronę. Tym razem zwyciężyła kawaleryjska tradycja i na pierwszy ogień poszły konie, dalej lekka atletyka, narciarstwo... Maciejewski przebiegał wzrokiem nagłówki, aż znów wrócił na drugą stronę i przeczytał notkę małym druczkiem:

19 sekund trwała walka świetnego boksera europejskiego Rene Devos z Argentyńczykiem Ceville na wyspie Kubie. Po przypadkowym pierwszym ciosie Belgijczyk padł na ziemię i dopiero po półgodzinie odzyskał przytomność. Publiczność była naturalnie mocno niezadowolona.

Uśmiechnął się ironicznie. On przez miniony tydzień walczył nawet po ostatnim dzwonku. A publiczność miała to gdzieś!

Schował „Przegląd” do kieszeni płaszcza i za rogiem skręcił w Lipową. Stracił chęć na wódkę, wolał poboksować z przeciwnikiem równie niezniszczalnym jak starostwo, Towarzystwo Przemysłowców i opinia publiczna – workiem treningowym. Poszedł do klubu.

* * *

W sali gimnastycznej WKS-u kilkunastu studentów ćwiczyło dwutakty jeszcze mało popularnego basketbally. Jednak głośniej niż uderzanie piłek o parkiet słycać było głuclie walenie w bokszerski worek. W drugim końcu pomieszczenia podkomisarz Maciejewski dawał upust wściekłości nagromadzonej w ciągu ostatnich dni.

Trener Szymański próbował z nim pogadać, ale nic nie wskórał. Zerknął znów na studentów – tym też niewiele potrafił pomóc, o basketbally prawie nie miał pojęcia. Ruszył więc na zaplecze na papierosa.

Nikt nie zwrócił większej uwagi na trzech mężczyzn, którzy przecięli salę i zatrzymali się obok Maciejewskiego-

– Serwus, Zyga – powiedział jeden.

Podkomisarz odwrócił się. Przed nim stał Lennert – w swetrze, pumpach i sportowych trzewikach. *Déja vu!* Wyglądał identycznie jak przed tygodniem. Jednak był to dla nich obu tydzień długi jak rok i niepodobny do innych – o ile cokolwiek w życiu Zyga uważał za pewne i stałe, teraz chwiało się, jakby zaraz miało upaść na deski. Raz, dwa, trzy... dziesięć, nokaut!

Maciejewski otarł pot z czoła. Wtedy dostrzegł także dwóch mężczyzn, którzy przyszliz z Lennertem. Jeden, średniego wzrostu okularnik chyba niedawno po studiach, ściszał pod pachą aktówkę. Drugi, wysoki, dobrze zbudowany blondyn w płaszczu niedbale zarzuconym na ramiona, był w wieku Zygi, może nieco starszy. Podkomisarz poznał go od razu. W ciągu dziesięciu lat lekko przerzedziły mu się włosy na skroniach, ale wciąż emanowała z niego siła energicznego, pewnego siebie młodego człowieka. Teraz z pobłażliwym uśmiechem lustrował salę.

– Pozwól, to pan sędzia śledczy Hryniewicz – przedstawił go Lennert.

– Znamy się z panem sędzią – sapnął Maciejewski. – Dzień dobry, panie poruczniku.

– Prawda, jaki ten świat mały? – Hryniewicz kordialnie rozłożył ramiona, na ile mu pozwalał płaszcz.

– A w przewodnikach piszą: „Wielkie Miasto Lublin”... – lodowato odparł podkomisarz.

– Pan sędzia do mnie służbowo?

– Skądże znowu! W sobotę wieczorem?! Pan mecenas wspomniał, że można tu dziś będzie zobaczyć walkę. Wprawdzie tylko treningową, ale zawsze policja kontra prawnicy. A tu pan! Co za spotkanie! Więc jednak będą emocje. Proszą potrzymać płaszcz – zwrócił się do okularnika jak do lokaja, a sam usiadł na skórzanym koźle pod ścianą z dziesięć metrów od ringu. – To co? Rozumiem, że byli panowie umówieni. I mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Cóż, umówieni byliśmy. – Zyga uderzył rękawicą o rękawicę. – Choć nie spodziewałem się, że będziesz o tym pamiętał, Lennert. Tyle miałeś wrażeń!

– O walce z tobą jak mógłbym zapomnieć? – Prawnik zaczął ściągać sweter.

Maciejewski zmierzył niechętnym wzrokiem uśmiechniętego ironicznie Hryniewicza, głównego widza szykującego się pojedynku. Przed oczami stanęła mu notka z „Przeglądu Sportowego” o przegranej Belga. W podkomisarzu wciąż gotowało się tyle złości, że walka z Lennertem mogłaby trwać jeszcze krócej niż dziewiętnaście sekund. Ale Zyga postanowił, że nie dopuści, aby jego publiczność była niezadowolona jak tamta na wyspie Kubie...

Wskoczył na ring, zrobił krótki bieg w miejscu i parę wymachów ramionami. Za chwilę Lennert przeszedł pod liną i bez rozgrzewki stanął na linii startowej.

Podkomisarz zaatakował pierwszy, zasypując przeciwnika lawiną szybkich, nerwowych ciosów, jakimi młócił wcześniej worek treningowy. Przystopował jednak, gdy stwierdził, że za bardzo zaczyna mu się to podobać. Wtedy dostał kilka celnych uderzeń na korpus, aż się zachwiał.

– Coś ci dzisiaj nie idzie – wycedził przez zęby Lennert.

Zyga ruszył do kolejnego ataku. Mecenas zmienił pracę nóg i umknął z linii ciosów, tak że lewy prosty Maciejewskiego trafił w powietrze. Wybity z rytmu podkomisarz spróbował uderzyć z półdystansu, ale kontra przeciwnika posłała go na liny.

– To było całkiem sprytne, Lennert – warknął Zyga.

– Zwykły prawy prosty. Dziwię się, że tego nie przewidziałeś.

– Nie strugaj wariata! – sapnął ciężko Maciejewski, ale oddech zaraz mu się wyrównał. – To było sprytne wynająć zamieszcowego mordercę, żeby wykończył Bindera, a na cenzora poszczuć grandziarzy z Kośminka. Żadnej mistyfikacji. Łapani wyśpiewają, że szło o portfel, że jeden wąsał nadał im robotę, a więcej żaden farby nie puści, bo sam gównu wie, co?

– No, kontynuuj. – Mecenas doskoczył. Zaczął od lekkich ciosów kontrolnych, szukając okazji do kolejnego natarcia.

– Poza tym jaki glina będzie się roztkliwiał, dlaczego napadli na Jeżyka – Zyga zbił lewy sierp Lennerta – kiedy ma na głowie morderstwo, o którym huczy w prasie i w radio? I jaki śledczy je połączy?

– Ciekawa teoria... Punkt, drugi, trzeci! – Prawnik wyprowadził serię z półdystansu i cofnął się dwa kroki. – Coś gardę słabo trzymasz.

– ...Jeżyk musiał zginać, bo wiedział prawie tyle, co Binder. Jednak biała plama cenzury czasem więcej powie niż całe szpalty druku. Schrzańił robotę ten Jeżyk. Nie powinien był zostawiać zdjęcia Achajczyka. Ale część łapówki i tak żeście sobie odebrali.

– Detalista z ciebie, Zyga. Sklepiarz – powiedział zjadliwie Lennert nieco rozczarowany brakiem kontraktu podkomisarza i znów wszedł w dystans.

– Może jeszcze dodasz: Żyd? Właśnie, słowa uznania z powodu Żydów. Coście im dali? „Wolisz pan, panie Golder, dostać sto tysięcy do ręki czy bić się o milion?” Polak by się bił, a pan Lipowski wybrał dobry interes. Skoro tamtą forszę z czasów sienkiewiczowskich powieści gmina i tak uważała za straconą, to odzyskanie choćby części zawsze jest zyskiem. A tu koszty, może kredyty, w końcu szkoła talmudyczna nie w kij dmuch...

Maciejewski dostał w szczękę, aż go zamroczyło. Oparty o napięte liny zobaczył, jak z mgły przed jego oczami wyłaniają się sylwetki dwóch Lennertów. Niby zwykła rzecz na ringu, ale uznał, że tym razem jakże symboliczna. W ustach poczuł smak krwi i to go całkiem otrzeźwiło. Zaczął krążyć wokół przeciwnika, zbijając ciosy kontrolne.

– Wąsal to też było niezłe posunięcie. Ciekawi mnie, czy wynajęłeś właśnie tego bandziora, bo był do ciebie podobny, czy spostrzegłeś to dopiero później? I pomogło ci to obmyślić chytry plan: wszystkim kieruje tajemniczy wąsal, a nie pan mecenas z gębą gładką jak pupa niemowlaka.

Lennert nie odpowiedział. Zaatakował znowu. Maciejewski wymknął się w stronę narożnika, ale zdążył otrzymać kilka trafień.

– Najciekawszy był jednak Tomaszczyk. Cały czas sądziłem, że ta menda donosi komendantowi wojewódzkiemu albo staroście. Zdradził go dopiero ten Gajec... Tak, tak, bo tylko on mógł wynieść tę informację. I cholera, Lennert, przekombinowaliście z Gajcem! Wariat zabija działacza prawicy? Taka powtórka z zamachu na Narutowicza, tyle że na odwrotną i na mniejszą skalę?! Chyba idiota by uwierzył, że taki łajza został mordercą politycznym!

– A jednak wszyscy wierzą. Poczytaj gazety. A jak masz dowody, to mnie aresztuj. Sędzia śledczy jest na miejscu.

Dla obserwujących walkę musiała ona wyglądać żałośnie. To już nie był boks, a egzekucja. Zamroczony podkomisarz z rozbitą krwawiącą wargą lada moment mógł upaść na ring.

– Dowody? Do tego jeszcze nie doszedłem... – powiedział jednak całkiem składnie. – Posłuchaj dalszego ciągu, choćby w skrócie. Achajczyk wam się wymknął, mimo że zastawiliście aż dwie pułapki: nasz wąsal tę elektryczną, ty... No cóż, ty prostacką, bandycką. I znów przydało się, że jesteście podobni z wyglądu. Cały czas byłem przekonany, że ścigam ciebie. Miałeś czas, żeby zlikwidować szefa ferajny i sprzedać swoją wersję dziennikarzom. Gratuluję, mecenasie!

– Dziękuję. Ale... skoro tak sprytnie ci idzie wymyślanie takich kawałków, to może powinieneś pisać powieści kryminalne?

– O, powieści kryminalne potrafią być pouczające, Lennert! W nich przestępców zdradzają zwykle drobiazgi. A potem od rzemyczka do trzewiczka. Tak jak u ciebie. Niepotrzebnie skłamałeś z tym psem, który miał cię rzekomo pogryźć. Swoją drogą niezła, pikantna historyjka. Tyle że w niedzielę pudelka pani starościny była już zakopana w ogródku. No i wszystko się zgadza, bo za to ty w niedzielę byłeś na Kośminku. Jeden taki zeznał, że wąsal dostał wtedy kosą w łapę, zanim żeście się dogadali. A potem powiedział mi co nieco Achajczyk i wreszcie ten wynajęty zabójca. Powtórzyć ci jego ostatnie słowa?

Szczęką mecenasa zacisnęła się tak mocno, że gdyby teraz dostał w podbródek, straciłby połowę zębów. Maciejewski posłał mu szeroki uśmiech, aż krew z rozciętej wargi pociekła

żywszą strużką na brodę. Lennert zdradził się i wcale nie pomogło, że zaraz zarechotał z przymusem.

– Słowo jakiegoś bandyty przeciw mojemu?! Co ty mi możesz zrobić, Zyga? Dać w gębę? Nawet na to masz dziś za krótkie ręce. Za duża sprawa na ciebie. Przykro mi to mówić przyjacielowi, ale daj sobie spokój. Wrzodów się nabawisz albo i gorzej...

– Zwłaszcza z tym „gorzej” nie radzę – warknął Zyga. – Mam dobrą polisę na wypadek śmierć...

Lewy prosty na odsłoniętą szczękę rzucił Maciejewskiego na deski. Lennert przyskoczył do leżącego, jakby chciał go kopnąć, jednak uderzył tylko rękawicą o rękawicę i wrócił do narożnika.

– Dość! – zawołał.

– Daj rękę. – Zyga uklęknął z wysiłkiem.

Lennert zbliżył się niechętnie i pomógł mu wstać.

– A co do ostatnich słów tego bandziora – szepnął Maciejewski – to nie było żadnych. Nie wiem nawet, jak się nazywa. Trup na miejscu.

Mecenas odepchnął Zygę i zeskoczył z ringu. Zaczął zębami rozsznurowywać rękawice.

– A rewanż? – Maciejewski przyjął pozycję.

– To może ze mną, panie podchorążym... przepraszam, panie pod-komisarzu? – odezwał się nagle Hryniewicz, dobitnie akcentując „pod”. Zeskoczył z kozła i podszedł do ringu.

– Nie odmówię panu sędziemu śledczemu. – Zyga otarł przedramieniem kroplę krwi, która płynęła mu po brodzie. – Na serio czy dla zabawy?

– Z panem wyłącznie na serio. Pan przecież zawsze jest bardzo na serio, czyż nie?

Pomógł Lennertowi zdjąć rękawice. Maciejewski ciężko dyszał wsparty o słupek narożnika, aż mecenas obwiązał sędziemu dłoń kawałkiem bandaża.

– Jeszcze krawat – poprosił Hryniewicz i po chwili w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami precyzyjnie się pod liną. – Zaczynamy?

– Kiedy tylko pan sędzia będzie gotowy – warknął Zyga, podchodząc do linii startowej.

Uderzyli się rękawicami i odskoczyli o pół kroku. Maciejewski schylił głowę, ukrywając twarz za gardą. Hryniewicz spokojnymi testowymi ciosami wypróbowywał jego obronę.

– Czego się jednak pan nauczył od naszego ostatniego spotkania – powiedział kpiąco.

– Pan sędzia bardzo dziś łaskaw. No bij! Co tak skaczesz jak panienka?!

Hryniewicz rzucił się do przodu. Przyjął dwa proste na odsłonięty tors, ale zatrzymało go to jedynie na moment. Z wściekle zaciśniętymi zębami przełamał obronę Maciejewskiego i znów uderzył. Kolejne dwa celne ciosy poszły na szczękę, trzeci prześliznął się po policzku. Zyga odskoczył, potrząsnął głową. Ten trzeci ból był najgorszy, bo się na niego nie przygotował. Twarz piekła ogniem, miał wrażenie, że rękawica Hryniewicza zdarła mu skórę do żywego, wraz ze szczecinią zarostu.

– To wszystko? – zapytał podkomisarz, podnosząc gardę. – W dwudziestym roku byłeś

mocniejszy.

– A ty nic się nie zmieniłeś. Jest takie zboczenie, że facet lubi brać po mordzie, wiesz?

– No to spraw mi tę przyjemność, misiu słodki – wychrypiał Maciejewski.

Sędzia zasypał go gradem ciosów, jednak większość Zyga zdołał zbić. Te, które go dosięgły, były słabe – Hryniewicz poszedł w ilość, nie w jakość. Podkomisarz przesunął się ćwierć kroku w jego stronę i osłonięty lewym ramieniem wymierzył prawy prosty w spłot słoneczny przeciwnika. Sędzia oklapł, stracił oddech. Maciejewski poprawił podbródkowym. I wtedy dopiero, prawie nie czując zmęczenia, zaczął bić naprawdę, jakby chodziło nie o towarzyskie spotkanie, a o mistrzostwo świata. Nie widział już nic poza swoim przeciwnikiem, zapomniał o obserwujących ich ludziach.

Tymczasem sekretarz sędziego przypadł do Lennerta.

– Niech pan coś zrobi! – krzyknął.

Do mecenasa nie od razu dotarło, co tamten mówił. Patrzył zdziwiony na dopiero co pokonanego przeciwnika, który nagle zmienił się nie do poznania. A właściwie nie zmienił się, raczej coś odzyskał. Znowu był tym Maciejewskim, który w 1924 został amatorskim mistrzem okręgu. Robił na ringu, co chciał. Rzucił Hryniewiczem od lin do lin i tłukł go niemiłosiernie. Gdy sędzia tracił świadomość, podkomisarz klepał go lekko rękawicą dla otrzeźwienia, po czym odskakiwał na moment. A kiedy przeciwnik przejrzał na oczy, walił znowu.

– Co? – zapytał wreszcie Lennert, jakby się obudził.

– Niech pan go powstrzyma! – powiedział sekretarz.

– Tak – kiwnął głową prawnik i doskoczył do ringu. Jednak gdy chwycił się dolnej liny, kątem oka wychwycił jakiś ruch za sobą. Odskoczył, a ciężka piłka lekarska wylądowała tuż przy jego nogach.

Studenci już dawno przerwali swoje ćwiczenia skupieni na obserwowaniu walki. Ale to nie żaden z nich rzucił. Pomędzy roslymi chłopakami przepchnął się krępy, żyłasty trener Szymański.

– O co panom chodzi? – zapytał ostro, chwytając Lennerta za ramię. – Tu jest ring bokserski, a nie mordownia. Tylko oni dwaj, Bóg lub sędzia i nikt więcej. Pan to chyba rozumie, panie mecenasie? – spytał uprzejmym głosem, ale po nabrzmiąłych mięśniach starego sportsmena i jego wściekle przymrużonych oczach widać było, że nie żartuje.

– Rozumiem. – Lennert cofnął się i delikatnie odciągnął od ringu przerażonego okularnika. Tamten już wiedział, że niedługo pozostanie sekretarzem Hryniewicza, skoro miał okazję obserwować jego porażkę.

Zyga właśnie odsunął się od przeciwnika i pierwszy raz spojrział poza liny. Zobaczył zdziwiony całkiem sporą publiczność, a wśród niej trenera i mecenasa. W oczach Lennerta dostrzegł coś jakby uznanie. Przemknęło mu przez głowę, że widać każdy lubi mieć jakieś miejsce, jakieś wspomnienie, które każe mu myśleć o sobie jako o uczciwym człowieku. A

tamten miał nawet trzy – ring, tę salę i zdjęcie w korytarzu z podpisem: STANISŁAW LENNERT – PRAWNIK, 2-GIE MIEJSCE, 1924. Obtarł ramieniem spocone czoło, po czym znów natarł na Hryniewicza.

Szymański wskoczył na ring i przecisnął się pod górnym sznurem.

– Stop! Maciejewski, na linię startu – powiedział ostro.

– Tak jest. – Zyga odbiegł od zalanego krwią przeciwnika. – Przepraszam, panie Szymański.

– Szymański to ja mogę być w knajpie, na deskach jestem pan sędzia! – upomniał go trener. – No to koniec przerwy. Ring wolny, drugie starcie. Boks!

KONIEC

Od autora

Lublin już z dawien dawna słynął z trybunału i... przestępców. W XVII wieku posiadał tu nieruchomość sławny w całej Rzeczypospolitej szlachcic-grasant Ludwik Poniatowski, zresztą ożeniony z wdową po jeszcze sławniejszym gangsterze z szablą u pasa – Stanisławie „Diabie” Stadnickim. To także jedno z niewielu miast – oprócz Krakowa, Lwowa, Poznania i Żywca – w którym zachowały się „Księgi złoczyńców” potwierdzające kryminalną przeszłość grodu, począwszy od XVI wieku. Trudno więc aż uwierzyć, że dla miłośników kryminałów – którzy dobrze poznali szemrane uliczki Warszawy dzięki Leopoldowi Tyrmandowi czy Waldemarowi Łysiakowi, a Wrocławia dzięki Markowi Krajewskiemu – Lublin wciąż jest białą plamą na mapie i ziemią nieznaną!

Tymczasem każde porządne miasto oprócz rynku, katedry i lochów bezwzględnie powinno mieć swój kryminał, który zamienia powszednią i banalną przemoc w zagadkę i tajemnicę.

Po raz pierwszy tak pomyślałem jeszcze podczas studiów, kiedy przygotowując niezwykle nudną pracę proseminaryjną, siedziałem z koleżanką w czytelni i przeglądaliśmy stare gazety z lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Choć mieliśmy szukać czegoś całkiem innego, czytaliśmy przede wszystkim reklamy, ogłoszenia i oczywiście kronikę policyjną. W pewnym momencie koleżanka wskazała mi notkę o statecznym mieszkańcu naszego miasta, który zamiast pójść po zmroku do domu, szwendał się bodajże po Szambelańskiej – zapewne wracając od którejś z ceniących sobie tę zaciszną, ciemną uliczkę prostytutek. W efekcie stracił portfel, zegarek oraz spotkała go przykrość podsumowana przez dziennikarza ironicznym tytułem: „Pan Teofil dostał w profil”. To była pierwsza lubelsko-kryminalna molekuła, która załęgła mi się w umyśle. Mimo że potem pisałem całkiem inne rzeczy, ona zaczęła przyciągać kolejne atomy, aż wreszcie wywołały reakcję łańcuchową.

Wszystko, co Państwo przeczytali w tej książce, jest jedynie prawdopodobną plotką. Owszem, większość faktów i osób powstało w wyobraźni autora, jednak niektórzy bohaterowie zawdzięczają swój wygląd lub charakter postaciom historycznym. Prawdą jest na przykład, że doskonały komendant lubelskiej policji, nadkomisarz Albin Sobociński, został odwołany pod koniec listopada 1930 roku, a jego miejsce zajął dość nieciekawym typ –

nadkomisarz Makowiecki. Prawdziwy jest także budynek, w którym urzędował Wydział Śledczy – stoi zresztą do dziś. Nie są też żadnym wymysłem kłopoty policjantów w czasach międzywojennych – począwszy od braku papieru, a na zbyt małej liczbie samochodów skończywszy – które i dziś, w XXI wieku, wciąż wyglądają dziwnie znajomo.

Ale tak jak podkomisarz Maciejewski trzymał się bardziej ducha niż litery prawa, podobnie i ja, pisząc o nim, pozwoliłem sobie na nieco *kreatywnej księgowości*. Moje fałszerstwa byłyby jednak zbyt grubymi nićmi szyte, gdyby nie pomoc życzliwych osób. W pierwszym rządzie wraz z podkomisarzem Maciejewskim w imieniu służby ściskamy dłoń oficerowi prasowemu komendy miejskiej w Lublinie, *notabene* także podkomisarzowi, Witoldowi Laskowskiemu, który pomógł mi znaleźć złoty środek między realiami pracy śledczej a potrzebami fikcji. Już w imieniu własnym dziękuję również panom doktorom: kartografowi Kamilowi Nieściorukowi i historykowi Andrzejowi Osobie, którzy dzielili się ze mną swoją wiedzą i nie odkładali słuchawki, nawet gdy byłem namolny. Dobrymi radami wspierali mnie też czytelnicy doświadczalni – żona Barbara oraz przyjaciele: Katarzyna Arbaczewska-Matys, konsultant bokserski Jakub Ćwiek, Cezary Frąć, Małgorzata i Sławomir Pacholczykowie oraz Romuald Pawlak. W rewanżu zapraszam do „Wykwintnej”!

Pisząc tę powieść, odwiedziłem także co najmniej setkę stron internetowych – często wracając zwłaszcza do wspaniałego zbioru archiwaliów Teatru NN – i przegrzebałem wiele książek. Z powodu nieustannego wertowania rozpadł mi się w rękach reprint nieocenionego „Ilustrowanego przewodnika po Lublinie” z 1931 roku. Nieco lepiej zniosły moją pracę dwie inne, już bardziej współczesne książki: „Policja Państwowa w województwie lubelskim w latach 1919-1939” Roberta Litwińskiego oraz przewodnik „Lublin i okolice” pióra Marty Denys i Marka Wyszkwoskiego – niestrudzonego poszukiwacza oraz popularyzatora wiedzy o historii ulic i kamienic, który zapewne wciąż spaceruje po Krakowskim Przedmieściu, Rynku i Grodzkiej, choć jego buty nie dotykają już bruku.